

STANISŁAW TYNC, JOZEF GOŁĄBEK
I JULIA DUSZYŃSKA

U PROGU POLSKI

CZYTANKA POLSKA DLA IV KLASY
SZKOŁY POWSZECHNEJ

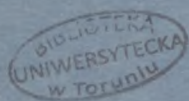


URZĄD OŚWIATY I SPRAW SZKOLNYCH

Jerozolima 1943

Nakład Komisji Regulaminowo-Wydawniczej
Dowództwa Armii Polskiej na Wschodzie.

1001



AE
1398384

POLISH PRIMARY SCHOOL,

DODDINGTON PARK,

N/NANTWICH,

CHESHIRE.

STANISŁAW TYNC, JÓZEF GOŁĄBEK

I JULIA DUSZYŃSKA

1003/B

U PROGU POLSKI

CZYTANKA POLSKA DLA IV KLASY
SZKOŁY Powszechnej



URZĄD OŚWIATY I SPRAW SZKOLNYCH

Jerozolima 1943

Nakład Komisji Regulaminowo-Wydawniczej
Dowództwa Armii Polskiej na Wschodzie.

1000/p
74

I. W SZKOLE.

1. Witaj, szkoło!

Twarze płoną, oczy świecą...
Cóż to tutaj tak wesoło?
Jak iskierki słówka lecą:
— Witaj, szkoło! Witaj, szkoło!

Có tu śmiechu, co tu wrzawy!...
Wrzeszczą chłopcy i dziewczyny,
aż poważne, stare ławy
pogorszone mają miny.

Tak tu miło i radośnie
z rozćwierkanej dziatwy zgrają,
jako w boru, gdy o wiośnie
wszystkie ptaszki hejnał grają.

Jako w polu, kiedy mile
złote kłosy gwarzą w koło...
Szczęścia, słońca tutaj tyle!
Wiosny tyle!... Witaj, szkoło!

Zofia Wojnarowska

Hejnał: pieśń, grana z wieży kościoła, np. hejnał z wieży Mariackiej w Krakowie; *hejnał ptasi*: śpiew ptaków.

2. Dziwo.

Kiedy Janek powrócił z obozu, a Basia z letniska nad morzem, przede wszystkim zabrali się do oglądania, co też które przywiozło do zbiorów szkolnych.

Basia miała okruch bursztynu i cały woreczek prześlicznych muszelek.

— Nic nie kupowałam, wszystko znalezione!

Janek pokazał jej liść dębu z zielonymi guzami galasówki, maluchne gniazdo trzciniaaka, uplecione z trawy na trzech łądogach trzciny, zupełnie podobne do koszyczka, i wreszcie „coś

wnego". To „coś“ wyglądało, jak czarny, błyszczący kamyk, przyczony przez wodę, i tkwiło w rozwidlonej gałązce, niby procy.

— To nie kamyk. Lekkie jak pusty orzech. Gdzie to znalazłeś? — wypytywała Basia.

— W zaroślach nad wodą. Może pan nauczyciel powie nam, o to jest.

Na pierwszą lekcję przyrody ponieśli swoje skarby do koły. „Dziwo“, żeby go nie uszkodzić, umieścili w pudełeczku o proszkach.

— To, proszę pana, znalazłem w zaroślach — mówi Janek, zsuwając pudełko. — Nie mam pojęcia, co to może... — nie pomyślał i krzyknął ze zdziwienia.

Dziwny orzeszek — kł wzdłuż. Przestał lśnić i zmiękł jakoś, młody stary łasek. A z wnętrza wydobywało się właśnie coś brunatnego.

— To chyba poczwarka — wyjąkał Janek.

— Naturalnie, że poczwarka — uśmiechnął się nauczyciel.

— Jaki to brzyda! co to jest? — wołały dzieci, obstawiając Janka.

— Motyl.

i ów spojrzął z niedowierzaniem.

w tej chwili brzyda zaczął poruszać czymś na grzbiecie. Udał i rozkładał cierpliwie, pracowicie. To złożone, achlarze skrzydeł.

eci śledzą w skupieniu dziwną przemianę, która się na nich odbywa. Żadne nie śmie odezwać się głośnie, jakby spłoszyć czarodziejską chwilę. Skrzydła rozwijają się cicho. Połyskują tęczą, nieco jeszcze wilgotną, swoich oczek.

Pawik — objaśnia nauczyciel półgłosem.

szcze kilka długich chwil oczekiwania... i raptem motyl się ku oknu, skąd świeci południowe słońce. Uderza o szybę i siada. Wysuwa i rozwija delikatną trąbkę. Skłania i rozkłada skrzydełka.

— Chce jeść — domyśla się Janek.

Basia ma chleb z miodem. Czym prędzej zgarnia na skrawek panceru kilka żółtych, gęstych kropeł i podsuwa ostrożnie pod pyszczek pawika.

Zauważy, czy nie zauważy?

Zauważył lub raczej poczuł; oto delikatna trąbka, podobna do cieniuchnej sprężynki, rozwija się i zanurza w miód. Motyl pije, pochłania wprost słodki sok, aż barwne skrzydełka drżą w łakomym zapamiętaniu.

— Pije, naprawdę pije! — szepcą dzieci.

— A jaki żarłok! Musiał się dobrze wypościć w tym kokonie.

— Proszę pana, co z nim zrobimy? — dopytuje się Jane

Basia spogląda to na drżące przy szybie skrzydełka, to świat, zalany sierpniowym słońcem za oknami, tu i ówdzie prztkany złotem i purpurą jesieni.

— Puśćmy go — szepce nieśmiało. — Niech leci... Nie użyje swobody.

— Puśćmy! Niech leci! — woła coraz więcej głosów.

Z brzękiem otwiera się okno. Jeszcze chwila, i pawik, rozpocząwszy skrzydełka, ulatuje w przestrzeń.

Julia Duszyńska

Galasówka: gatunek owada, pasożytniczy na liściach dębu, na których tworzy kuleczki; — *kokon*: oprzęd poczwarki motyla.

3. Raz — dwa — trzy!

Raz!

Pierwsza rzecz — to wstawać rano!

Dwa!

Kto o krzepkie zdrowie dba,
ten się długo myje co dzień
mydłem, szczotką, w zimnej wodzie,
pluska, pryska, parska, rzy!

Trzy!

Trzyj ręcznikiem suchym ciało,
żeby aż poczerwieniało,
spraw mu, bracie, mocne wciery,
aż we krwi poczujesz skry!

Raz — dwa — trzy!

Cztery!

Gdy chcesz czerstwej nabrać cery,
żywym, bystrym być jak rてć,

wiedz, że sprawią to spacery!
 A codziennie rano:
 Pięć!
 Musisz się gimnastykować!
 Ciało w ruch rytmiczny wprowadź,
 ćwicz je prężnie i miarowo,
 bo to pięknie, bo to zdrowo,
 a dopiero potem:
 Sześć!
 Jeść!

4. Opiekunka.

Danusia nie ma młodszego rodzeństwa, ale sąsiadka, pani Sokołowska, ma Jacusia.

Danusia zawsze się nim opiekowała. Podawała mu grzechotkę wtedy, kiedy się różowymi piętami rozkopywał z pieluszek i pakował obie pięści do buzi. Trzymała za sukienkę, kiedy dreptał w koło swojego łóżeczka we włóczkowych pantofelkach. I teraz zajmuje się nim, kiedy jest już „duży“ i chodzi do przedszkola.

Jacek przedszkolak to już prawie kolega. Jacek jest dumny, i Danusia jest jakby trochę dumna z Jacka. Ma on już worek na kalosze i koszyczek do śniadań, teczkę na kajety i czerwony beret, i jest prawdziwym przedszkolakiem.

Ale pomimo tego, że jest już tak bardzo „duży“, ciągle jest przy nim coś do roboty: a to nos obetrzeć, a to but zawiązać, a to teczkę zamknąć, ale cóż na to poradzić.

Pani Sokołowska ma dużo pracy. Trudno jej Jacka odprować. A że Danusia chodzi do czwartej klasy, więc zabiera Jacka ze sobą, bo przedszkole jest o piętro niżej.

Danusia bierze Jacka mocno za rękę i maszeruje wielkimi krokami, a Jacek dryp... dryp... dryp... koło niej, podąża, jak może.

I kiedy się najbardziej śpieszą, zawsze się Jackowi rozwiąże but prawy albo lewy, albo oba razem. Musi przysiąść i but zawiązać, na to już nie ma rady. Kiedy przechodzą ulicę Danusia ścisła rączkę Jacka jeszcze mocniej, żeby się czasami nie wyrwał i nie wpadł pod tramwaj. Jacek z początku się bał, że

ich co przejdzie, ale teraz już nie się nie boi i śmiało przechodzi z Danusią ulicę.

W czasie pauzy Danusia zachodzi czasami do Jacka zanieść mu jabłko, zobaczyć, jak się bawi, czy zjadł śniadanie i czy ma czyste ręce. Z rękami bywa rozmaicie, a dziś to się zrobiła cała awantura: Jacek jeździł konno na patyku i nie wiadomo jakim sposobem weszła mu w palec ogromna drzazga. Pani opiekunka musi drzazgę wyjąć, ale Jacek ani słyszeć o tym nie chce. Fika nogami i koniec.

— Jacusiu, jeżeli nie dasz drzazgi wyjąć, to ci palec spuchnie.

— Nie spuchnie.

— Będzie palec bardzo bolał!

— Nie będzie bolał...

W końcu Jacek widzi, że nie ma rady, więc uderza w lament.

— Ja chcę Danusi!

Trzeba było Danusię z lekcji wywołać.

Danusia przybiegła, wzięła Jacka na kolana, przypomniała, jaki to on dzielny chłopiec, jak odważnie przechodzi ulicę, przytrzymała mu główkę, zakryła oczy, a pani prędko i sprawnie drzazgę usunęła. Zajodynować jednak musiała Danusia sama.

— No, ale z ciebie, Danusiu, prawdziwa opiekunka!

Danusia się zaczerwieniła:

— E, proszę pani, on mnie zna od samego urodzenia, to się do mnie przyzwyczaił...

Ale jest jej przyjemnie, tak bardzo miło i przyjemnie, że Jacek aż tyle jej okazał zaufania. Przecież panią opiekunkę tak lubi, a jak bieda, to tylko do Danusi, do nikogo więcej.

I nagle wszystkie starania koło Jacka: prowadzenie go do szkoły, zawiązywanie sznurowadeł, wycieranie nosa wydały jej się wobec takiego zaufania śmiesznie drobne.

Maria Kowrnacka

5. Na wycieczce.

Ruszyli. Każde z dzieci niosło coś na grzyby: koszyk, kobiałkę, czy chusteczkę. Janek dźwigał kosz tak wielki, że całyby się w nim zmieścił.

— Oho, ja umiem grzybów szukać! Ten kosz nabieram cały, nawet z czubem i to samych prawdziwków! — przechwalał się.

Piotruś szedł zawinięty w matczyną chustkę, tylko mu koniec nosa wyglądał. Zosia już przed szkołą złapała nauczycielkę za rękę, bo ten nieborowski las jest wielki, to bała się w nim zginąć.

Droga ze wsi do lasu teraz, o jesieni była o wiele krótsza: szło się na przełaj to rolę, to bruzdami ziemniaczyska, to pokoszonymi łąkami.

Przed samym lasem nauczycielka ostrzegła:

— A nie oddalajcie się bardzo jedno od drugiego, bo w boru łatwo zabłądzić. Coraz zwolujcie się. A młodszy wszyscy koło mnie.

Proszę pani — pisał Piotruś — ja pójdę z Markiem! Proszę pani!

— No, dobrze, już dobrze. Marku, oddaję ci w opiekę Piotrusia.

— Mam grzyba! — krzyknął w tej chwili Franek.

Dzieci rzuciły się w gęstwinę, i już po chwili wcale ich z poza jałowców nie było widać. Tylko raz w raz ktoś wykrzykiwał radośnie:

— O, mam, mam!



Marek i Piotruś wzięli się ku porębie, bo tam na miejscach odsłoniętych lubiły rosnać rydze.

Pośrodku poręby, w zagłębieniu połyskiwało bajorko. Wodę miało czarną i nieruchomą, że zdawało się być nalane gęstą smołą; brzegi miało bujnie obrosłe trzmieliną i głógiem. W jednym miejscu tylko krzaki te nie schodziły się ze sobą. Roztwierało się tu okienko, poprzez które połyskiwała tajemnicza woda.

Cała poręba pokryta była jałowcem. Miejscami otaczał on łysiny, tylko trawą porosłe, miejscami okrażał wrzosowiska, teraz różowo-liliowe, mocno pachnące.

Marek i Piotruś szukali pilnie rydzów po polankach i na brzegach wrzosowisk. Marek raz wraz podnosił głowę i rozglądał się, czy mu aby Piotruś nie zginął. Minał im tak spory kawałek czasu, aż w pewnej chwili Marek usłyszał krzyk krótki, przenikliwy, a po nim na porębie zaległa cisza.

Marek rzucił się w stronę, skąd go krzyk doleciał.

— Pietrek! Piotruś!

Cisza.

— Piooooootruś! Ho-hop!

I naraz posłyszał chrapliwy bulgot od strony bajorka. Rzucił się w tym kierunku.

— Boże, pani mi zawierzyła!

Ujrzał z drugiej strony bajorka nauczycielkę, biegnącą co tchu i dającą rękami rozpaczliwe znaki. Ale on już rozgarniał krzaki nad bajorem.

Niedaleko brzegu gmerała się w wodzie jakaś czarna, ociekająca kupa.

— Piotruś! Laboga!

Marek w jednej chwili skoczył ku temu miejscu, ułamał gałąź i podsunął ją Piotrusiowi. Nieszczęsna kupa przywarła do gałęzi.

Marek ciągnął ją ku brzegowi.

— Trzymaj się mocno! Daj mi rękę! I drugą! No... no...

Czarna kupa wygramoliła się na czworakach na brzeg.

— Czemuś nie wołał?

Ale Piotruś i teraz nie mógł głosu wydobyć. Chustka zacisnęła mu się dokoła głowy i zakneblowała usta. Stał z zamkniętymi oczami, oblepiony czarno-zielonym szlamem, i trząsł się jak galareta.

Marek garściami pozgarniał z twarzy i szyi Piotrusia błoto,

a potem wziął się do ściągania ubrania. Wszystko było mokrzuteńkie, czarne i ciężkie od błota. Rozebrał go zupełnie, wytarł mchem, a potem chwycił z głowy swą czapkę i dalej nią Piotrusia rozcierać.

Nadbiegła nauczycielka. Teraz już rozcierali oboje, aż Piotruś otworzył oczy i próbował mówić, choć zęby mu latały jak w febrze:

— Już... mi... mi... ciepło.

— Jakżeś tam wpadł?

— Co... goniłem jaszczurkę... Chu... chustka zasłoniła mi oczy... nic... nie widziałem... brzeg podmyty...

— No, teraz biegnijmy, żebyś się rozgrzał. Mamy butelkę z ciepłą herbatą, to ci dam. Prędej! Ho-hop!

Janina Porazińska

Trzmielina: gatunek krzewu z owocami trującymi; — *szlam*: rzadki muł (błoto), pokrywający dno stawów, jezior itd.

6. Nasza gromada.

Nasza szkolna gromada
o przyjaźni nie gada,
ale za to w potrzebie
każdy zrobi za ciebie,
co będzie mógł.

Nasza szkolna gromada
i o zgodzie nie gada,
lecz, gdy ważna jest sprawa,
wszyscy stają jak ława,
jak skalny próg.

Nasza szkolna gromada
o dzielności nie gada,
mówi za nią ochota,
serce szczerze od złota,
czyste, bez skaz.

Choć się czubi ktoś czasem,
mruczy groźnie i basem,
trafi się zła przygoda,
on pomocną dłoń poda
każdemu z nas.

Maria Czerkawska

7. Gazetka szkolna.

Olek zgubił scyzoryk, więc podczas przerwy chodził wśród chłopców i pytał:

— Może kto znalazł mój scyzoryk? W czarnej oprawie z masy, z białymi żyłkami, jedno ostrze złamane na samym czubku, a drugie trochę tępe?

Koledzy odpowiadali, że nie, a w dodatku śmiali się:

— Taki tam scyzoryk! Kup sobie nowy!

Ale scyzoryk podarowała mu mama, i to był scyzoryk pamiątkowy. Podczas drugiej przerwy Olek napisał kartkę:

*Zgubiono scyzoryk. Kto znalazł, niech odda
Olkowi, klasa czwarta.*

Posmarował kartkę klajstrem i przylepił ją na parkanie szkolnym, tuż przy furcie. Dopiero potem zauważył, że na drugiej desce parkanu bielila się druga, taka sama kartka. Przeczytał:

Znalazłem scyzoryk. Jan Piekarczyk, klasa piąta.

Olek aż usta otworzył ze zdziwienia, po czym odszukał tego Piekarczyka.

— To ja zgubiłem scyzoryk — — rzekł.

A Jan Piekarczyk zapytał:

— Jak wyglądał twój scyzoryk?

— Czarny z białymi żyłkami, jedno ostrze złamane na czubku, a drugie tępe.

— W porządku — rzekł Piekarczyk i oddał Olkowi jego zgubę.

Na drugi dzień nauczyciel wychodzi po lekcji na dziedzi-
niec, a tu z dziesięć kartek bieli się na parkanie. Między
ogłoszeniami o zgubie była kartka z zapytaniem:

*Kto ma książkę pod tytułem „Sokole Oko“, może
mi pożyczy do przeczytania?*

Nauczyciel zamyślił się, a potem klasnął w dłoń:

— Hej, chłopcy! Zbiórka!

Zebrali się, stanęli wkoło. Nauczyciel zapowiedział stanow-
czo, że nie wolno naklejać kartek na parkanie. Zamiast kartek
mogą napisać swoje ogłoszenia i pytania na dużym arkuszu
papieru i wywiesić w korytarzu szkolnym.

Tak powstała gazetka szkolna.

Z początku były to same ogłoszenia, potem przypomnienia
o zebraniach kół samorządu szkolnego. Ale jednego dnia chłopcy
przeczytali coś, co nie było ogłoszeniem.

Jesteśmy kolegami,

ty i ja,

nie skarż się na mnie!

Chłopcom ten napis podobał się bardzo. Na korytarzu
ciągle słyszano, jakby piosenkę:

— Jesteśmy kolegami, ty i ja.

Jan Piekarczyk w klasie piątej opisał krótko przedstawienie w szkole, i chłopcy zdecydowali, żeby ten opis umieścić w gazetce. Piotrek z szóstej przyniósł artykuł o piłce nożnej. Co tydzień zmieniano arkusz na ścianie w korytarzu, i co tydzień chłopcy stali z zadartymi głowami, czytając to głośno, to pocichu. Gazetka wyglądała coraz ładniej. Chłopcy układali ją teraz razem, siedząc w świetlicy.

Mania z trzeciej przyniosła odrysowany wzór serwetki, i chłopcy zgodzili się, żeby taki wzór umieścić w gazetce, niech i dziewczęta coś mają dla siebie. Jan Piekarczyk podjął się prowadzić taki osobny dział: „Z szerokiego świata“. Wyciął ilustracje z prawdziwej, drukowanej gazety dla dorosłych, przykleił i umieścił podpisy objaśniające. Tu dzieci ze szkoły same budują boisko szkolne, tam znów ten chłopiec, który gra w kinie w Ameryce, tu ogromny dom, najwyższy w Warszawie. Tu znów młode lwy z ogrodu zoologicznego, a tuż zaraz budowa mostu z pobliskiego miasteczka.

Klasa szósta dostarczyła historyjki w obrazkach: „Wicek i Wacek“. Wyszedł numer o morzu polskim i numer na Boże Narodzenie, ubrany gałązkami świerczyny. Nauczyciel podsunął myśl, aby umieścić na końcu numeru zagadki. Zagadki i rebusy posypały się jak z rękawa. Trzeba było powiększyć arkusz papieru, a potem dodano jeszcze jedną stronę. Zdjęte numery przechowano w świetlicy. Pewnego razu nauczyciel rozłożył wszystkie numery na stołach, i chłopcy porównali pierwszy numer z ostatnim i pierwsze swoje prace z późniejszymi. Oho, gruba różnica! Z ostatniego numeru byli już dumni, tak się udał. Pan nauczyciel roześmiał się i rzekł:

— To wszystko stało się przez stary scyzoryk Olka w czarnej oprawie z białymi żyłkami.

Pola Gojawicyńska

Zagadka: *Nie wszędzie ją można spotkać.*

Ma ją szarak, zając nie.

*W puszcze skryła się do środka,
a zaś w szyszce siedzą dwie.*

Nastusia już od progu poznała głos chrzestnego i ucieszyła się bardzo. Chrzestny był dróżnikiem przy szosie. Miał gruby głos, śmiejące czarne oczy i zawsze opowiadał ciekawe historie. Skoczyła go powitać.

— O — rzekł chrzestny — a cóżeś ty na głowie szła, zamiast na nogach?

— Albo co?

— Pełno masz piasku na włosach.

— Ee, to z wydmy tak macie dzisiaj. W niedzielę oczy mi zaprószyło, dwa dni mnie bolały.

Chrzestny pokiwał głową. Na wydme narzekali wszyscy. Leżała opodal, pod lasem, taki szmat gminnego nieużytku, szczyry piach, na którym ani jałowiec, ani źdźbło trawy nie rosło. Wiatr tylko harce tam wyprawiał i czasem miótł piaskiem aż na pobliskie ogrody.

Zaraz też zesła rozmowa na lotne piachy koło szosy, które właśnie obsadzano teraz z rozkazu inżyniera. Nastusia aż na ławie uklękła, łokcie na stole oparła i tak się z otwartymi ustami zasłuchiwała, że chrzestny zażartował:

— Uważaj, bo muchę połkniesz!

A matka zaraz:

— Idź, Nastusiu, Józia pokołysz. Co cię to tam obchodzi.

Nazajutrz Nastusia długo coś szeptała z wójtem klasowym, a potem wójt zwołał zebranie nadzwyczajne na szóstą po południu.

Zebranie nadzwyczajne? Tego jeszcze nie było, jak klasa klasą i samorząd samorządem. To będzie coś ciekawego! Już o wpół do szóstej zebrały się wszystkie dzieci; nawet Franek nie poszedł na ryby, choć go starsi chłopcy namawiali. Wtedy Marek przemówił:

— Słyszałem kiedyś przez radio, że u nas w Polsce sporo jeszcze ziemi się marnuje przez to, że jest dużo nieużytków. Wiecie, co to są nieużytki?

— Pewnie! Takie sobki, co nikomu nic nie użyczą — wyrwała się po swojemu Zośka.

A chłopcy w śmiech:

— Też powiedziała, co wiedziała! Użytki to piachy, bagna, taka ziemia nieużyteczna!

Zośka już chciała się obrazić, ale nie zdążyła, bo Marek przemówił w tej chwili:

— Możemy tak zrobić, my, czwarta klasa, że o jeden nie-
użytek będzie w Polsce mniej.

Zrobiło się najpierw bardzo cicho, potem wszyscy naraz zaczęli krzyczeć i wypytywać. Więc Marek przypomniał im wydmy pod lasem i opowiedział, jak to przy szosie zalesiono lotne piachy akacją i wierzbą.

— Chcecie zalesić wydmy?

— Chcemy! — i wszystkie ręce podniosły się jak las do góry.

— Ale czym?

— Ja radzę wierzbą, bo to najłatwiej.

— Nie, akacją! Pasieki są we wsi. Sadźmy akacje.

— Mądryś! A skąd weźmiemy sadzonek?

Dopiero Kuba przypomniał o szkółce akacjowej w szkolnym ogródku. Pan kierownik na pewno pozwoli wziąć stamtąd sadzonek.

Pan kierownik, skoro mu się zwierzyli ze swoich zamiarów, nie tylko pozwolił i pochwalił, ale się jeszcze ucieszył, że mu tych akacyjek ubędzie. Tyle tego chłopcy nasiali, że nie wiadomo było, gdzie rozsadzać.

— Tylko radzę wam zaprosić całą szkołę do pomocy. Im więcej rąk, tym lepiej i prędzej pójdzie robota.

Tak więc sprawa wydmy została ostatecznie postanowiona.

A w pewne wiosenne popołudnie, pachnące świeżą zielenią i słońcem, cała wieś wyległa patrzeć na dziwne widowisko. Środkiem ulicy maszerowało istne wojsko: chłopaki i dziewczęta, każde z łopata na ramieniu, jak z karabinem. Przodem szedł Franek i bił co sił w bęben, a z kilkudziesięciu młodych piersi rwała się w roześmiane niebo huczna i buńczuczna piosenka:

Ejże, chłopcy, dalej żywo,
otwiera się dla nas żniwo!

— Szczęść Boże! — wołano im od progów i z poza płotów, a małe dzieciaki gnały hurmą za nimi.

Stanęli przed wydmy, Pan kierownik wyznaczył robotę i zawołał wesoło:

— No, zaczynamy w imię Boże!

Zgrzytnęły w syplikim piachu łopaty. Rozpoczęła się rzetelna,

mozolna praca i to nie na jeden dzień. Mali robotnicy przerznęli wydmgę rowkami wzdłuż i w poprzek, zasypali te rowki leśną ziemią, powsadzali w nie malusie sadzonki o dwa metry jedna od drugiej.

Teraz nie mówią inaczej o wydmgie jak: „nasza wydma“.

Julia Duszyńska

Szmat: kawał; — sobek: samolub.

II. NA WSI.

9. Moja chata.

Moja chata żerdziami podparta,
bo się chyli i gnie od starości,
ale zawsze dla wszystkich otwarta,
chlebem czarnym każdego ugości.

Moja chata ma dach kryty słomą
i okienko ma takie malutkie...
Ale mi tu wesoło! Wiadomo!
Pocóż karmić się łzami, a smutkiem?

Mojej chacie całymi dzionkami
jasne słońko jak złoto przyświeca,
w mojej chacie świerszcz mieszka i gra mi
swoje śliczne piosenki zza pieca!

Mojej chaty anieli mi strzegą,
niosąc spokój, jakiego nie znacie!
Wielka zgoda tu jest i dlatego
tak mi dobrze, jak nigdzie, w tej chacie!

Janina Gillowa

Gdy rodzina żyje w zgodzie, to jej bieda nie dobodzie.

10. Ogródek Jagusi.

Wieś tonęła w zieleni sadów. Tu i ówdzie były też ogródki przed chatami. Złociły się w nich nasturcje i nagietki, a z ciemnozielonych krzaków georginij wyzierały purpurowe kule kwiatów.

— Kasiu — prosiła Jagusia starszą siostrę i od śmierci matki gospodynię w chacie — czemu nie zrobisz ogródka przed naszym domem, jak inne dziewczyny?

— Albo to mam czas? Chcesz, to zrób! Ja ci nie bronię.

Zamyśliła się Jagusia. Może naprawdę poradzi sobie sama?

Zaraz po szkole wyszła przed dom z kopaczką i dalejże siec-gaszcz młodych chwastów, wydzierać je z korzeniem.

— Jagusia, co ty robisz? — zawołał przez płot Franek.

— Nie widzisz? Ogródek na kwiaty.

— A kto ci skopie?

— Ja sama.

— E...he...he... — zaśmiał się Franek. To pewno skończysz na święty Michał.

— Zobaczmy — odpowiedziała Jagusia. Zgrabiła poszarpane zielsko na płachtę i wyniosła do śmietnika.

Teraz można było kopać. Ale z tym szło trudniej. Ziemia była twarda, zbita, a łopata ciężka i tępa. Jagusia przystawała co chwilę aby otrzeć pot z czoła.

Wtem nad płotem ukazała się najpierw łopata, potem czerwona chusteczka, wreszcie uśmiechnięta twarz Marysi Wojciechów.

— Jaguś, ja ci pomogę. Dobrze?

I za chwilę już kopały we dwie, śpiewając donośnie:

Siałam rutę, siałam miętę,
siałam i leliję...

Zza płotu wyrzwał znowu Franek.

— Ho... ho... już sobie najęłaś pomocnicę? Dużo ci urosnie na takiej jałowej ziemi.

— Podrzuci się przecież nawozu.

— A skąd weźmiesz? Tato ci nie da obornika na taki tam ogródek.

— To na pastwisku sobie zbieram.

— Oho, to będziesz zbierała do świętego Michała.

— Może i nie. Może mi kto pomoże?

— Ciekawym, kto?

— Pewnie, że nie ty — wtrąciła się Marysia. — Chłopaki umieją tylko dogadywać i psocić. Do roboty ich nie ma.

I wbijając rydel w twardą ziemię, zanuciła wesoło:

Nie wyganiaj, owczareczko, owiec na rosę,
bobyś sobie zamoczyła nóżki twe bose,
da dana, nóżki twe bose.

Do wieczora ogródek był skopany. Dziewczęta radziły właśnie, co posieją.

W tej chwili kosz jakiś śmignął przez płot i upadł ciężko do ogródka. A nad płotem ukazała się konopiasta, rozwichrzona czupryna i roześmiane oczy Franka.

— Żebyście wiedziały, że chłopaki nie tylko są do przygadania! — krzyknął.

— Franuś, jakiś ty pocziwy! — zawołała Jagusia, wysypując nawóz z kosza. — Dam ci za to najładniejszy słończnik.

— Pamiętaj! I sam sobie wybiorę! — krzyknął Franek już z daleka, bo śpieszył do chłopców, którzy właśnie stawiali most nad rowem.

Tymczasem dziewczęta zabrały się do robienia „gwiazdy“.

Marysia wbiła kołek na środku ogródka i długim patykiem na sznurku wyrysowała dwa koła: jedno duże, drugie wewnątrz mniejsze. Namozoliły się niemało, zanim to koło podzieliły na sześć równych części. Każdą część oznaczyła Marysia patykiem. To były końce sześciu ramion gwiazdy.

Potem od tych końców rysowały ramiona. Było z tym kłopotu dość. Jedno ramię do drugiego niepodobne. Jedno cienkie i śpiczaste, drugie znów pękate. Mazały, poprawiały, póki nie wyszło równo,

Na drugi dzień Jagusia obsiała swój ogródek. Pierwsze nasturcje zaczęły się wypychać spod ziemi, potem wysypała się i maciejka drobniutka jak mech. Aż któregoś ranka mała Zosia sąsiadów zajrzała przez płot i krzyknęła:

— Jaguś, a chodźno! Zakwitła ci jedna nasturcja, taka żółta jak miód!

Jagusia wybiegła i nachyliła się nad nasturcję. Żółta była jak miód i pachniała miodem.

A Zośka użaliła się głośno:

— Jabym też chciała mieć ogródek, ale przecież nie dam rady...

— Nie martw się! — zaśmiała się Jagusia. — Ja ci pomogę i Marysię namówię. We trzy zrobimy jeszcze śliczniejszy ogródek, niż mój.

A Zośka zeskoczyła czym prędzej z płotu i pognęła do domu po kopaczkę, wołając:

— I ja będę miała ogródek! I ja!

Julia Duszyńska

11. Rankiem.

Posrebrzało pole rosą,
chodzi zorza stopką bosą,
chodzi miedzą, chodzi żytem,
sieje perły srebrnym sitem.
Zaszeptaly liściem drzewa,
pierwszą nutkę ptaszę śpiewa,
dzionek modrą idzie drogą...

Zresztą nigdzie nic, nikogo!...

W sinym jarze wioska drzemie,
opar kryje łążne ziemie,
wierzby w strugach wodę piją,
mgły leciuchną przędzę wiją,
gaje mówią w głos pacierze,
ślubną suknię brzoza bierze,
macierzanki pachną błogo...

Zresztą nigdzie nic, nikogo!...

Spod zroszonej ziemi grudki
wstają jasne niezabudki,
roztulają złote oczy
u zdrojowych wód przeźroczy.
Maczek zbudził się zajęczy,
kropelkami rosy brzęczy,
za nim bratki, jako mogą...

Zresztą nigdzie nic, nikogo!...

Maria Konopnicka

Jar: parów, wąska dolina ; — *opar*: mgła nad wodą ; —
łążny: łąkowy ; — *niezabudka*: niezapominajka.

12. Orka.

I.

Zafrasował się srodze stary Sambor, kiedy mu doniesiono, że synowi jego, Boguszowi, socha przy orce pękła.

— Jak to się stało? — spytał.

— Na kamieniu utknęło. Woły szarpnęły... i wyrwały kamień, ale urwały i sochę ze szczętem.

— Oj, Bogusz, Bogusz! Nie uważasz i takiej biedy narobiłeś. Wiesz co? Sochy my teraz ładować nie będziemy, bo nie ma czasu. Zróbmy radło. Dawniej radłem orali i dobrze było, to i teraz musi wystarczyć. Odprowadź woły do domu i przyjdź do lasu z siekierą. A i z motyką.

Pognał Bogusz woły do zagrody, wziął z chaty kamienną siekierę i takąż kamienną ni to motykę, ni to łopatę. Ot, płaski kamień, przytwierdzony do drążka.

Zabrali się do roboty. Krwawa była ta robota. Motyka nie chciała kopać, a siekiera rąbać. Ręce mdlały i opadały z wysiłku. Ale wytrzymałość ludzka była silniejsza i od motyki i od siekiery. Pół dnia im zeszło z tym kopaniem, ale wreszcie puścił ostatni korzeń i niebawem drzewko leżało już na polanie.

Dębczak był spory. W najgrubszym miejscu był jak ramię ludzkie. Niemal przy samych korzeniach, z głównego pnia wyrastała w bok potężna odnoga-konar. Korzenie liczne i silne rozchodziły się we wszystkie strony.

Bogusz, który nigdy nie widział, jak się radło robi, przyglądał się ciekawie pracy ojca.

Stary oczyścił najpierw główny pień z gałązek na dużej przestrzeni i obciął wierzchołek. Potem odrąbał ów konar, ale nie przy samym pniu, tylko o jakieś półtoorej stopy od pnia. Powstał z tego jakby hak. Sambor jął siekierą obrabiać ów krótki koniec, czyniąc z niego prawdziwe ostrze.

Wreszcie wziął się do korzeni. Większość ich poobcinał, zachował tylko dwa silne, grube korzenie, wyrastające z drzewa z przeciwnej strony, niż owo ostrze haka.

— Radło gotowe — rzekł do syna.

Bogusz zdziwił się wielce.

— Jakże tym orać, ojczcze?

— Zobaczysz.

Przygnał Bogusz znowu woły z jarzmem. Sambor przymoco-

wał dłuższy koniec radła do jarzma. Bogusz zaczął rozumieć.

— Aha. To ostrze pójdzie w ziemię.

— Nie ostrze, synu, jeno radlica. To się radlica nazywa.

— A korzenie do trzymania radła, prawda? Rękami?

— Tak. No, a teraz spróbuj. Dziadowie nasi inaczej orać nie umieli, to i ty się naucz. Tylko odwał ten kamień z pola na bok, bo nam znowu radło urwie tak, jak sochę popsuł.

Bogusz odwalił kamień i ujął rękami za korzenie. Krzyknął na woły. Zaostrzona dobrze radlica worała się w ziemię. Radło skakało trochę, więcej rwało ziemię, niż orało, aleć zawsze spulchniało rolę.

A kiedy orka była skończona, zaprzął Bogusz woły zaraz do brony. Tą broną póty jeździł po polu, dopóki brył nie porozbijał, chwastów nie wycesał, póki cała rola nie stała się pulchna, czysta, pachnąca, siewu spragniona.

Wyjdzie wtedy na pole stary Sambor, płachtą obwiązany. W płachcie pełno złotego, ciężkiego ziarna.

Pokłoni się stary bogom, wetknie garść w ziarno.

Rzeknie: Będzie.

Odrzuci rękę w tył dla rozmachu.

Rzeknie: Nie będzie.

Zamachnie się potężnie ręką, złote strugi przez palce puszczając na pole.

Rzeknie: Musi być.

II.

A kamień, wyrzucony na bok, na miedzę, leżał długo, długo. Tak długo, że z czasem wrósł w ziemię zupełnie i tylko z wierzchu go było trochę widać w trawie, jak łysinę. Płynęły lat setki... tysiące...

Wielka, pszenna niwa pod lasem, jeszcze tak niedawno leniwie grzejąca w słońcu swe dojrzałe kłosa, była od paru dni pełna zgiełku i wrzawy. Wzięły ją z hałasem w obroty dwie czterokonne żniwiarki-wiązałki i w jeden dzień, czy w półtora wygoliły pole ze szczętem. Pszenica była czysta, bez chwastów, suszyć jej na polu nie było potrzeby, to też ledwie wiązałki skończyły z jednej strony pola, kiedy w drugiej pojawiły się wozy i dalejże zwozić zboże do stert i stodół.

A jeszcze ostatni wóz nie zjechał z pola, już z chrzęstem wjeżdżał na ściernie ogromny pług motorowy, czarny jak smok,

z błyszczącym ogonem swoich czterech pługów, w jedną wspólną ramę oprawnych.

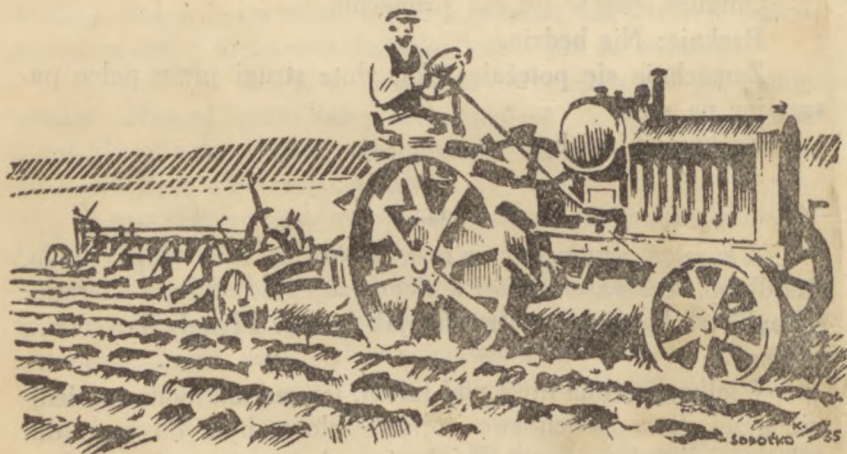
Chwilę stał, jakby się chciał rozejrzeć, z którego końca zacząć, potem warknął mocniej, zachrzęścił potężnymi wiązadłami, pługi błyszczącego ogona wryły się wszystkie w ziemię i ruszył ostro, można by powiedzieć z kopyta, gdyby nie to, że wszystkoby można było w tym smoku znaleźć, ale nie kopyto.

Za nim wyrastała szybko poczwórna grzęda pulchnej, pachnącej ziemi.

W pewnej chwili traktor stanął. Mechanik, który jechał na siodełku, zeskoczył na ziemię i na Jaśka, czeladnika swego, krzyknął.

— Siądź-no, Jasiu, na siodełko i poprowadź traktor. Widzi mi się że on, bestia, krzywi w lewo, chcę mu się z tyłu przyjrzeć, jak orze.

Siadł Jasiu na siodełko, chwycił za kierownicę. Okrągła, podobna do tych, jakie są w samochodach. Ruszył. Tłucze się motor w traktorze, tłucze się i w Jaśku serce, bo nigdy jeszcze na takim smoku nie jeździł.



Koniec pola. Czas nawracać. A tu Jasiu, czy się zagapił, czy źle obliczył, wpakował się z traktorem na wysoką miedzę. Rzuciło smokiem w prawo, w lewo, w tył i w przód, rzuciło i srebrzystym jego ogonem, i Jaśkiem w siodełku. Szczęknęło coś pod pługami, szarpnęło i spod jednej z odkładnic wyskoczył duży kamień, tak w miedzę wrosnięty, że go tylko z wierzchu było trochę widać, jak łysinę.

Mechanik krzyczy na Jaśka.

— Cóż ty oczu nie masz? Patrz, jakiś kamień wyorał! Dobrze, żeś pługa nie urwał.

Mechanik orał już sam, aż warczało, a drugiego dnia pod wieczór całe pole było zorane.

Pługiem pojedynczym trzeba by chyba orać ze trzy tygodnie.

A radłem — mocny Boże — z pół roku.

Kazimierz Konarski

Socha: pług z drewnianym ostrzem do krajania ziemi; — *radło*: narzędzie rolnicze do spulchniania ziemi; — *stopa*: miara długości; — *traktor*: pług motorowy; — *mechanik*: robotnik, który pracuje przy robieniu lub naprawianiu maszyn; — *lemiesz*: ostra część pługa, krajająca ziemię.

13. Franuś młynarczyk.

Nad rzeczką stał młyn. Postawił go Józef Chęciński, niezamierzony gospodarz. Niewiele miał ziemi, nie mógłby z niej wyżyć, więc skorzystał z tego, że przez jego grunt przepływała właśnie ta rzeczka.

A roboty nie brakło, bo inne młyny były daleko, więc gospodarze sąsiednich wiosek przywozili do Chęcińskiego swoje zboże. Młynarz uwijał się od rana do wieczora, wnosił i wynosił worki z żytem, ważył je, a potem zsypywał do kosza z niewielkim otworem, przez który ziarno spadało po trochu między dwa ogromne kamienie i ścierało się tam na mąkę.

Pewnego dnia młynarz siedział nad takim kamieniem i medytował, że trzeba go będzie znowu nakuć. Powierzchnia od ciągłego mielenia zrobiła się gładka i ziarno rozgniało się tylko, zamiast ścierać się na mąkę. Nakuwanie kamienia zajmuje dużo czasu, toteż Chęciński z westchnieniem wziął ostro zakończony młotek. Dzyń-dzyń! — za każdym uderzeniem odpryskiwał kawałeczek piaskowca, a na kamieniu zjawiało się maleńkie wyżłobienie, czyniące powierzchnię chropowatą i znów przydatną do pracy. Młynarz kuł tak już dobrą godzinę. Właśnie podniósł głowę, aby trochę odpocząć, gdy ujrzał stojącego we drzwiach chłopaka, którego znał od dawna.

Był to Franuś sierota. Przygarnęła go przed kilku laty wdowa Wiśniewska, mieszkająca w sąsiedniej wiosce.

— Cóż, Franku? — spytał Chęciński. — Przysłała cię gospodyni do młyna? Macie już nowe żyto?

— To nie wiecie, gospodarzu, że nam woda wszystko zniszczyła? Nie będzie latoś chleba! — Chłopiec westchnął. — Gospodyni przeniosła się do siostry, bo i chatę zalało... Oj, narobiła Wisła szkody! Będzie u Wiśniewskich głód do nowych zbiorów!

— A ty co z sobą zrobisz? Pewnie do służby gdzie pójdziesz, skoro opiekunce tak ciężko?

Franuś nagle pokłonił się do samej ziemi:

— Żeby mnie pan młynarz wziął do pomocy! Ja i krów umiem dopatrzeć, i konia... A do młyna okrutną mam ciekawość!

— Patrzcie, jaki mi wielki pomocnik! — zaśmiał się Chęciński. Ale że miał dobre serce, poszedł się z żoną naradzić, i po namyśle postanowili oboje, że chłopaka wezmą na próbę. Do szkoły już chodził przez cztery lata, pisać umie, będzie zapisywał, ile który gospodarz przywiózł czego na przemiał. A i do lepszej roboty we młynie może się nada.

I Franuś został „młynarczykiem“.

Rzeczywiście miał wielką do młyna „ciekawość“. Gdy go czasem Wiśniewska przysłała z jęczmieniem na kaszę, to czekając, patrzył a patrzył, że mało oczu nie wypatrzył! Bo ten młyn terkotał wciąż, jakby coś gadał... Woda, spadając z góry, szumiła, różne koła i kółka poruszały się jak żywe. Podłoga i ściany drżały od tego klekotu, stuku, huku, a Franuś słuchał zachwycony i wydawało mu się, że młyn wystukuje wyraźnie takie naprzykład słowa: „Bę-dzie chleb! Bę-dzie chleb!“ A gdy było dużo roboty, kiedy jednocześnie z pyłem i razówką pracował i perlak, czyli kamień z tarką blaszaną do obcierania kaszy, wtedy młyn klekotał prędko, a wesoło: „Do-bra mą-ka! Do-bra mą-ka! Do-bra mą-ka!“

Po tygodniu czuł się Franuś we młynie jak w domu. Po skończonej robocie wymiatał miotłą wszystkie kąty i zakamarki. Chęciński bardzo był z chłopaka zadowolony. Zauważył, że nigdy we młynie nie było tak czyściutko i porządnie, jak teraz. Pochwalił nawet Franusia i obiecał, że mu na zimę sprawi nowe buty.

Któregoś dnia młynarzowa powiedziała do męża przy obiedzie:

— Jakto Franek we młynie sprząta, że zmiotków nie ma? Od trzech dni nie mam czym prosiakom zielska zasypać!

Młynarz spojrział zdziwiony na Franka, ten poczerwieniał i nagle wybuchnął płaczem.

— Nie gniewajcie się... te... te zmiotki ja zebrałem... Tak wyprzątałem, żeby więcej było... Chciałem zanieść Wiśniewskim... bo u nich... taka bieda... Chleba wcale nie mają... Myślałem, że nikogo nie ukrzywdzę... I nawet chciałem prosić, żeby mi pan młynarz pozwolił iść zanieść... ale wciąż nie śmiałem...

Pobiegł do izdebki, gdzie sypiał, i przyniósł woreczek zmiotków.

— Już mi wybaczcie, panie młynarzu...

Chęciński spojrział na żonę, a ta podeszła do chłopca i pogłaskała go po głowie.

— Tę mąkę mi oddasz, będzie dla moich prosiąt. A Wiśniewskiej pošlemy lepszej mąki. Powiesz opiekunce, żeś na nią uczciwie zapracował. Ale już sam nic nie bierz z młyna. No, a teraz nie mazgaj się, idź do młyna i do roboty.

Franuś pocałował w rękę młynarzową, potem Chęcińskiego i pobiegł do młyna uradowany. Z daleka już słychać było szum wody, a pocziwy młyn klekotał po swojemu, wesoło i przyjaźnie:

— Do-bry chleb! Do-bry chleb! Do-bry chleb!

Wanda Miłaszewska

Medytować: rozmyślać; — latoś: tego roku.

14. Jak Półpanek chciał cały świat przekrzyczeć.

Nad strugą, pod łopianem przemieszkiwała żabia jedna familia, do której należał Półpanek. Na całym brzegu strugi nie było żaby, która by tak głośno skrzeczała o sobie, jak ten Półpanek. Jakiego to on rodu jest, jaki to głos cudowny ma, jaki rozum i talent muzyczny.

Ćwiczył się co dzień w śpiewaniu, że jednak zawsze takt gubił, musiał mu krasnoludek Modraczek wybijać go pałeczką, wyłamaną z trzciny.

Co to był przy takiej lekcji za wrzask, jaki skrzek! Żaba darła się jak opętana, Modraczek walił swoją trzcina tak, jakby ze trzy baby kijankami prały, a żuki, muchy, komary, wróble nawet, wszystko to uciekało z piskiem, z brzękiem, z trzepotem.

Ale nie wszystko uciec mogło. Lilie wodne wychylały swoje białe kielichy, prosząc choć o chwilę spokoju, choć o odrobinę ciszy.

Trzciny i tataraki nie były tak uprzejme, te od razu zaczęły w pałki swoje tłuc i w długie miecze traskać.

— Ktoż to tak wrzeszczy — wołały — jakby go ze skóry darto? A nie będziesz ty cicho, krzykaczu? A pałką go! A nuż szablą po nim!

Ale opętany zazdrością i pychą Półpanek nie zważał ani na groźby, ani na prośby. Owszem, tym zapalczywiej krzyczał, aby je zagłuszyć, tak że mu się gardło wydeło, jak najtęższy pęcherz.

— Dlaboga! — wołał przerażony Modraczek — jeszcze mi się tu w oczach rozpukniesz!

Ledwie to rzekł... krrach! skóra, napięta jak na bębnie, trzasła, a Półpanek, jak stał, tak padł, raz tylko zipnąwszy.

Szła wtedy gajem stara babuleńka i zbierała zioła.

— Ty rosiczko, rosiczko! — mówiła. — Tysiąc listeczków w tobie. Dobraś ty od oczu bolenia, chodź do kobiałki!

I zrywała babuleńka przygarść zioła świeżego i szła dalej.

— Oj, ty macierzanko, ty ziele! Mocny dech w tobie, dobraś w chorobie, pójdź do kobiałki!

Chwilę rwała w ciszy pachnące listeczki, po czym już odejść miała, kiedy trafiła kijkiem na korzonek, wystający z ziemi. Schyliła się babuleńka i ciągnie ów korzonek do siebie, a ziemia do siebie. Wtem uderzy w powietrze krzyk słaby...

— Co takiego? — szepnie babuleńka. Ruszy sporym krokiem, sztykuta, jak może, kijkiem się podpierając. Spojrzy, a tuż nad strugą tłum krasnoludków otacza żabę bez ducha, ręce załamuje, płacze, lamentuje. Więc babuleńka podejdzie bliżej i pyta:

— A co Pan Bóg dał?

Aż do niej zakrzykną krasnoludki:

— Ach, muzykantowi naszemu gardziel pękł! Ratujcie muzykanta naszego!

Pokiwiała babuleńka głową, ryszyła jedną łapę żaby, ruszyła drugą, trup! Aż przyłoży ucho swoje stare do martwej piersi i słucha.

Słucha i uśmiechnie się nagle... Coś niecoś życia kołatało się jeszcze w niebogim Półpanku. Podniesie tedy babuleńka głowę i rzecze:

— Skoczę który za trzy góry, za trzy morza, na bezdroża,

na sam koniec świata, tam gdzie moja chata; przynieśże mi duchem złotą igłę z uchem, przynieś i jedwabie, pomóżem tej żabie!

Skoczył Pietrzyk na jednej nodze do chatynki Skrobka i dalej do jaskółki z prośbą:

Jaskółeczko! Jaskółeczko!
Weź mnie na swe siodełeczko,
nieś mnie swymi pióry
za morza, za góry,
na sam koniec świata,
gdzie babulki chata.

Zaświergotała jaskółeczka, chętna do posługi. Skoczył na nią Pietrzyk, fruru! I tyleś go widział.

Tymczasem babuleńka ogień pali, ziola warzy i gardło Półpanka smaruje. Posługują jej krasnoludki, jak mogą. Ten chróst nosi, ten mieszkciem ogień rozdyma, ten garnczek trzyma.

Nie minęły trzy pacierze, zaszumiły nad doliną jaskółcze skrzydła ręce, skoczył z nich Pietrzyk lekko, babuleńce złotą igłę i jedwabną niteczkę podaje.

Wyjęła babuleńka okulary, na nos włożyła, igielkę nawlokła i nuż owo gardło nieszczęsnej żabie zeszywać. Obstąpiły ją krasnoludki, patrzy jeden drugiemu przez głowę, a babuleńka pękniętą skórę Półpankowi zeszywszy, dzięgła mu pod nos przyłoży i trzy razy dmuchnie.

Jakże owa żaba nie kichnie! Jakby z armaty strzelił!

Rozskoczyły się krasnoludki z nagłego strachu; a tu Półpanek otworzył jedno oko, przymknął, otworzył drugie i podnosić się zaczyna. Za nutami się obejrzał i chwyciwszy je w łapy, rozdziawił do śpiewu gębę.

Rozdziawił, lecz nie puścił głosu; rozdziawił szerzej jeszcze — na nic! Rozdziawił po raz trzeci — głuchy skrzek wyszedł tylko z gardła.

O, nieszczęsny Półpanku!

Maria Konopnicka

Talent: zdolności; — *skrzek*: głos, wydawany przez żaby; *lamentować*: biadać, narzekać; — *duchem*: szybko, prędko; *dzięgiel*: gatunek rośliny leczniczej.

15. Muzyka żab wieczornych.

Gdy krwią słońca zachód ociekł,
i na gnieździe zasnął bociek,
gdy konają zorze blade,
żaby rade — rada w radę.

W rozmarzonych cisz zadumie
głos podaje kuma kumie,
będą kumkać tak do rana,
bo nie boją się bociana.

Najpierw głos głęboki, głuchy,
jakby z dna wzdychały duchy,
jęknie cicho, trwożnie, słabo:

„Jakżeś biedna, żabo, żabo!

Do ukrytej w grząskim bagnie
żadne serce się nie nagnie,
żadna dusza ci nie bliska,
boś jest brzydka, zimna, śliska.

Pysk od ucha aż do ucha
i nazywasz się ropucha!

Choć schowana w sit, w szuwary,
łowisz muchy i komary,
nienawistnaś jest każdemu,
powiedz, kumo, czemu, czemu?“

Gdy krwią słońca zachód ociekł,
i na gnieździe zasnął bociek,
gdy konają zorze blade,
żaby rade — rada w radę.

W rozmarzonych cisz zadumie
głos podaje kuma kumie,
będą kumkać tak do rana,
bo nie boją się bociana...

Leopold Staff

16. Na szczęście.

Ojciec naciągnął już bekieszę w sieni, kiedy mały Tadek
uwiesił mu się na ramieniu.

— Tatusiu, ja też pójdę na połów! Mój tatusiu!

— Zmarzniesz, smyku. Mróz dzisiaj, aż skwierczy.

— Przecież mam kożuszek. Jeszcze nie widziałem, jak się ryby w zimie łapie.

— Wpadniesz mi gdzie w przerębel...

— Na pewno nie wpadnę. A za to szczęście przyniosę. Ulina mówi, że mam szczęśliwą rękę.

— No, to chodź! — roześmiał się ojciec. — Tylko pamiętaj, jeżeli sieć się zerwie albo nałapiemy samego drobiazgu, będę miał pretensję do twojej szczęśliwej ręki.

Wyszli. Mróz był rzeczywiście siarczysty. Śnieg skrzypiał pod nogami idących i lśnił w słońcu, niby szklane okruchy. Drzewa stały w srebrzystej okiści. Istne drzewa z bajki.

— Tatusiu — zaczął Tadek — ale niewodu jeszcze nie rzucali?

— Skądże. Czekają na nas. Dopiero przeręble wyrąbane.

Wskazał ręką widoczne już dwie ogromne przeręble i kilkanaście mniejszych „dziur“, które czerniały na lśniącej tafli lodu, niby kolisko otwartych ran.

Na brzegu jeziora, przy płonącym ognisku, poruszały się ciemne sylwetki rybaków. Tadek, ujrawszy między nimi starego Mateusza, kopnął się żywo przez śnieg.

— Mateuszu! Mateuszu! I ja jestem! Na szczęście!

— Daj Boże! — uśmiechnął się rybak. — Tylko niech Tadzio nie krzyczy, bo ryba na złość Tadziovi nie zechce się brać.

Ruszyli w stronę najdalszej przerębli, gdzie kilku chłopów rozwijało na lodzie gruby wałek niewodu.

Mateusz uwiązał linę niewodu do długiej żerdzi, zanurzył ją w przerębli i zwolna przepychał pod lodem ku sąsiedniej dziurze.

Tam czuwał już drugi rybak, zmacał żerdź w wodzie i zaczął powoli przepychać ją do następnej dziury, pilnując przy tym, aby się lina nie wymknęła.

Robota szła sprawnie w obie strony koła równocześnie.

Nareszcie! Oba końce liny wydobyto z wielkiej przerębli u brzegu! Zakładają je na korbę... Mateusz daje ręką znak: ciągnąć!

Niewód zsuwa się z lodu i z chlupotem pada w przerębel. Tylko drewniane pławki chybcą na powierzchni.

Korba skrzypi. Lina się nawija. Pławki sieci chybcą we wszystkich „dziurach“, utrzymując górny brzeg sieci tuż pod lodem. Dolny obciążony spadł na samo dno jeziora.

— Widzisz — tłumaczy ojciec. — Zamknęliśmy ryby pod lodem w tym kole sieci. Za chwilę będziemy niewód wyciągać.

Teraz czterech najtęższych rybaków stanęło do korby. Korba zaskrzypiała w ich rękach. Liny wyprężyły się i piędź za piędź zaczęły się nawijać na wał korby. Coraz wolniej, coraz oporniej.

Tadek patrzy w przerębel. Woda marszczy się, faluje coraz gwałtowniej... wre, bulgoce, jak ukrop w kotle.

— O! — krzyknął nagle.

To ogromny szczupak wyskoczył z wody i chlupnął ciężko z powrotem.

W tej chwili ukazał się i brzeg niewodu. Rybacy biegli ku niemu co tchu.

— Podbieraj boki! — krzyknął Mateusz. — Podbieraj!... Zawijaj! Od dołu!... Jazda!... Raz dwa!... Raz dwa!

Niewód wyciągnięto na lód. Ciężki i pełen zdobyczy. Ciemne leszcze, okrągłe piskorze, okonie, szczupaki srebrne z brunatną pręgą przez grzbiet, miotaly się i klebiły, aż migało w oczach.

— A co? Może nie mam szczęśliwej ręki? — triumfował Tadek.

— Ba, jeszcze jak! Nagroda Tadziowi się patrzy. O! — i Mateusz podniósł oburącz wielkiego szczupaka.

Ale w tej chwili szczupak zwinął się, chlasnął ogonem w twarz rybaka i jednym rzutem wyskoczył mu z rąk. Śmignął w powietrzu jak srebrna strzała i upadł ciężko na lód o metr od przerębli. Nie zdążył rzucić się dalej. Tadek dopadł go, objął obiema rękoma i kolanami i krzyczał, wpół leżąc na rybie:

— Tatusiu! Mateuszu! Bo ucieknie!

Ostatecznie umieszczono szczupaka w zakrytej kobiałce, aby Tadek mógł sam zanieść swoją zdobycz do domu.

— No, jakże? Przyniósł Tadzio szczęście? — powitała go Ulina w kuchni.

— Ho, ho, jeszcze jakie!

Z tajemniczą miną otworzył kobiałkę, wyciągnął rybę i złożył na stole.

A wtedy... zaszła rzecz nieprzewidziana.

Szczupak podskoczył, jak sprężyną rzucony, raz, drugi i trzeci, waląc w stół potężnym ogonem. Szklanki, talerzyki, miska gliniana posypały się z trzaskiem na ziemię, za nimi runął w przepaść szczupak.

Ulina tylko ręce podniosła do góry.

— A to ci szczęście Tadzio przyniósł! Jezu! A to szczęście!

Julia Duszyńska

Bekiesza: męskie futro obciste; — *pretensja*: żal o coś; — *niewód*: wielka sieć na ryby; — *sylwetka*: niewyraźny kształt postaci, widzianej z daleka; — *piędź*: miara długości od końca wielkiego palca do końca średniego.

17. Przy sianie.

Pewnego ranka, na polanie, gdzie chłopcy grabili, zjawił się Pantera oklep na kobyle, ubranej w chomąto, i zawołał:

— Do południa trzeba kopice wszystkie ściągnąć ot, tutaj, a od obiadu wszyscy stożą. Rozkaz ojca Odrowąża, bo jutro ulewa.

— Oj, to dobrze! — wyrwało się chłopcom.

— Że pokosy zmokną, to dobrze? Oj, gospodarze z was, co mają tylko stodołę pod kapeluszem, a w niej wróble się gnieźdzą. No żywo, bierz Jasiek linkę, a ty, Coto, gramol się na szkapę! Zaczynajcie od najdalszych! Zajeżdżaj, Coto, od tej kopicy!

Otoczył kopiec linką, przyciągnął na supeł, założył nań orczyk, który włókł za postronkami chomąta, i uderzył dłonią po grzbiecie klaczy.

— Jazda, kieruj po równym, na polanę!

Gdy trzy kopice były ściągnięte, Pantera zostawił robotę chłopcom, a sam zaczął łożę rąbać i ułożył spód pod stóg. Na sygnał obiedni robota była skończona, i chłopcy obaj konno ruszyli do chaty.

Odrowąż frasobliwie po niebie śledził, nie dał chwili spoczynku. Ledwie przelknęli strawę, już pędził:

— Żywo, widły, grabie! Wszyscy! Chałupę zostawić pustą. Żywo, bo nie skończymy!

Pobiegli wszyscy kłusem.

Założono spód, stary stanął na tym spodzie, a wtedy wszyscy z gorączkowym pośpiechem zaczęli zbierać siano na widły i podawać mu na górę.

I znowu Coto przekonał się, że był głupim rekrutem. Gdy tamci nabierali na widły naręcza ogromne, że aż gięli się pod

ciężarem; gdy wnosząc brzemie, zadawali na stóg, jemu siano umykało, rozsypywało się, że donosił puste widły.

A towarzysze tak byli zajęci, że nikt nie pokazywał sposobu. Pracowali milcząco, popędzani jakąś grozą, która się zbierała w niebie.

Stóg rósł, niknęły w nim kopice: był już tak wysoki, że przystawiono drabinę, wbito między szczeble żerdź, na której umieścił się Szczepański. Odbierał widły i podawał wyżej.

Zwijali się zajadle, gorączkowo, bez chwili odetchnienia, aż z góry rozległ się głos Odrowąza:

— Dobra nasza. Zbierajcie czysto, obierajcie boki grabiami, szykujcie powrósło! Już nam deszcz nie straszny.

A deszcz już leciał, już wichur się zrywał, chmury wychodziły nad las, zaczynało w nich huczeć, jak werbel na bitwę.

Ludzie jeszcze zajadlej pośpieszali.

— Powróż prządź, ot tak — zawołał Jasek zdyszany, przypadając do stoga i snując zeń siano, które Szczepańska skręcała w powrósło.

A tamci zbierali roztrzęsione resztki kopiec i podawali, wołając ochryple:

— Zabieraj, hop, odbieraj!

Wichur począł się z nimi borykać, szarpać siano, wydzierać z rąk brzemiona.

— Dawajcie sznur! — krzyknął Odrowąż.

Podano mu dwa, skrzyżował je na szczycie, końce utwierdzono w ścianie, z wideł uczyniono parę stopni, po których stary zsunął się na ziemię. Wtedy się przeżegnał i jakieś litery w powietrzu w stronę chmury nakreślił.

— Nad chudobą naszą i nad nami Bóg łaskaw, dał czas i siłę, by dokonać. Niech Mu będzie cześć i chwała.

— Na wieki wieków. Amen! — dopowiedzieli.

I stali chwilę, wszyscy na widłach wsparci, dech łapiąc i znojne twarze do wichru zwracając. A wtem lunął deszcz, i grzmot uderzył z chmury.

Maria Rodziewiczówna

Stożyc: układać w stogi; — *supel:* węzeł; — *orczyk:* ruchomy dźwąg u wozu, do którego przypina się uprzęż z koniem; — *rekrut:* młody żołnierz lub początkujący w jakiejś pracy; — *werbel:* bicie w bęben.

18. Wierzba.

Wszędzie się przyjmuje,
wszędzie się rozplenia,
nie dba: glina to, czy piasek,
byle święta ziemia.

Otną ją z gałęzi
na grube ociesie,
okaleczą i okrzyszają,
ona wszystko zniesie.

Puści długie pręty,
niby szczeć u zwierza:
przeciw losom złym jak chłopska
dusza się najeża.

Niepamiętna krzywdy
ani mściwa za nic,
strzeże, jako płot wierzbowy,
wiejskiej chaty granic.

I wyręcza jeszcze
w pracy ludzkie plecy:
dźwiga, jako kosz, ziemniaki
do piwnicy kmiecej.

Wszędzie jest pomocna
i wszędzie widoczna:
drogi polnej i wędrowców
wierna straż przyboczna.

Leopold Staff

19. Wawrzon i Julka.

Weźmie chłop kłoc drzewa olszowego albo topolowego,
porznie na kawałki. Każdy kawałek wzdłuż rozszczepi na dwie
kłody. Każdą kłodę siekierą najpierw obrobi. Jedną trzecią
długości na kłodzie odmierzy, a ostrożnie obrębuje resztę, aż
z niej trzonek tylko zostanie. Teraz się bierze do owej zostawionej
grubej części. Żłobi w niej i żłobi, wgrzyza się pomału w mięsz

drzewny, potem ostruga, wykończy, i szufla do zboża gotowa.

Albo też trzonka nie robi, tylko spodem taką kłodę podstruże, a potem przez całą długość żłobi, aż zrobi nieckę do ciasta. Albo wałek utoczy na tokarni, albo cebrzyk zbije z klepek.

Potem wiezie na targ całą furę swego dobytku, co jasnym, złotawym drzewem śmieje się do słońca i samo się prosi, żeby je kupować, takie świeże, czyste, pachnące...

A i taki bywa, co mu z niekształtnego klocka ni stąd ni zowąd ślicznie rzezany trzonek do kozika albo święta figurka wyrośnie. Wszystko takiemu wyrośnie, byle nóż miał ostry, a w palcach czucie miękkie, a delikatne.

Był taki we wsi. Wawrzon miał na imię. Jak ten strugał! Prawda, nie był to już ten Wawrzon, co dawniej. Nie tylko swój nóż, ale i oczy przez długie lata stępił. I od czasu, jak żonę pochował, a córkę z zięciem lichu do Ameryki pogało, za często do karczmy zaglądał, bo mu się cniło bez ludzi.

Kiedyś się tak wybrał niby po robotę. Zima była rozkiśta w ciągłych deszczach i wichrach. Ledwie stary drzwi za sobą zamknął, jak go taki wiatr nie porwie, jak nie praśnie na drugą stronę drogi! Aż się przeżegnał.

Ruszył drogą, ale jeszcze nie przeszedł kilkudziesięciu kroków, kiedy mu nagle zamajaczyło coś na drodze.

— Złe? Czy co?

Ale złe nie było złe, tylko biedne, zmarznięte i przemoknięte do nitki. Pisnęło cichutko, kiedy się Wawrzon nad nim nachylił.

— To ja.

Co za ja?

— Od Sikorów me wygnały.. Póki pasionka była, to me trzymały, a tera, jak się skończyła, to łachy pod pachy i wynochy! Na tę pluchę. Ni domu, ni kawałka chleba. O, mój Jezu kochany!

Wawrzon miał serce w miękkim miejscu. Wziął małą za rękę i bez słowa zawrócił. W chałupie położył ją na wyrku i nakrył własnym kożuchem. Potem wióry podpalil pod blachą i zagrzał mleka. Łapczywie wyciągnęła mała swą chudą, wynędzniałą rękę po garnuszek, który jej stary podał.

W mroku nie było widać nic, jeno błyski ognia, migocące na białym kubku i w czarnych ślepkach, co z nad kubka patrzyły na starego tak długo i mocno, aż go coś koło serca zaczęło łaskotać.

Potem mała usnęła. Wawrzon utykał czas jakiś w izbie, wreszcie przypomniał sobie, że przecie ma iść po tę robotę. Czapkę wdział na głowę. A kozuch? Ba, kozuch na wyrku. Nie można — obudzi się.

Nie poszedł.

* * *

Julka jej było na imię. Nie miała jeszcze dziesięciu lat. Sierota.

Na drugi dzień rano jeszcze Wawrzon nie wstał, już sprzątnęła izbę i wydoiła krowę; po tygodniu zagospodarowała się na dobre; po miesiącu zawojowała Wawrzona ze szczętem.

Mówiła mu „ujku“, dbała o niego, jak najlepsza córka. Tyli skrzat, a stary robił, co tylko chciała. Kiedy chciał iść do karczmy, to tylko patrzyła na niego tak, jak wtedy pierwszego wieczora, a jemu zaraz łaskotało coś koło serca, zdejmował czapkę i wieszal na gwoździu z powrotem.

Kiedyś strugał Wawrzon pajaca. Już mu jeno głowy brakowało, kiedy zmorzyło go i zdrzemnął się krzywą. Julka wzięła pajaca, nóż i próbuje. Zaczęła od nosa. Jakoś tam idzie. Tak, jeszcze tu z lewej strony poprawić. O tak, całkiem dobrze. Teraz oko. O Jezu! Jakie to trudne. Ujek to tylko szach mach, i już oko siedzi jak ułał.

Biedzi się Julka nad pajacem, nie widzi, że ujek otworzył jedno oko, potem drugie, otwiera je ze zdziwienia coraz szerzej, szerzej, szerzej...

— Julka! Coś ty się do strugania wzięła? Pokaż no! Nieźle, Juluś, niezgorzej.

A moja Julka w pąs i jak stała z nożem w jednym ręku, z pajacem w drugim, rzuciła się staremu na szyję. A piszczy!

— Ojej! Ujku! Ojej!

— Co ci to, mała? Co w tobie, skrzacie, siedzi.

W małym skrzacie siedziało duże, mocne, wdzięczne serce. I czucie w palcach miękkie, delikatne.

Kazimierz Konarski

Szufla: wielka łopata w kształcie łyżki, służąca do przetrzucia lub wiania zboża; — *cnąć się*: odczuwać tęsknotę; — *wyrko*: prycza, zbita z desek, do spania; — *w pąs*: zarumienić się.

POLISH PRIMARY SCHOOL.

BODDINGTON ROAD,

NEWBURY, BERK.

CHEESHIRE.

20. Kobieta walczy.

Były to ostatnie dni września. Oddział złożony z 5 oficerów i 27 żołnierzy, po przebicciu się na bagnety z puszczy Kampinowskiej, skierował się na południo-wschód, dążąc do przedostania się na wschodni brzeg Wisły. Ludzie ci sądzili, że na wschodzie trwa jeszcze wojna, że trwa jeszcze zorganizowany opór naszego wojska.

Czujni i ostrożni, gotowi każdej chwili podjąć walkę przy niespodziewanym spotkaniu się z Niemcami, wykonywali swój marsz nocami. Szli w odległości zaledwie kilkunastu kilometrów od Warszawy. Słyszeli nieustanny huk dział i wybuchy bomb, widzieli rozległe łuny, świecące nad stolicą i nad Modlinem. Przechodzili niejednokrotnie w odległości zaledwie kilkudziesięciu kroków od stanowisk artylerii niemieckiej, przekraczali strzeżone lotniska polowe, przeskakiwali przez szosy, po których odbywało się zaopatrzenie wojsk niemieckich. Ze świtem zatrzymywali się bądź w małych, na uboczu położonych wioseczkach, bądź zalegali jak stado wilków w bagienkach porośniętych łożą.

Pewnego poranku zatrzymali się na spoczynek w wiosce, złożonej zaledwie z kilku ubogich chat. W pobliżu nie było żadnej większej drogi. Wioska zdawała się nie przedstawiać żadnej wartości jako miejsce zakwaterowania wojsk. Wszystko przemawiało za tym, że jest to bezpieczne i dobre schronienie. Mieszkańcy wioski, chociaż ubodzy, okazali jak najdalej posuniętą życzliwość i współczucie.

Jeden z gospodarzy przygotował w swej stodole ukryte miejsce dla snu, inni, przynosząc ze swych zagród co kto miał, nakarmili zgłodniały oddział. Zorganizowali następnie własną służbę obserwacyjną, by na czas uprzedzić żołnierzy o ewentualnym zbliżaniu się Niemców.

W stodole przygotowano otwór w ścianie od strony pól, by można było wymknąć się w przypadku wejścia Niemców do wsi. Przewrotność ta, jak się potem okazało, była uzasadniona. Oddział spał kamiennym snem. Niespodziewanie, podniecone wołanie gospodarza poderwało w pewnej chwili żołnierzy na nogi. Niebezpieczeństwo przyszło nagle i szybko w postaci pancernej kolumny niemieckiej, liczącej kilkadziesiąt czołgów. Nie wiadomo dlaczego właśnie tę wioskę wybrali Niemcy na miejsce postoju. Kolumna pancerna zatrzymała się przed zagrodami, a Niemcy rozeszli się po wiosce oglądać stodoły i przeznaczać je na kwa-

tery. Oddziałek polski, zagrzebany z głowami w słomie, przeżył chwile nerwowego napięcia. Kwatermistrz niemieccy weszli do stodoły tak szybko, że nie było czasu na opuszczenie jej przez Polaków. Wydawało się, że nadszedł moment ostatniej rozpaczliwej walki. Niemcy jednak nie badali sąsiedku i po kilku minutach odeszli. Dalsze pozostanie w stodole było niemożliwe. Polacy jeden po drugim wymknęli się przez otwór w ścianie i położyli się na zewnątrz wzdłuż budynku. Jaką taką osłonę stanowiły dla nich wysokie burzany, rosnące na tyłach gospodarstwa.

Do zmroku było jeszcze daleko. Niemcy wystawili czujkę pancerną w odległości zaledwie kilkudziesięciu kroków od stodoły. O opuszczeniu wsi w tych warunkach nie było mowy. Otwarte pola ciągnęły się na przestrzeni dwóch czy trzech kilometrów, więc każdy ruch byłby natychmiast dostrzeżony przez Niemców. Trzeba było uzbroić się w cierpliwość i zdać się na łaskę Bożą.



Jedna z obrończyń Warszawy.

Dowódca oddziału postanowił doczekać się chwili, kiedy Niemcy pójdą na kolację i wówczas przesunąć swych żołnierzy do małego pólka końskiego zębu, rosnącego w odległości trzystu

metrów od zabudowań. Było to jedyne miejsce, w którym można było się ukryć i uchronić od bezpośredniego zaskoczenia.

Godzina posiłku w wojsku jest zawsze połączona z pewnymi charakterystycznymi dźwiękami, znanymi każdemu żołnierzowi. Nawoływania i brzęk naczyń oznajmiły wkrótce Polakom, że Niemcy jedzą kolację. Tak wielki spokój panował dookoła, że i załoga czołgu strażniczego poszła się posilić.

Korzystając z tego, że nikt w tym czasie nie obserwował pól, żołnierze nasi pojedynczo przebiegali do końskiego zębu, kładąc się tam plackiem na ziemię. Po kilku minutach zgrupował się cały oddział. Bezpośrednie niebezpieczeństwo minęło. Nareszcie na zachodzie zgasły ostatnie blaski, a kontury zabudowań i drzew zaczęły zacierać się i roztopiać w mroku zapadającej nocy. Oddział przygotowywał się do odejścia.

Każdy z żołnierzy jeszcze raz opatrzył swój rynsztunek, aby nic nie dzwoniło podczas ruchu. Nagle od strony stodoły dało się słyszeć niewyraźne szurganie nóg i z mroku wyłoniły się dwie małe postacie, dźwigające coś ciężkiego. Były to dzieci gospodarza, w którego stodole oddział polski nocował.

Przydźwigały one duży kociołek pełen gorącej, pachnącej zacierki, uwarzony przez gospodynię. Zapach zupy uderzył w nozdrza żołnierzy i przypomniał nagle, jak bardzo są głodni. Dzieci postawiły kocioł na ziemi, a chłopiec szeptem powiedział: — Matula przysłała to, co byście głodni nie poszli. Jak zjeta, ostawcie kocioł tutaj, a matula w nocy wezmą.

W gorącej zacierce pływało 32 sporych kawałków wieprzowiny, to znaczy akurat tyle ile porcyj trzeba była dla oddziału.

Wojna trwała już prawie miesiąc, każdy z tych żołnierzy nie raz i nie dwa miał śmierć przed oczami. Każdy z nich napatrzył się na taki ogrom męki ludzkiej, bólu i grozy, że nie było rzeczą łatwą rozczulić go, lub wzruszyć. Lecz ilu ich tam było, stali wszyscy długą chwilę przy tym skromnym garnku strawy i żaden nie mógł wymówić słowa.

Każdy wiedział, że w chacie byli Niemcy, a żaden nie miał wątpliwości że w przypadku wykrycia, dla kogo jest uwarzona ta strawa, gospodarza i jego rodzinę spotkałaby natychmiastowa, bezlitosna śmierć. Niemcy pod tym względem dali już wówczas dość przykładów bestialstwa.

A jednak cudowne, proste i dzielne serce chłopki polskiej nie zawahało się ani na chwilę — posłała swe dzieci, by tylko

gromadka żołnierzy polskich nie odeszła głodna w dalszą
żmudną wędrówkę.

Zygmunt Bohusz Szyszko

21. Wioska w zimie.

Sukmanką śniegów otulona,
wieczorne piosnki wioska śpiewa...
Hen, na zachodzie dzionek kona —
nadchodzi nocka czarnobrewa...
Miesiąc czarownym blaskiem zlewa
wierzchołki wzgórz....

Cisza.. Okiścią prószyć drzewa...
Hen, na zachodzie dzionek kona...
Sukmanką śniegów otulona,
wieczorny pacierz wioska śpiewa
na Anioł Stróż.

Cisza... Do snu się kładą echa...
Dokoła nocka ugwieżdżona —
gdzieniegdzie światłem błysnie strzecha...
Sukmanką śniegów otulona,
zasypia wioska u wygona
za zrębem wzgórz...

Cisza... Krzyż rozpiął swe ramiona,
patrzy — i z wyżyn się uśmiecha.
Do snu się kładą wszystkie echa...
Dokoła nocka ugwieżdżona
i Anioł Stróż!

Kazimierz Laskowski

III. W MIEŚCIE.

22. Może mila, może sto.

Jacek i Placek przeszli las, który tak obrzeżał trzęsawiska,
jak rzesy oko, i zaczęli wędrować wesołym krajem, pełnym
zieleni i przyjaznych głosów.

Spatykali coraz częściej ludzi, których chcieli rozpytać
o drogę do miasta. Jedni jednak nic o nim nie słyszeli, inni
tak byli zajęci ciężką pracą, że nie chcieli rozmawiać z dwoma
obdartusami.

Wreszcie spotkali chłopą, który im powiedział:

— To niedaleko stąd.

— Nareszcie! — zawołał Jacek.

— To wy aż tam wędrujecie?

— Tak, do tego miasta. Znacie drogę?

— Sam tam nigdy nie byłem, ale trafić, to bym trafił.

— Powiadacie, że to niedaleko? Będzie mila?

— Mila to będzie.

— A może dwie?

— Dwie, powiadacie?... Może być, że i dwie.

— A nam mówili, że dziesięć — rzekł chytrze Placek.

— Dziesięć? Tak mi się widzi, że będzie dziesięć mil.

— A może sto?

— Przysięgać, to bym nie przysięgał, ale coś mi się tak zdaje, że będzie sto z okładem.

— To trzeba długo iść?

— Ej, niebardzo.

— Ze dwa dni?

— Za dwa dni zajdzie.

— A może za miesiąc?

— Można i za miesiąc.

— To jakaś dziwna droga — rzekł Jacek.

— Nie bardzo — odrzekł chłop — ale długa.

— A jak trzeba iść?

— Prosto jak strzelił, a potem na lewo.

— A kiedy trzeba iść na lewo?

— Skręćcie tam, gdzie zawsze pasą się barany.

— A jeśli ich nie znajdziemy?

— To już nie wiem, jak. Jakby były barany, to bym wiedział.

Nagle Jacek, który przypadkiem spojrzął przed siebie, wykrzyknął:

— Co tam widać?

— A to właśnie miasto — odrzekł chłop.

— Czemuście tego od razu nie powiedzieli?

— A bo pytałście o drogę. Ale kiedy widać miasto, to już pewnie traficie.

— Z pewnością. Chodź, Placek!

— Niech was Bóg prowadzi.

— Do widzenia.

23. O dobrej zgodzie i złej niezgodzie.

Był sobie jeden dom. Miał trzy piętra. Na tych piętrach mieszkali sąsiedzi.

Na trzecim piętrze Wawrzyńcowa, dosyć dobra krawcowa, i Nikodem, z Radziwółki rodem.

Wawrzyńcowa z trudem wielkim przerabiała starszkwowi stare kamizelki, a Nikodem, jako starszy woźny szkolny, kiedy tylko miał czas wolny, opowiadał Wawrzyńcovej o nauce, o szkole i o tym, jakie dziatwa wyprawia swawole. I dobrze im czas schodził.

Na drugim piętrze mieszkało dwóch uczniów: Wacuś i Serwacuś.

Wacuś i Serwacuś, jak to uczniacy, pomagali sobie zawsze w szkolnej pracy, a w niedzielne poranki grywali w malowanki. I dobrze im czas schodził.

Na pierwszym piętrze mieszkały dwie wdowy: Urszula i Kordula.

Urszula była hafciarką i cały rok, jak długi, haftowała na szlafrokach kwiaty i papugi. Kordula zaś, nie mogąc znaleźć innej rady, dla sześciu ucziwych kupców gotowała obiady.

Urszula Korduli haftowała kołnierzyki, karczki do koszuli, a Kordula Urszuli (bywało nieraz tak) przyniosła duży kawał francuskiego ciasta. I dobrze im czas schodził.

Na parterze mieszkało dwóch węglarskich pomocników: Damazy i Protazy. Obaj pracowali w składzie węgla. Jeden za drugiego drzewo nieraz rąbał. Jeden za drugiego węgiel nieraz taszczył i jeden z drugim czytywał w wolnych chwilach książki o Indianach. I dobrze im czas schodził.

Aż pewnego razu wszyscy się pokłócili.

Przykład, jak to przykład, idzie zawsze z góry. Tym razem przyszedł z trzeciego piętra. Zaczęło się od tego, że Wawrzyńcowa, piesków przyjaciółka wielka, rzuciła na schody kostkę dla swego znajomego pudełka. Ale że pudełek tego dnia był syty, więc nie tknął nawet kostki smakowitej i zostawił ją na schodku, na samiutkim środku. A tu wracał ze szkoły woźny szkolny Nikodem (ten z Radziwółki rodem) i ledwie końcem obcasa śliskiej kostki dotknął, nogę sobie skręcił, tak się jakoś potknął. I zaraz zaczął na Wawrzyńcową wyrzekać brzydko.

Wawrzyńcowa, nie przeczuwając nic złego, drzwi uchyla i pyta:

— Cóż tu u pana Nikodema tak humoru dzisiaj nie ma?
A Nikodem wrzasnął opryskliwie:

— Bo wy, baby, rozumu nie macie, ludziom pod nogi kości rzucacie!

— No, proszę tylko aby, nie wymyślać mi od baby!

Trzasnęła drzwiami Wawrzyńcowa, huknęła drzwiami Nikodemem, z Radziwólki rodem. Pokłócili się. A biedna mała kostka, rzucona na schody, stała się prawdziwą kością niezgody.

Zły przykład z góry na drugie piętro przyszedł. I za chwilę wracali ze szkoły Wacusi z Serwacusem. Mówi Wacusi:

— Wiesz, Serwacusi, myślisz że nie widziałem, jakieś to zadanie w szkole od Antosia ściągał?

— O, już ci to dolega, dobry z ciebie kolega!

Pokłóciły się chłopczyki, a zły przykład z góry na dół, na pierwsze piętro pośpieszył. I za chwilę wdowa Kordula do Urszuli puka:

— Urszuleńko, pożyczcie mi od żelazka duszę, bo obrus do obiadu wyprasować muszę.

Wdowa Urszula właśnie bez mała nowy, haftowany szlafrok prasowała. Zostawiła to wszystko i po duszę biegnie. A żelazko gorące syczy.

Przychodzi Urszula i załamuje ręce:

— Szlafrok się spalił, jak ja się z tego wykręcę? To przez was, Kordulo, zrobiła się ta dziura, bo stale coś pożyczacie tak, jak mało która!

Mówi Kordula prawie z płaczem:

— Też mi wielka łaska, przecież wam nie ugryzę tej duszy od żelazka!

Trzasnęła drzwiami Kordula, huknęła drzwiami Urszula, i pokłóciły się, a zły przykład z góry na dół na parter przyleciał. Puka węglarczyk Damazy do węglarczyka Protazka:

— Oddaj mi te „Przygody Robinzona“, co ci wczoraj pożyczyłem, bo ich jeszcze nie skończyłem.

— Ale te twoje „Przygody“ wpadły mi do brudnej wody, jak się wysuszą za piecem, zaraz z nimi do ciebie przylecę.

— Ach, więc tak szanowałeś przyjacielską własność? Niech cię nie znam!

I Damazy drzwiami mocno trzasnął. Pokłócili się.

I było wszystkim bardzo źle, aż do samego Nowego Roku.

A kiedy przyszedł Nowy Rok, i kiedy wszyscy świętowali, siedział u siebie Nikodem, z Radziwółki rodem, i myślał:

— Chętnie pogodziłbym się z Wawrzyńcową, gdybym tylko znał jakieś mądre słowo, które bym jej mógł na owe pogodziny powiedzieć.

Tak rozmyślając, Nikodem zerwał kartkę z kalendarza. Na tej kartce, czy dacie wiare, wyczytał przysłowie stare: „Nowy Rok, nie patrz w bok, tylko prosto w oczy nasze, pogodzimy się wzajem wasze“.

Nikodem do Wawrzyńcowej w te pędy:

— Wawrzyńcowo! Nowy Rok, nie patrz w bok, tylko prosto w oczy nasze, pogodzimy się wzajem wasze. A i opowiem wam, Wawrzyńcowo, o szkole to i owo!

— Ano, jak tak, to dobrze — ucieszyła się starszka, i pogodzili się. A dobry przykład w siedmiomilowych butach na drugie piętro przyleciał. I już za chwilę Serwacusz Wacusia za szyję serdecznie oblapiał:

— Nowy Rok, nie patrz w bok, tylko prosto w oczy nasze, pogodzimy się wzajem wasze. I przyjdź do mnie, Wacusiu, będziemy w malowanki grali.

— Ano, jak tak, to świetnie — ucieszył się Wacusz i pogodzili się.

A dobry przykład, nie czekając zbyt długo, z góry na dół na pierwsze piętro pomknął. Uchyła drzwi Urszula, wychyla z za drzwi głowę Kordula, popatrzyły z bliska, a już jedna druga ścisła:

— Urszuleńko! Korduleńko! Nowy Rok, nie patrz w bok, tylko prosto w oczy nasze, pogodzimy się wzajem wasze! A i przyjdźcie do mnie, Urszulo, na racuszki, bo, mówię wam, takie pyszne, że lizać paluszki.

— Ano, jak tak, to świetnie — ucieszył się Wacusz i pogodziły się, a dobry przykład bez namysłu po poręczy na parter zjechał. I za chwilę węglarczyk Damazy smutnego Protazka pod piecem przydybał:

— Protaziuniu, oczko rybie, cały ranek na cię dybię! Nowy Rok, nie patrz w bok, tylko prosto w oczy nasze, pogodzimy się wzajem wasze. A i książkę mam nową o Indianach, wiesz? Będziemy sobie czytać, kiedy tylko chcesz.

— Ano, jak tak, to cmok, zgoda na trzy lata! — I węglarczyk węglarczyka wyściskał, jak brata. I pogodzili się.

A Nowy Rok piękny i młody przyszedł właśnie na owe schody i w kąciku zobaczył kostkę, co niechcący była kością niezgody.

— Jużes tu niepotrzebna! — krzyknął Nowy Rok i rzucił ją hen daleko, poza dom, co miał trzy piętra.

A rzucił ją tak szczęśliwie, że upadła wprost do pyska wygłodniałego psiska.

Lucyna Krzemieniecka

Szlafrok: ubiór domowy ranny lub wieczorny.

24. Jeden dzień Anielki.

Wysłuszony kosz matki spoczywał teraz często na krzeselku próżny.

Gdy mama wracała z targu, gdy stawiała kosz na podłodze, nigdy nie uskarżała się na jego ciężar. Owszem Anielce się zda wało, im kosz jest cięższy, tym więcej matka jest rada. Anielka wyjmowała zapasy i zaraz na samym wierzchu znajdowała to, czego szukała. Były to jabłka, czy wiśnie, czy pęczek świeżutkich rzodkiewek. Jeśli to było zimą, to obwarzanek z makiem, śliwki suszone lub chleb świętojański.

— To dla ciebie — mówiła matka, a Anielka obejmowała ją za szyję.

Teraz kosz stoi próżny. Co najwyżej kołącą się w nim ziemniaki.

W przyległej do kuchni izbie ojca także zrobiło się pusto. Warsztat, przy którym stał zwykle czeladnik, wyporzadzono, jak na niedzielę. Dłuta i dłutka tkwią w otworach podziurkowanej półki. Strużaki poustawiano równo według wielkości. Sama Anielka przecież wyciągnęła z nich ostrza i wydmuchała wiórki, które się tam zgromadziły przy struganiu. Teraz wydało jej się, że nieobecność czeladnika i pusty kosz — to jedno. Mało pracy, mało zarobku. Ale ojciec jeszcze pracuje. Gdy się trafi jakiś obstalunek, ojciec mówi:

— Dzięki Bogu i za to.

Tymczasem doszło do tego, że Anielka wraca ze szkoły, a tu mamy nie ma, i nawet ogień nierozpalony. Anielka zagląda do piecyka, lecz zamyka prędko drzwiczki. Nie ma tam bowiem nic.

Ojciec stoi przy warsztacie i struże deskę, pięciodławkę.

— Gdzie mama?

— Mama poszła dowiedzieć się o robotę i jakoś nie wraca. A ty pewnie jeść chcesz?

— Czy tatko myśli, że ja nie potrafię ugotować obiadu?

— Niewiele tam co jest do gotowania — rzecze ojciec — ale spróbuj.

Anielka przypasała niebieski fartuch matki i zgarnia węń wiórki z pod warsztatu ojca. Właśnie świeże, z tej pięciocalówki, pachną jeszcze lasem. Za chwilę ogień bucha aż ze szczelin przy fajerkach. A w koszu są na szczęście kartofle, jest jedna marchewka i jedna pietruszka. Nie ma ani selera, ani pora, ani kapusty włoskiej. Nie ma mięsa.

— Ugotuję kartoflankę — pociesza się Anielka — to nawet będzie daleko prędzej.

Obiera kartofle, płócze je i kroi na cząstki, dokłada marchew i pietruszkę i przystawia garnuszek z wodą do ognia. Co jeszcze dodać, aby zupa była smaczna? Zamyśla się i dokłada jeszcze cebulę. Znajduje na talerzyku odrobinę masła, kładzie i masło. Pieprzy i soli i dokłada mały listek bobkowy. Gdy zupa zawrzała pod pokrywą, i zapach rozszedł się po całej kuchni, odrazu wiedziało się, że to będzie zupa znakomita.¹

Anielka postanawia także nakryć porządnie stół. Nic nie znaczący, że jest tylko kartoflanka.

Wyjmuje obrusik w kratkę, kroi chleb, ustawia talerze głębokie i łyżki. Stół wygląda jakoś pusto. Anielka decyduje się nagle i stawia na stole pelargonie w doniczce. Zrobiło się jakoś ładniej i weselej.

Kartofle i warzywa są już miękkie, żółte plamki masła pływają na wierzchu.

— Tatku, zupa gotowa! — woła Anielka.

Ojciec zdejmując zielony fartuch roboczy, myje ręce i gdy zasiada do stołu, wcale się nie dziwi widokiem pelargonii.

— Ha — powiada — po zapachu czuję, żeś mi się spisała, córko.

Siadają i jedzą ze smakiem.

— Cóż ci to chciałem powiedzieć? — mówi ojciec i zamyśla się. — Czybyś mi nie zaniósła nogi do tokarza? Żeby to teraz obtoczył? Robię taki stół na jednej nodze. Ale to noga ciężka.

— Dlaczego nie? — woła Anielka. — Tatko myśli, że ja nie poradzę?

— Powiedz tokarzowi, że mu jutro zapłacę — rzecze oj-

ciec. — Jutro skończę robotę. Tylko poczekaj i przynieś nogę z powrotem.

Nie jest to nic przyjemnego kroczyć z nogą przez ulice miasta i trzymać ją oburącz, jak się trzyma w objęciach dużą lalkę. Najbardziej lęka się Anielka spotkania chłopców ze szkoły. Chłopcy będą się śmiać i wołać za nią: „Noga stołowa“. Ale z chłopcami to zawsze tak: grają w guziki i wcale nie pomyslą, że trzeba w domu też pomóc.

Zamiast chłopców spotyka Anielka mamę.

O, mama jest ożywiona, oczy jej błyszczą, uśmiecha się nawet. Dostała duże zamówienie dla ojca: cały stołowy pokój, dwanaście krzeseł, stół i kredens.

— A to dla ciebie, Anielciu — mówi mama i wyciąga rękę z białym pakiecikiem.

Ale Anielcia trzyma w objęciach nogę stołową i ręce ma zajęte.

— Co to jest, mamó?

— Ciastko z makiem — odpowiada mama — a jutro znów pójdę z koszem na targ.

— Ugotowałam obiad, wie mama? — chwali się Anielka.
— Ugotowałam kartoflanę.

— Oho — śmieje się mama — toś ty miała dziś pracowity dzień: ugotowałaś obiad i niesiesz nogę do tokarza.

Śmieje się mama i Anielka, i z tym śmiechem wchodzą do sutereny tokarza.

Pola Gojawiczyńska

Obstalunek: zamówienie; — *selery, pory*: ogrodowe rośliny warzywne; — *tokarz*: rzemieślnik, toczący z drzewa okrągłe przedmioty na tokarni; — *kredens*: szafa na naczynia lub oddzielny pokój z naczyniami; — *sutereną*: mieszkanie w piwnicy.

25. O kwiaciarce Barbarce i o porach roku.

Chcesz wiedzieć, jaką mamy porę roku,
nie szukaj kalendarzyka.
Zajrzyj do kwiaciarki Barbarki,
jakie kwiaty sprzedaje w koszykach.

Jeśli przyłasczki koloru nieba
i kaczeńce, jak łąka radosne,

od razu zgadniesz:
mamy wiosnę.

A jeśli maki czerwone, jak zachód słońca,
i chabry strzępate,
od razu powiesz:
jest lato.

A jeśli astry zobaczysz
i wrzos, co zakwita w lesie,
uśmiechniesz się i zgadniesz:
jesień.

A jeśli kwiaciarka ma jemiołę
i więcej już nic nie ma,
zadumasz się i pomyślisz:
zima.

Lucyna Krzemieniecka

26. O tym, jak pan krawiec Niteczka królem został.

W miasteczku Tajdarajda mieszkał krawiec, pan Józef Niteczka.

Każdy krawiec jest chudy, bo tak to już jest, gdyż krawiec musi przypominać nitkę i igłę. Ale pan Niteczka był tak chudy, że umiał przeleźć przez uszko igły. Nie mógł jeść nic innego, tylko makaron, bo nic innego nie chciało mu przeleźć przez gardło.

Dobry to był człowiek i zawsze uśmiechnięty. Byłby sobie żył szczęśliwie, gdyby mu cyganka nie wywróżyła:

— Jeżeli wyjdiesz w niedzielę z tego miasta i będziesz szedł wciąż na zachód, zajdziesz wreszcie tam, gdzie cię obiorą królem.

A może to i prawda? Kto wie?

Wziął zawiniątko, sto igieł i tysiąc kilometrów nici, wziął napastrzek, żelazko, nożyce bardzo wielkie i poszedł.

Niedaleko uszedł, aż tu zrywa się wiatr w polu, nawet bardzo niewielki, ale ponieważ pan Niteczka był niezmiernie chudy, więc go wiatr porwał. Leciał tak pan Niteczka przez powietrze i bardzo się śmiał z takiej jazdy, aż poczuł, że wpadł w czyjeś ramiona.

Patrzy pan Niteczka i widzi, że jest wśród zboża, i że go wiatr rzucił w ramiona Stracha na wróble.

Niteczka zdjął czapeczkę, skłonił się nisko i powiada:

— Moje uszanowanie szanowanemu panu. Przepraszam, jeśli panu nastąpił na nogę. Jestem pan Niteczka, krawiec.

— Bardzo mi przyjemnie — odrzekł Strach na wróble. — Ja jestem hrabia Strach, herbu Cztery Patyki. Ale dokąd to pan idzie, panie Niteczka?

— Idę tam, gdzie zostanę królem. A może pan pójdzie ze mną, będzie nam weselej.

— Dobrze — odrzekł Strach na wróble i poszedł z Niteczką.

Szli wciąż na zachód. Spali zwykle w pszenicy, a na noc przywiązywał się krawiec nitką do Stracha, aby go znów jaki wiatr nie porwał.

Wędrowali siedem dni wśród rozmaitych przygód, wreszcie ujrzeli miasto. Ale zdumieli się bardzo i aż przystanęli z podziwu: na całym świecie była pogoda, tylko nad tym miastem okropny padał deszcz, i z nieba lało się jak z cebra.

— Ja tam nie pójde — powiada Strach — bo mi cylinder zmoknie.

— A ja nie chcę być nawet królem w takiej wilgoci! — mówi krawiec.

Lecz z miasta już ich dojrzeli, i tłum ludzi wybiegł do nich.

— Panowie wielmożni! Może wy nas poratujecie!

— A cóż się wam stało? — pyta Niteczka.

— Potop nam grozi i zagłada! Król nasz umarł tydzień temu, i od tej chwili straszliwy deszcz pada na nasze wspaniałe miasto. Nie możemy nawet ogniska rozpalić w domu, bo tyle wody leci przez komin. Zginiemy, wielmożni panowie!

— To źle! — rzekł bardzo mądrze pan Niteczka.

— O, i bardzo źle! A najwięcej to nam żal córki nieboszczyka króla, bo się biedna w płaczu utulić nie może, wskutek czego jeszcze więcej jest wody.

— To jeszcze gorzej! — rzekł jeszcze mądrzej Niteczka.

— O panie wielmożny! — zawołał burmistrz — ratujcie nas, ratujcie! A wiecie wy, jaką niezmierną nagrodę obiecała królowna temu, co ten deszcz zatrzyma? Obiecała, że za mąż za tego wyjdzie, i królem ten zostanie.

— Ej? — woła Niteczka — Naprawdę? Panie Strach, chodźmy do miasta. Trzeba spróbować.

I poszli.

— Słuchaj, Strachu, jak to zrobić, żeby ten deszcz przestał padać?

Myśleli trzy dni, a deszcz leje, i leje, i leje!

Nagle pan Niteczka uderzył się w czoło.

— Ja już wiem wszystko! Król ten był tak wielkim i potężnym, że kiedy on umarł, to się w niebie zrobiła dziura.

— Oj, oj! Prawda!

— Z tej dziury lunął deszcz i tak będzie padał do skończenia świata, jeśli się dziury nie zaszyje.

Niteczka kazał przynieść wszystkie drabiny, jakie tylko były w mieście, razem je związać i przystawić do nieba. Sam wziął sto igieł i szpulkę nici, co miała sto mil i polazł z tym na drabinę, a hrabia Strach rozwijał nici na dole. Wylazł na samą górę i widzi, że w niebie jest wielka dziura, taka wielka jak miasto; oddarty kawał nieba zwisał w dół, i przez otwór płynęła deszczowa woda. Wziął się więc do pracy i szył i szył przez dwa dni. Palce mu mdlały od roboty, ale nie ustawał. Żelazkiem potem wygładził niebo i bardzo zmęczony złazi z drabiny.

A w mieście pogoda śliczna! Hrabia Strach mało, że nie wariował z radości, tak jak i wszyscy mieszkańcy miasta. Królowna otarły oczy, które były prawie do połowy wyplakane i rzuciwszy się na szyję Niteczce, ucałowała go serdecznie.

Niteczka był szczęśliwy, aż patrzy, a tu burmistrz i rajce niosą mu złote berło i koronę wspaniałą i wołają:

— Niech żyje, niech żyje! Niech będzie mężem królowy i niech panuje szczęśliwie!

Toteż panował długo wesoły ten król, a w państwie jego nigdy deszcz nie padał. Zaś przyjaciela swego mianował Wielkim Strażnikiem państwa, aby odpędzał wróble od królewskiej głowy.

Kornel Makuszyński

27. Zegar ratuszowy.

(Deklamacja zbiorowa)

Stary zegar bije z wieży:

bam, bam, bam...

i odmierza czas, co bieży,

nam i wam.

Kiedy ósma na zegarze:
bam, bam, bam...
do roboty stawać każe
nam i wam.

Gdy nadchodzi popołudnie:
bam, bam, bam...
mówi: „Kto nie jada — schudnie!”
nam i wam.

A gdy zacznie bić z wieczora:
bam, bam, bam...
to i na spoczynek pora
nam i wam.

Lecz nim spocznem, zegar z wieży:
bam, bam, bam...
na modlitwę czas odmierzy
nam i wam.

Antoni Bogusławski

28. Fabryka.

Łódź się budziła.

Pierwszy wrzaskliwy świst fabryczny rozdarł ciszę wczesnego poranku, a za nim we wszystkich stronach miasta zaczęły się zrywać coraz zgiekliwiej inne i darły się, niby chór potwornych kogutów.

Tysiąc robotników wypęzło nagle z bocznych uliczek. Szli ze wszystkich stron, zapełniali trotuary, człapali środkiem ulicy, pełnej czarnych kałuż i błota. Jedni ustawiali się bezładnymi kupami przed bramami fabryk, drudzy, uszeregowani w długiego węża, znikali w bramach, jakby polykani zwolna przez buchające światłem wnętrza.

Czarne, milczące czworoboki fabryk błyskały nagle setkami płomiennych okien. Białe dymy zaczęły bić z kominów.

Borowiecki przy końcu Piotrkowskiej skręcił w małą, niebrukowaną uliczkę, oświetloną kilkoma latarniami i olbrzymią fabryką, która już szła.

Przebrał się szybko w zafarbowaną bluzę i pobiegł do swojego oddziału.

Budynek cały drżał od ruchu maszyn.

Długie transmisje, niby węże bladeżółte, goniły się z szaloną szybkością pod sufitem, pełzały po ścianach, krzyżowały się wysoko, ledwie dojrzane w obłoku kolorowych par, co buchały z kotłów. Sylwetki robotników w koszulach, umazanych farbami, przemykały cicho i jak cienie ginęły w mroku.

Borowiecki pobiegł dalej do farbiarni przez korytarze, zapchane wózkami, ludźmi i stosami towaru, leżącego na ziemi w wielkich kupach. Co chwila zastępowano mu drogę z najrozmaitszymi interesami.

Wydawał krótkie rozkazy, czasem obejrzał próbkę z farby, jaką mu przynosił robotnik, rzucał stanowczo: — Dobrze! — lub — Jeszcze! — i leciał dalej.

— Panie Borowiecki!

Wyteżył oczy. Wśród par, jakie zalegały farbiarnię, nie było nic prawie widać. Drgnął, bo go ujęto pod ramię.

— A, to pan prezes — szepnął, poznawszy właściciela fabryki.

— Ja pana gonię, ale pan dobrze uciekasz.

— Robota, panie prezesie — rzucił krótko i pobiegł do wielkich kadzi farbiarskich, nad którymi zwoje materiałów kręciły się w kółko i kąpały w farbie, rozpryskując ją na twarze i koszule robotników.

Fabrykant podniósł się i włókł swoje chore, zreumatyzowane nogi. Przechodził pawilony, podnosił się w górę windami. Czasem rzekł jakieś krótkie słowo, które jak błyskawica oblatywało całą fabrykę.

Sam już nie zajmował się niczym. Zięć prowadził fabrykę, a on wskutek przyzwyczajenia co rano przychodził do niej razem z robotnikami.

W fabryce jadał śniadanie i przesiadywał do południa, a po obiedzie, jeśli nie jeździł do miasta, to łąził po kantorach, składach, magazynach bawelny. Nie mógł żyć z dala od tego potężnego królestwa, które stworzył pracą własną całego życia. Musiał czuć pod nogami te trzęsące się mury.

Siedział teraz w drukarni i patrzył na maszyny drukarskie w ruchu. Długie pasy materiałów przewijały się między walcami miedzianymi, odciskającymi na nich barwy deseni, i ginęły w górze, na wyższym piętrze, w suszarni.

Ludzie z tyłu maszyn podkładali towar do drukowania,

a majstrowie stali przed maszynami. Co chwila któryś się pochylał, przypatrywał walcom, dolewał farby z wielkich kadzi i znowu stał zapatrzony w te tysiące metrów, biegnących z szalonym pośpiechem.

Dzień wlewał się setkami okien. Brudne światło wciskało się przez małe, zapocone szybki, a w tym świetle ludzie i maszyny wyglądali jak widziadła, rzucone w wir, który się z hukiem przewalał.

Mury drżały ciągle. Fabryka pracowała wszystkimi mięśniami.

Władysław Stanisław Reymont

Trotuar: chodnik na ulicy w mieście; — *transmisja*: przy maszynach pasy, przenoszące ruch za pomocą obrotu kół z jednego miejsca na drugie; — *prezes*: przewodniczący jakiegoś towarzystwa; — *zreumatyzowany*: mający reumatyzm; — *pawilon*: tymczasowy budynek np. przy fabrykach lub na wystawach; — *winda*: zamknięta klatka na linach stalowych, która za pomocą napędu elektrycznego przenosi osoby na wyższe piętra; — *kantor*: biuro fabryczne.

29. Wyciąg kajaków.

Płyną już! Widać z daleka:
raz, dwa, trzy, cztery w szeregu...
Jak lustro w słońcu lśni rzeka.
Tysiące ludzi na brzegu.

Rwą się do mety kajaki...
W srebrze się pławią i złocie.
Mkną wierzchem fali, jak ptaki,
w radosnym wiośel trzepocie.

Niesie ich Wisła na fali;
wiatr o zwycięstwie im śpiewa,
a w młodych oczach się pali
słoneczna, złota ulewa.

„Prędzej tam śmigać wiosłami!“
Iskrzy się słońce w lornetach.
„Już most się mignął nad wami!
Prędzej!... Za mostem tuż... meta!“

Brawo-o-o! — W okrzykach i gwarze
 huczą oklaski szalone.
 Pierwsi przybyli wioślarze
 w koszulkach białoczerwonych.

Józef Aleksander Gałuszka

30. W szpitalu.

Kto by się spodziewał, że kości są takie kruche?

Stefanek co dzień, idąc do szkoły, ślizgał się na zamrzniętej kałuży naprzeciw domu.

Tylko raz nie utrzymał równowagi. Przewrócił się, aż lód zatrzeszczał. Chciał prędko zerwać się na nogi i pobiec dalej, ale noga zaboląła go tak, że krzyknął wielkim głosem. Sam nawet nie wiedział, jak to się stało, że usłyszano go, że zbiegli się ludzie i zjawiła się mama. Ojciec Stefanka, szofer, na szczęście był jeszcze w domu i razem z mamą pojechali zaraz taksówką do dziecinnego szpitala.

W szpitalu lekarz obejrzał nogę, i okazało się, że jest zła-



mana. Ułożono ją tymczasem prosto, owinięto i wstawiono między dwie deszczułki.

— Jutro pójdzie do gipsu — powiedział pan doktor.

Tymczasem strasznie bolało, i mama aż płakała na korytarzu, słysząc krzyki Stefanka. Potem trzeba było pożegnać się z mamą, bo w szpitalu dzieciom tylko w niedzielę wolno przyjmować odwiedziny.

Pani w białym fartuchu i czepku ułożyła zapłakanego, zbolanego Stefanka na wysokim wózku szpitalnym, i tak odbył podróż na salę.

Przeniesiono go na łóżko. Obok i naprzeciwko szeregiem stały inne.

Stefanek leżał w milczeniu. Wstydził się płakać, ale było mu tęskno do domu, i jeszcze bolała go noga. Ale spod oka już widział dzieci na sąsiednich łózkach, przy każdym z nich tablicę i naliczył, że było ich dwanaście.

Nagle z sąsiedniego pościana odezwała się duża dziewczynka:

— Co ci jest?

— Złamałem nogę — odparł Stefan.

— Jak się nazywasz?

— Stefan Pietrzak.

— A ja Pelagia Lipowska. Pela.

Stefanek zapytał, co znaczą tablice przy łózkach. Dziewczynka odpowiedziała, że na każdej jest imię i nazwisko dziecka. Dodała też, że tu gdzie leżą, jest sala „C“ na oddziale chirurgicznym.

— A co ci jest? — spytał Stefanek.

— Nogę mi odjęli i rękę mam złamaną, ale już się goi.

Stefanek aż zbladł i spojrział na dziewczynę.

Siedziała na swoim łóżku spokojna, rozmowna i nie płakała wcale, że już nie będzie miała nogi.

Opowiedziała mu potem o swoim wypadku. Spadła z wąskich schodów na strychu, ale mieszkali na wsi, i bardzo długo trwało, zanim zawieźli ją do szpitala. Myśleli, że zagoi się w domu. Dopiero po trzech tygodniach zabrano ją do szpitala, ale wtedy było za późno i nogę musiano odjąć.

W tej chwili weszła pani w białym fartuchu.

Dzieci wołały:

— Siostro Mario!

Siostra zbliżała się do każdego łóżka, poprawiała pościel i układała dzieci. Kiedy zbliżyła się do Stefanka, powiedziała:

— No, nie boli już?

— Boli — wyszeptał Stefanek i poczuł, że znów robi mu się smutno. — Chciałbym o coś zapytać, ale na ucho — wyszeptał.

Siostra schyliła się.

— Czy mnie nie odejmą nogi?

Pogłaskała go po głowie i uśmiechnęła się.

— Naturalnie, że nie — powiedziała — przecież widziałeś, jak ułożono twoją nogę. Jutro włożymy ją do gipsu, żeby się zrosła prosto, a za kilka tygodni będziesz chodził i biegał, jak dawniej.

Stefanek przyzwyczał się prędko do białej sali z łózkami i nocnymi stolikami. Co kilka dni pisał na kartce list do rodziców, a w niedzielę odwiedzali go. Przychodzili wtedy krewni do wszystkich dzieci, opowiadali o domu, przynosili coś. Dla młodszych zabawki, najczęściej balony. Potem dzieci bez końca rozmawiały z sobą o swoim domu i rodzicach.

Najwięcej przyzwyczał się Stefanek do Peli i najbardziej polubił siostrę Marię. Inne dzieci były przeważnie młodsze.

Po pięciu tygodniach ostrożnie z pomocą siostry Marii wyszedł Stefanek na długi, biały korytarz. Wszystkie dzieci wypytywały go potem, jak tam wygląda.

Na korytarzu spotkał Stefanek lekarza.

— No, Stefan, już wychodzimy? — zawołał wesoło pan doktor.

— Za kilka dni uciekniesz od nas — powiedziała siostra — i prędko zapomnisz, żeś tu był z nami. Twoja noga jest już zupełnie zdrowa.

Stefanek widział biały, jasny korytarz i miłą twarz siostry, pomyślał o dobrej, odważnej Peli i zawołał:

— Nie zapomnę, może nawet przyjdę kiedyś!

Siostra roześmiała się i pogłaskała go:

— Zapomnisz — powtórzyła.

W niedzielę o pierwszej przyszła mama i zabrała Stefanka. Zarzucił ją pytaniami o ojca, brata i dom. Na ulicy pokazywał, jak wspaniale już chodzi. Inni ludzie szli pośpiesznie i wcale nie pamiętali o swoich nogach.

Stefanek też prędko zapomniał o nich. I o szpitalu także.

Gustawa Jarecki

Szofer: kierowca samochodu (automobilu lub autobusu); — *taksówka*: dorożka samochodowa, w której opłatę za jazdę oznacza przyrząd do rachowania kilometrów tzw. taksometer; — *chirurgiczny* (oddział): w szpitalu oddział, na którym odbywają się operacje.

IV. W STOLICY PAŃSTWA.

31. Tunel warszawski.

Dygocą, łomocą pociągi,
zdążają pośpiesznie do celu
i gwizdzą przeciągle, nim znikną
w warszawskim pomrocznym tunelu.

A inne znów śpieszą naprzeciw,
na wschód i na północ mkną w goście
i gwizdem żegnają Warszawę,
turkocąc kołami na moście.

Most długi, z betonu i stali,
prześłami nad wodą nawisły,
jednoczy brzeg lewy i prawy
i patrzy się w zmienny nurt Wisły.

Czy z Łucka przyjeżdżasz, czy z Wilna,
czy Lwów cię wysyła prastary,
niechybnie, skłoniwszy się Pradze,
pozdrowisz mostowe filary.

A potem, przebywszy most szybko,
i wiadukt, Powiślem biegnący,
zapadniesz się w czeluść podziemną,
w ten tunel, wilgocią dyszący.

Lat szereg tu świdry jęczały,
kopały łopaty, kopaczki.

i sznurem ciągnęły wywrotki,
i szybko mijały się taczki.

Lat szereg, jak mrówki robocze,
w niemałym mozole i trudzie
w tym głuchym, głębokim tunelu
uparcie trudzili się ludzie!

Zdzisław Kleszczyński

Beton: mieszanina cementu, piasku i żwiru, zaprawiona wodą, szybko twardniejąca, używana jako materiał budowlany; — *filar*: słup z kamienia lub cegły, służący do podpory wyższych części budynków lub sklepienia; — *wiadukt*: most na filarach, budowany nad ulicami, torami kolejowymi i dolinami; — *wywrotka*: wózek, posuwany na szynach, a zbudowany tak, iż wysypuje się z niego zawartość przez przechylenie.

32. To już!...

Niemiecki żołnierz wsiada w okupowanej Warszawie do przepełnionego tramwaju, brutalnie przeciska się między pasażerami i w pewnej chwili od jednego z nich dostaje w pysk. Bezpośrednio potem jakiś inny krewki pasażer idzie w ślady swego poprzednika. Awantura kończy się oczywiście aresztowaniem obu Polaków i śledztwem w Gestapo. Pierwszy z oskarżonych tłumaczy się, że Niemiec nastąpił mu na bolesny odcisk.

— A ty, łajdaku, dlaczego ośmieliłeś się podnieść rękę na niemieckiego żołnierza? — zwraca się rozwścieczony gestapowiec do drugiego aresztanta.

— Pomyliłem się. Myślałem, że TO JUŻ...

Takie anegdoty szeptaliśmy sobie na ucho, kiedy jeszcze przebywałem tam, gdzie teraz mogę być tylko myślą i sercem.

Gestapo szalało. Żyliśmy jak na prawdziwym froncie. To ten, to tamten ubywał z naszego, grona, zniknął za murami więzień, drutami obozów lub w kazamatach Gestapo, z których niewiele wracało na światło dzienne. Oswoił się z tym — dzisiaj ty, jutro ja — więc chociaż niebezpieczeństwo czaiło się za każdym rogiem, opowiadaliśmy sobie wesołe kawały, jak na żołnierzy przystało. Bo nie było mocy, która by mogła wydrzeć z serca wiarę w magiczne „TO JUŻ“. Kryła się w nich niezłomna

pewność zwycięskiego końca, wizja klęski znieawidzonego wroga. Słowami tymi była nasycona cała atmosfera życia w okupowanym kraju. Unosiły się nad społeczeństwem polskim jak rozkaz, który paść może lada chwila; wyrastały nad najeżdżącą groźnym cieniem, mącąc rozkosz dzikiego upajania się zdobytym łupem.

* * *

Wojna na ziemiach polskich skończona. Jeszcze bronią się Warszawa i Hel, lecz nikt już nie ma wątpliwości, że zły los sprawę przesądził. Po ucieczce z niewoli niemieckiej idziemy ścieżką koło drogi, po której nie snuje się, nie pełźnie, nie jedzie, ale pędzi, gna, rwie naprzód nieprzerwany łańcuch: samochody pancerne, szare limuzyny ze sterzącymi w oknach sztywnymi popiersiami oficerów niemieckich, autobusy wojskowe ze zmortoryzowaną piechotą i roztańczonymi z tyłu działkami ppanc, ciężarowe wozy z przyczepkami, ogromne jak wagony kolejowe. Ciężki, przegniatający widok, koszmar fantastycznego snu — może najazd jakichś nieludzkich istot z innej planety, z Marsa.

Nic nie mówimy do siebie. Nagle mój towarzysz — nazwijmy go Władek wyciąga rękę przed siebie i poprzez huk piekła na drodze krzyczy do mnie:

— Patrz!

Wzruszam ramionami. Rozbite niemieckie auto, pozostałość niedawnych zmagani wojennych, leży na dnie rowu. Zwyczajny, codzienny widok. Lecz Władek ma w oczach jakiś radosny błysk. Przenosi wzrok ze szczątków w rowie na rozpędzone samochody. A potem mówi:

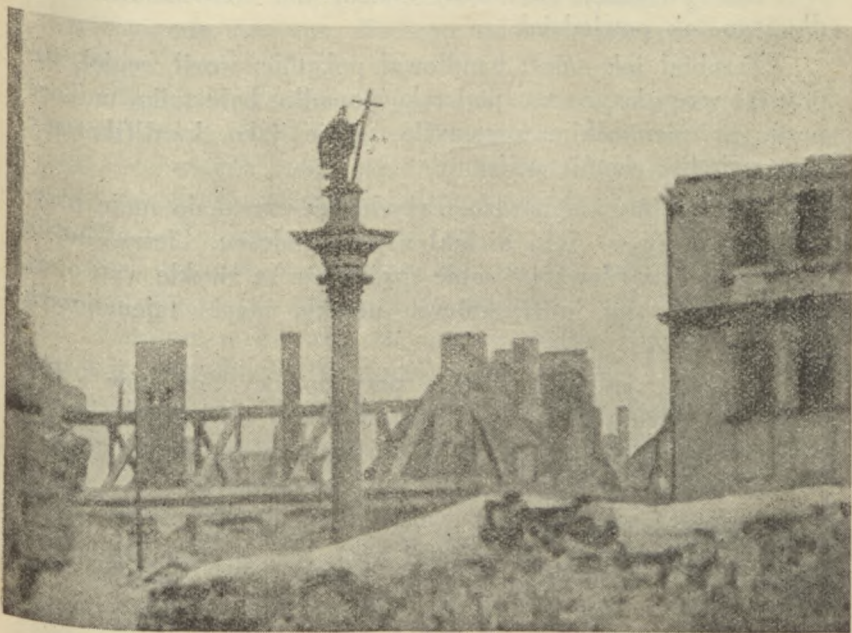
— „I któregoś dnia...”

Zrozumiałem — i nagle roześmiałem się całym sobą, szczerze i zdrowo. Cóż to wszystko warte: te pancerne samochody, limuzyny i wozy dieslowskie; wczoraj błyszczały jak wyczyszczone na defiladę buty pruskie, dziś są już nieco rozchodzone, podrapane i pokryte grubą warstwą kurzu, a jutro zalegną w rowach, rozbite i żałosne. Niechże więc ten rozpędzony szmelc pyszni się teraz wspaniałym wyglądem i siłą, póki nie przyjdzie czas...

Ruszyliśmy dalej na wesoło, z dziwną beztroską w sercach, my — niedobitki zmiażdżonej armii, a wąż samochodów pędził wzdłuż naszej ścieżki, dudnił, grzmiał — i zniknął za zakrętem.

* * *

Jeszcze jeden ponury dzień odchodzi za dopalający się horyzont. Zmierzch. Idę za niemieckim żołnierzem; mam czapkę nasuniętą na oczy i ręce w kieszeniach. Pogwizduję — gwizd przenika ostro ciszę ulicy. Niemiec ma przy sobie pistolet i bagnet, jest wyższy ode mnie i silniejszy. Lecz ja wiem, że on się mnie boi. Czuje mój wzrok na swoich plecach; ogląda się co chwila, patrzy podejrzliwie i przyśpiesza kroku. No, pewnie! Przecież o niczym innym nie myślę jak o jego własnym bagnecie, wbitym po rękojeść w plecy przede mną.



Zamek Królewski w Warszawie, spalony przez Niemców.

Idziemy tak obaj, czujni, naprężeni: on i ja czekamy — na to coś, co płynie w wilgotnym chłodzie jesieni, może opadnie z góry, z ciemnych chmur nocy, może wyjdzie zza kłębu czarnego krzewu, z oślepych szklanych okien, z otwartej furtki, nie wiadomo, skąd i kiedy — za rok, za dwa lub jutro. A może właśnie teraz, w tym ułamku sekundy pęknie jemu — wrogowi pod nogami jak granat, mnie zaś smagnie po mózgu twardym rozkazem hasło: TO JUŻ!

* * *

— Ta dziewczynka — powiedziała mi siostra, gdy już

byłem w domu — przyjechała ze swym ojcem z Pomorza. Na oczach tego dziecka granat urwał głowę jego matce.

Stało to na chodniku przed naszym domem, — takie maleńkie, drobne w czerwonym kapturku. Dziewczynka przyglądała się kwiatom, na pół zwiędniętym na jesiennej słocie.

Przyszła sroga, długa zima. Poznałem ojca dziewczynki.

— Mówmy do siebie po imieniu. Nazywam się Franek — zaproponował mi z miejsca.

Ani wtenczas, ani nigdy potem nie dowiedziałem się, dlaczego tak powiedział.

Zarabiał jak mógł; handlował pokątnie, woził węgiel, naprawdę wszystko, co mu pod rękę popadło, byle tylko uniknąć pracy w niemieckim przemyśle, gdzie jako kwalifikowany ślusarz byłby chętnie widziany.

Polubiliśmy się bardzo. Przychodził często do mnie przynosząc nowiny — i to niemal zawsze radosne. Cieszyłem się z nich, chociaż zdawałem sobie sprawę, że są zwykle wytworem bujnej wyobraźni ludzi, których urzekła magia tajemniczych słów TO JUŻ.

— Silne jednostki polskie przy pomocy Sowietów i Rumunii organizują się w okolicach Kołomyi i wkrótce wkroczą do Generalnego Gubernatorstwa. Mój znajomy dopiero co stamtąd wrócił, widział na własne oczy! Co, nie wierzysz?

Wpatruje się we mnie uważnie, z niepokojem w oczach.

— Ależ Franek, oczywiście! To bardzo prawdopodobne.

Uspokoił się i rzekł przyciszonym głosem:

— Przygotowałem już plan.

— Jaki?

— Rozbrojenia Niemców w naszym mieście. Słuchaj!...

Projekt był świetny, zmontowany ze wszystkimi szczegółami, sprawny jak zegarek. Tylko co do tego rozbrojenia — określenie było trochę nieścisłe, bo po takim „rozbrojeniu“ nie byłoby kogo pilnować.

Omówiliśmy wszystko dokładnie, uzgodniliśmy wiadomości o nieprzyjacielu, ustaliliśmy czas i miejsce. Franek upajał się sam i zdołał mnie oczarować, długo w nocy spiskowaliśmy szeptem i zdawało się nam, że TO nastąpi jutro, może nawet dziś, — że „TO JUŻ“.

Któregoś dnia Franek wpadł do mnie, cały poruszony, i bez

słowa przywitania zaczął mi szeptać — nie do ucha, lecz wprost w oczy:

— TO JUŻ — musimy działać!... Wczoraj koło miasta pojawiło się kilku polskich żołnierzy w pełnym uzbrojeniu. Widziała ich Maciejowa... Krzyknęli staruszce, że wrócą, i zniknęli w nadbrzeżnych zaroślach!...

Sprawdziłem tę wiadomość. Pani Maciejowa była naprawdę stara, bardzo stara. Ktoś rzeczywiście przebiegł i coś tam krzyknął, lecz staruszka miała już słaby wzrok, a jeszcze gorszy słuch. Właściwie nie wiadomo, dlaczego upierała się, że to byli polscy żołnierze.

Długo musiałem przekonywać Franka, że to jeszcze nie JUŻ. Posmutniał, — miał jeszcze przez pewien czas nadzieję, że się mylę, — i czekał, powtarzając mi codziennie, że jeżeli ten patrol wróci, to wtedy... Nigdy nie kończył zdania. Kiedy cała sprawa zaczęła już i jemu wydawać się bujną, urywając to swoje „wtedy“ spojrzał na córeczkę, ale tak, jak gdyby nie tylko ją widział. Twarz mu zszarzała na popiół.

I wtenczas chwyciło mię coś za gardło. Chciało mi się na przekór wszystkiemu krzyknąć: „Tak, — TO JUŻ!“ i rzucić się z nim, ze stu innymi, z tysiącem, milionem jemu podobnych, silnych, dzielnych ludzi, osieroconych, wyzutych z całego dorobku i praw do życia. Niech cały ból spłynie nareszcie z potokami krwi!...

Lecz trzeba było zagryźć wargi i czekać. Chwila jeszcze nie przyszła i nie wiadomo, kiedy nadejdzie. Niemcy nadal kwaterowali koło nas, nosili w menażkach zupę grochową i hodowali świnie — jedyną istotę, którą otaczali miłością i opieką. Mieli ją za parę tygodni zarznąć.

* * *

Zbliżał się dzień, w którym miałem uczynić to, o co mnie ciągle Franek posądzał. Zgodnie z cichą umową ludzi w kraju nie zwierzałem mu się z tych spraw. Prosiłem go tylko o pomoc w zdobyciu żywności na kilka dni. Przyniósł mi dużo rzeczy, o które było bardzo trudno, i nie chciał wziąć ani grosza.

— Tak trzeba. Zresztą spotkamy się.

Spojrzałem na niego pytająco.

— Nie tam, lecz tutaj — rzekł tajemniczo — kiedy wrócisz, będę wiedział, że TO JUŻ...

Dziwna jest wiara ludzi prostych i niezłomnych. Śnią

o błędnych rycerzach, o skrzydlatych, ognistych rumakach, o piorunie z jasnego nieba. Nie zachwieją nimi prawa natury, obliczenia mędrców, przewidywania ostrożnych; cóż to wszystko znaczy, kiedy wierzy się w niebo? I dlatego, choć mijają lata, chociaż ból zarasta otępieniem, nieustannie, poprzez tysiące przeszkód płyną do nas dowody, że tam czekają, spodziewają się lada dzień, lada godzinę, nie wiadomo skąd, w jaki sposób — może z nieba?...

Czeka też na mnie mój Franek ze swoją drużyną i gotowym planem — genialnym planem.

Wrócę, a jeżeli nie ja, to wrócą inni i zastaną ciebie, a jeżeli ciebie już nie będzie, zastaną innych.

Przybędą nagle, nie wiadomo skąd, z szarych chmur nocy, z czarnych krzewów za sztachetami, z oślepych szklanych okien, z otwartej furtki, spod ziemi — z nieba. Pojawią się dziwni ludzie w kombinezonach, z błyszczącą stalą w rękach, a gdzie się pojawi jeden, dokoła niego wyrośnie dwudziestu, stu, tysięcy. I zarozi się moc, napęcznieje zbrojnym narodem. Zabrzmi ziemia i zahuczy niebo, zagrają drzewa i domy — w tę pierwszą, najkrwawszą noc wolności, kiedy zaniesiemy płomienne wici, że TO JUŻ.

Eugeniusz Roman

33. Przez ulicę.

Wybrała się babuleńka z wnuczkiem Szymkiem do miasta. A że mieli kotka — zabrali go ze sobą. W mieście ruch, gwałt, ludzi pełno, a samochody i tramwaje pędzą, aż strach!

Żeby kot nie zginął, to wsadzili go do siatkowej torby i babuleńka z Szymkiem wzięli ją między siebie i tak idą, a kot, wysunąwszy z siatki nogi, drepce razem z nimi.

Na chodniku ciżba, aż się w głowie kręci. Raz wraz kogoś potrąca, raz wraz ktoś, nie zauważywszy torby, chce przejść między nimi, wpadnie na kota i gniewa się.

— Pod domami trzeba iść! — woła stary pan.

— Ale! Pod domami! Jakiem szła do komisariatu pod domami, to na mnie krzyczeli: „Koło jezdni“. Jak ja teraz idę koło jezdni, to znów: „Pod domami“! Aby tylko się sprzeciwić! I to pan, człowiek w latach!... Fe, wstyd!

— Czy jegomośćka zwariowała! A którą ręką jegomośćka się żegna?

— A jegomości co do tego! O, patrzcie go! Cóż to ja trzy latka mam? Przed świętym Mikołajem stoję?!

Krzyczy babulka, krzyczy jegomość, kot uwiesił się babulkowego fartucha i prycha, a ludzie cisną się dokoła i śmieją się, aż się za boki trzymają.

Zobaczył to zbiegowisko policjant, przepchał się do środka i pyta, o co chodzi?

O co chodzi?

Babulka krzyczy mu w prawe ucho o sobie, jegomość w lewe o sobie.

Wreszcie policjant jakoś tam jedno z drugim poskładał i zrozumiał.

— Widzi pani, trzeba zawsze iść ulicą po prawej, to znaczy od strony tej ręki, którą się pani żegna.

— Aha! A ja myślałam, że to jakieś żarty niegodne.

— Więc jak pani szła do komisariatu, to prawa strona była przy jezdni, a jak pani teraz idzie z komisariatu, to prawa strona jest pod domami.

— No, sprawiedliwie pan mówi, żeby to wszyscy mieli takie zastanowienie. Ale to nie, tylko jak te głupie owce lecą, na starego się pchają — zaczyna babulka znów swoje.

— A to już pani wina. Jak będzie pani szła właściwą stroną, to nikt na panią nie będzie wpadał.

— Ślicznie to pan komisarz powiedział, jak z nut! To niby teraz którą mam iść?

— Proszę za mną.

Przeprowadził ich na drugą stronę chodnika i kawałek szedł za nimi.

— No, pchają się tu ludzie na panią?

— Prawdę mówiąc, nie pchają się, ale to dlatego, że policyjną osobę widzą; nie wiadomo, jak to będzie potem.

— Tak samo będzie dobrze, tylko proszę zawsze iść po prawej stronie chodnika.

Nie bardzo babulka dowierzała, ale prawda: policjant odszedł, a im się wciąż szło spokojnie. Wciąż widzieli przed sobą też same plecaki dwóch harcerzy, wciąż słyszeli za sobą toż samo sapanie jakiegoś grubasa.

— No, teraz już rozumiem, jak się to w mieście chodzi — myślał Szymek. — Tak jak wozy na szosie.

I już sam pilnie uważał, żeby się trzymać prawej strony.

— Szymusiu, ale teraz będzie gorzej.

— Bo co?

— Bo nam trzeba przejść na drugą stronę.

— No, przepchajmy się ku jezdni!

Przepchali się. Stanęli teraz na brzegu chodnika. Babulka pilnie patrzy w lewo.

Jedzie dorożka, tramwaj, drugi tramwaj, rowerzysta, dorożka...

Nie można przejść.

Jedzie samochód, samochód, wóz konny, tramwaj, dorożka, dorożka...

Nie można przejść.

Nic nie jedzie! Teraz można!

Puszczają się ostro! Najpierw sady kot, a raczej sady siatkowa torba na czterech nogach, potem Szymek, a na końcu, jak może, drepce babulka.

Że w połowie jezdni trzeba się zatrzymać i popatrzeć teraz w prawo, to ani im do głowy nie przyjdzie. Szorują dalej ostro!

Aż tu motocykl z prawej strony!

Kot zarył się pazurami. Babulka rzuca się naprzód, Szymek w tył! Babulka w tył, Szymek naprzód! W tył! Naprzód! W tył! Naprzód!

Motocykl też tak i tak, tak i tak, tak i tak...

— Stać! — wrzasnął wojskowy z motocyklu.

Ze strachu przykucnęli oboje i razem z kotem. Motocykl przejechał. Już teraz zgodnie wielkimi susami dopadli chodnika.

Janina Porazińska

Komisariat: urząd policyjny.

34. Warszawie.

Na każdy dzień, na każdy czas
Tyś nam jest domem ducha;
I żywy nam jest każdy twój głaz,
I każdy mówi, słucha...

Mówi tym szeptem, co jest grom,
Skróś ciszy gdy rozbrzmiewa,
Słucha jak wtórzając naszym łzom,
Wiślana fala śpiewa...

Przeorał bój, przeorał znój
 Każdą piędź twojej ziemi,
 A my na siew dawali krew,
 Kośćmi ją siali swymi.

Rodzajne ziarna przykrył pył
 W serdecznej twojej glebie,
 Aż wzejdą z tajnych twoich żył
 Skrós cienie i dla ciebie.

Czy wzejdą późno, czyli w czas,
 Czy nocą, czy świtaniem
 Zawsze ty wiernych znajdziesz nas,
 Zawsze przy tobie staniam.

I zbudzi wiernych twoich dzwon,
 Nawet zastygłych w grobie;
 I buchną serca w jeden ton
 Z Wisłą, co śpiewa tobie.

Ty pełna jesteś rodów i gniazd,
 Skąd żywe idą moce,
 Nad tobą świt wróżebnych gwiazd
 I w najczarniejsze noce.

Maria Konopnicka

35. Auto.

Auto w mieście jest złe, niecierpliwe,
 bo mu wszyscy życie zatruwają:
 musi zwalniać, ustępować drogi
 tym ślimaczym ludziom i tramwajom.

Gdy policjant podniesie pałeczkę,
 to go słuchaj, bo ci karę wsypie!
 Auto wścieka się, mruczy i trąbi,
 i ślepiami reflektorów łypie.

Ale kiedy się wyrwie na szosę,
 gdy się pędem strzelistym potoczy,
 auto błyska i szumi z radości,
 ledwo motor z piersi nie wyskoczy.

Jak krew młoda, tętni w nim benzyna,
 auto własnym się pędem upija
 i wesoło kilometry drogi
 coraz szybciej na koła nawija.

Julian Tuwim

Reflektor: lampa na przedzie np. auta, pociągu, rzucająca przed siebie mocne światło.

36. W drukarni.

— Ben, zabierz! Ben, nieś! Ben, odłóż! Prędej!

A Ben zwija się, jak mucha w ukropie. Chwyta z wyciągniętej ręki zarządzającego drukarnią kartkę zapisaną, niesie do zecera, siedzącego przy maszynie drukarskiej, przenosi na boczny stół ułożone z metalowych liter wiersze i strony.

A uważa, a patrzy bystro na każdego, by w lot zrozumieć, czego chcą od niego. Wszak robota w drukarni to nie byle co. Musi być pośpiech, ale musi też być spokój i ład.

Wielka mroczna izba, lampki elektryczne świecą przy maszynach, jak jasne punkty. W szufladach ogromnych stołów i niskich komodach leżą duże litery, wyrzynane na tafelkach drewna, leżą linie płaskie, trójkąty drewniane i żelazne.

Ben zna je wszystkie. Będzie kiedyś zecerem. Teraz ma dopiero trzynaście lat, ale jak urośnie... Już teraz wszystko znajdzie, wyszuka, poda, aż mu się oczy śmieją do roboty.

Nagle słyhać, jak ktoś woła z góry przez tubę:

— Ben! Jest tam Ben?

To właściciel drukarni woła. I w tej chwili schodzi po schodach, i za nim z czapkami w ręku trzech, czterech, nie — aż pięciu uczniów.

— Ben! Słuchaj, zuchu. Ci chłopcy, proszą, żeby im odbić kilka afiszów, bo urządzają loterię fantową. Odbijemy im za darmo. Patrz tu kartka z napisem, rozmiary zanotowane z boku. Układaj razem z nimi, będą ci pomagali.

— Dziękujemy panu, bardzo dziękujemy — szastnęli chłopcy nogami, aż się zakurzyło, bo w drukarni zawsze jest pył na podłodze.

Ben zapalił lampkę nad niskim stołem, wyjął z szuflady linie płaskie, ramy i szybko układał.

— Robię ramę taką dużą, jak duży ma być afisz. A linie kładę, żeby był margines, proszę panów.

— My nie jesteśmy panowie — powiedział jeden z chłopców — nazywam się Jurek. A jak tobie na imię?

— Ben. Prawdziwie to Benjamin.

W rękę trzymał drewniane litery.

— Mamy napisać: WIELKA LOTERIA FANTOWA. — rzekł. — Kładę W, potem I. Trzeba uważać, żeby równo kłaść. Potem E.

— E? — zawołał Antek. — My piszemy duże E w drugą stronę. To zła litera.

— Wcale nie jest zła — obruszył się Ben. — Tylko ma odbić się na papierze, więc musi być wycięta na odwrót.

Za chwilę wyraz już był skończony.

— Czemu układasz takie klocki bez liter? — pytał Jurek.

— Musi być odstęp między wyrazami. Farbą zamażą się tylko wypukłe litery. A te niższe drewna nie odbijają się wcale, i w tym miejscu będzie czysty papier.

— A jak się odlijają na papierze?

— To maszyna dbije. Nasmaruje farbą litery, podsunie pod papier, wałek przyśnisie, i już gotowe. Tylko korbą się kręci i na papier uważa.

— Najtrudniejsze to układanie — powiedział Antek — choć jest bardzo miłe, podobne do budowania z klocków.

— Tak, najważniejsze to ładnie, równo ułożyć napisy. Lepiej sto razy poprawić, niż oddać brzydką robotę.

— To zecer musi być bardzo cierpliwy.

— Każdy zecer musi być cierpliwy, pracowity i spokojny — powiedział Ben.

W kilka dni potem Ben przyglądał się swemu afiszowi, nalepionemu na drzwiach szkoły. W rękę trzymał wygrany krążek kiełbasy. Chłopcy dali mu kilka biletów i zaprosili na loterię, a Ben wygrał kiełbasę.

Ucieszył się z niej. Aż więcej chyba cieszy się, że patrzy na afisz, pierwszy afisz własnej roboty. Czarne, równe litery... Każdą z nich miał w rękę, układał.

Teraz to chyba z pewnością zostanie zecerem.

Stefania Koszuthówna

Zecer: drukarz, składający litery; — afisz: plakat, drukowane ogłoszenie, nalepiane dla powszechnej wiadomości na słupach.

Figiel: Zecerowi rozsypał się wyraz „karta“, więc mówi do praktykanta: — Złóż na nowo. — Praktykant złożył raz, drugi i trzeci, za każdym razem inny wyraz, za każdym niewłaściwy. Jakie to były wyrazy?

37. Wiosna w parku.

Jak tu ładnie w miejskim parku
w ten wiosenny dzień.

Wiatr powiewa, stare drzewa
wkrąg rzucają cień.

Park zielony: olchy, kłny
i aleje brzóz.

Krzaki bzowe, jaśminowe,
krzaki białych róż.

Ptak zanucił, potem uduł,
szumi tylko liść.

Ścieżka z rana gracowara,
miło po niej iść.

Chodźmy dalej, pośród alej
błyszczą w słońcu staw
ozdobiony, umajony
gęstwą drzew i traw.

W dal po wodzie przy pogodzie
dwa łabędzie mkną.

Dały nurka, i na piórkach
srebrne krople lśnią.

Stoi wiosna przy jaśminie,
strząsa biały kwiat.

Zapach płynie... Zostań, wiosno,
każdy tobie rad.

Lucyna Krzemieniecka

38. Ogród Zoologiczny.

Marychna Stawecka przyjaźniła się bardzo z Olką Wójcikówną. Siedziały na jednej ławce od początku roku. Ale że Wójcikówna mieszkała na jednym końcu miasta, a Stawecka na dru-

gim, w Ogrodzie Zoologicznym, bo jej ojciec był tam dozorcą, więc się tak jakoś złożyło, że nigdy nie były u siebie w domu. Któregoś dnia na wiosnę powiada Marychna do Olki:

— Jutro jest niedziela. Przyjdź do mnie! Tylko z samego rana. Pokażę ci cały ogród.

Usłyszał to Felek. Przymówił się, żeby go Marychna również zaprosiła. W niedzielę z samego rana Olka i Felek byli przy bramie Zwierzyńca. Czekala już tam na nich Stawecka. Przywitali się i poszli.

Obejrzeni plectwo wodne, napatrzili się na foki, co harcowały po basenie, postali dłużej przed niedźwiedziami. Marychna opowiedziała im o niedźwiedzicy, jaka to ona łaskawa i jak dobrze wychowuje swoje małe.

— Raz taki mały niedźwiadek rzucił się na pana dyrektora z pazurami. Matka dała mu klapsa i wyrzuciła go z klatki tam, do tej ciemnej komórki, widzicie? A sama skoczyła do pana dyrektora, lizała go po rękach i przeproszała za syna.

Bardzo się to Felkowi podobało. Wyjął z kieszeni cukierek i wyciągnął rękę do niedźwiedzicy.

— Nie dawaj jej cukierków! — zatrzymała go Marychna.

— Masz tu kawałek marchwi. To zdrowsze dla niedźwiedzi. Mieliliśmy tu, w ogrodzie ślicznego jelonka. Ktoś go opasł czekoladą i na drugi dzień jelonka już nie było!

— Od czekolady? — zdziwił się Felek. — No, no! Ja bym tam jadł czekoladę cały dzień i nic by mi nie było!

— Bo ty nie jesteś jelonek! — zaśmiała się Olka. — Chodźmy do lwów.

Poszli. Obejrzeni lwy. Dowiedzieli się, że wszystkie lwy i tygrysy, które im Marychna pokazała, już się urodziły w ogrodzie.

— To one nie są dzikie? — zdziwił się Felek.

— Dopóki są małe i wychowują się między ludźmi, to są tak łaskawe jak psy, czy koty. Pokażę wam małe tygrysiątka i lewki.

Zaprowadziła swoich gości do małego domku. Otworzyła drzwi.

— Pani Biedrońska, pozwoli pani zobaczyć małe? — zapytała.

W otwartych drzwiach stanęła starowina, popatrzyła na dzieci i powiada:

— Chodźcie! Tylko uważajcie, żebyście za blisko do moich małych nie podchodzili! Nie dlatego, żeby wam chciały jakakolwiek przykrość wyrządzić. Nie. One są dobre, że do rany przyłoż! Tylko, widzicie, taki mały tygrys, czy też lew wcale nie wie o tym, jaki to człowiek jest kruchy. Z figlów was utnie zębami i może wam niemałą krzywdę zrobić!

Weszli do pokoju. Tygrysiątko, niewiele co większe od psa, rzuciło się do nich w podskokach. Staruszka krzyknęła na niego:

— Burasek! Nie podchodź za blisko do dzieci! Połóż się!

Tygrysiątko posłusznie przewróciło się na wznak. Staruszka drapała je po kosmatym brzuszku, a mały tygrys pomrukiwał przy tym rozkosznie, przymykał oczy, przeciągał się. Płowa lwiczka trzymała się kąta i patrzyła na obcych trochę nieufnie. Marychna zawołała na nią. Mała ostrożnie, powolutku, krok za krokiem zbliżała się do wyciągniętej ręki. Dała się pogłaskać, podrapać za uchem. I tak samo, jak tygrysiątko, padła na ziemię.

— Podrap ją Marychna, po brzuszku! — powiedziała pani Biedrońska. — Zobaczysz, jak będzie mruzczyć!

— A gdzie jest drugi tygrys? — spytała Marychna.

— A nie widzisz go? Siedzi na oknie!

Dzieci spojrzały na okno i oniemiały z podziwu! Na parapecie siedział tygrys, prawdziwy tygrys, zawinięty po szyję w ciepłą chustkę! Spiętą na wielką agrafkę! Tego, jak świat światem, nikt nie widział!

— Jakoś się przeziębiał i kaszle. Muszę go ciepło trzymać. Finuś, jakże ci tam? Tylko nie skacz z okna! Siedz na słońcu, siedź! — zawołała do chorego malca pani Biedrońska.

Pożegnali się i wyszli. Poszli do małp. Napatrzeć się nie mogli na ich ucieszne figle. Marychna zacmokała. Z głębi wysunęła się małpeczka. Niosła przed sobą uczepione przy szyi małe małpiątko.

— Zupełnie, jak dziecko! — zdziwiła się Olka. — Widzisz, jak to grymasi? Patrz, płacze! Widzisz, płacze! — powtarzała i trącała w bok Felka. — Matka coś jej tłumaczy! Słyszysz? Pewnie jej się pyta, czego ona chce.

A Felek, jak to Felek, lubił podrwiwać z Olki. Powiada do niej:

— Na pewno napiera się lalki! — pochylił się tak, że prawie dotykał piersią do kraty i woła do małpki:

— Chcesz lalkę? Chcesz?

A tu małpka hyc na Felka, łap go za kieszonkę, z której sterczał ołówek, i w nogi.

— Mój ołówek! — woła Felek. — Oddaj ołówek!

Ale gdzie tam! Małpka z dzieckiem już siedziała na najwyższej gałęzi tego suchego pnia, co był w klatce! Małpiątko oglądało ołówek ze wszystkich stron i na chwilę przestało grymasić.

— Dobrze, że ci czapki nie zdarła z głowy — powiedziała Marychna Felkowi, kiedy się jej użalał. — Sam jesteś sobie winien. Nie trzeba się za bardzo zbliżać do kraty!

A Ólka krótko skończyła sprawę:

— Co tam będziesz narzekał! Matka musiała czymś dziecko zabawić! Wzięła ci kawałek ołówka! Wielka rzecz!

Ale dla Felka nie była to znów sprawa tak drobna. Bo cała ta historia z ołówkiem dostała się jakoś do szkoły, i chłopcy pytali się go potem, jak to było z tą lalką, co ją ofiarował małej małpeczce?

Jan Grabowski

Parapet : podparcie, dolna, wystająca część np. okna ; —
agrafka : szpilka podwójna, służąca do spinania.

39. Do teatru.

Stary, ochrypnięty zegar wybił drugą.

Janka podniosła się od kołyski małego Zbyszka, który spał z różową buzią, wtuloną w poduszki, podeszła ku oknu.

Mama powinna lada chwila nadejść. Chyba nie zapomniała, że Janka idzie do teatru na popołudniowe przedstawienie?

Pierwszy raz do teatru! Nie, mama na pewno zaraz przyjdzie. Za chwilę ukaże się tam, u wylotu bramy w swoim brązowym palcie i z tym wielkim koszem obwarzanków. Janka przywołuje ją całą mocą wyobraźni. Każdy cień ludzki w bramie przyspiesza bicie jej serca.

Napróżno...

Podchodzi więc do wieszaka, z kieszeni płaszczyka wyjmuje różowy skrawek biletu. Odczytuje po raz setny: Balkon... rząd... numer miejsca.

Nieczęsto zdarza się taka przyjemność. Tyle szkół, tyle dzieci czeka na te zniżkowe szkolne przedstawienia!

Janka chowa starannie cenny bilet do kieszeni... Wkłada powoli beret, a oczy jej wciąż biegną ku tarczy zegara...

Wybiega na schody i chwilę patrzy uważnie w dół, przechylona przez poręcz...

Ktoś idzie... Powłóczy nogami i kaszle głucho... To ten stary emeryt z pierwszego piętra. Nikogo więcej?... Nie... Cicho...

Zegar w mieszkaniu chrypliwie uderza wpół do trzeciej.

Co robić?

Janka decyduje się nagle i puka do sąsiadów. Wchodzi, kłania się grzecznie sąsiadce, ledwie widocznej w kłębach pary, buchającej z balii.

— Dzień dobry pani. Ja... ja bardzo przepraszam... Mamusia zaraz powinna przyjść, ale... ja mam bilet do teatru... boję się spóźnić... Czy pani nie byłaby taka łaskawa parę minut posiedzieć u nas, przy Zbyszku... On śpi i...

Sąsiadka wyjmuje na chwilę czerwone, okryte pianą ręce i mówi szorstko:

— Też! A jakże ja mogę odejść od bielizny!

— Przepraszam... — szepce dziewczynka i wycofuje się na schody.

Znów schyla się nad poręczą i oczyma, pełnymi łez, stara się przejrzeć mrok klatki schodowej.

Nie widać.

— Pójdę! — postanawia raptem. — Klucz włożę pod słomiankę. Zbyszek pośpi jeszcze z pół godziny...

Wchodzi do mieszkania... Wkłada płaszczyk, nie spuszczać oczu z zegara. Wskazówki z rozpaczliwym pośpiechem zbliżają się do trzeciej. Jeszcze raz podbiega ku oknu... Jeszcze wygląda na schody... I znowu na zegar... A potem na Zbyszka.

Mały uśmiecha się ślicznie przez sen...

Iść? A jeśli Zbyszek się zbudzi? I przy nim nikogo?... I nikt na jego wołanie nie przyjdzie?... Ani na płacz?... Ani na krzyk rozpaczliwy, aż do schrypnięcia?...

Nie!

I Janka zsuwa z ramion płaszczyk, zwolna ściąga beret i rzuca na krzesło. Łzy gradem sypią się po jej policzkach.

Zegar wydzwania trzecią.

I w tej chwili trzask drzwi!... Mama! Zdyszana, bez tchu!

Janka z piskiem radości rzuca się jej na szyję, wciska bylejak beret, płaszcz naciąga na jedno ramię i pędzi już w dół schodów, przeskakując stopnie.

Jedna ulica... druga ulica... Plac.

Jakby się chciało przebiec na oślep, na przełaj ku tym szarym kolumnom teatru. Ale nie można. Policjant z białą pałeczką czuwa na wysepce.

Jedno skrzyżowanie, drugie... Biegiem tuż przed autobusem... Nareszcie przedsionek teatru. Janka pokazuje bilet.

— Tędy.

Biegnie po szerokich, marmurowych schodach. Głuchy głos gongu wstrząsa gmachem. Zaraz się zacznie!

Janka zrzuca płaszcz i beret po drodze... Szatnia... Nareszcie!

— Tędy!

Wpada bez tchu na widownię. Ogromna, jasna sala. Mrowie głów wszędzie. Na dole w krzesłach, na balkonach, na galerii, wokółutko wszystkich ścian. Szum, jak w ulu.

Jakżeż jasno! Wspaniały, ogromny żyrandol u stropu zalewa widownię jaskrawym światłem i sam skrzy się jak cudo z bajki.

Ale w tej chwili gaśnie... Ciężka kurtyna sunie w górę, odsłaniając jasno oświetloną scenę.

Świat rzeczywisty ginie gdzieś raptownie i razem z tym panem Twardowskim na scenie, pochylonym nad czarodziejską księgą, otwiera się świat cudów i czarów.

Julia Duszyńska

Emeryt: wysłużony urzędnik, otrzymujący pensję; — *decydować się*: postanowić; — *kolumna*: filar, por. obj. do czyt. 31; — *gong*: dzwon w kształcie talerza, w który się dzwoni za pomocą uderzania pałeczką; — *szatnia*: miejsce w którym się pozostawia zwierzchnie okrycie np. w teatrze; — *balkon*: miejsce w teatrze na piętrach; — *galeria*: miejsce w teatrze na najwyższym piętrze; — *żyrandol*: wielki wiszący świecznik.

40. Mogiłka na skwerze.

Nogą można potrącić tuż obok rynsztoka.
W biednych kwiatkach i hełmu stalowym rynsztunku
Krzywy napis „Nieznany“. I z błota powłoka,
I słowa twardej chwały: „Padł na posterunku“.

Jemu to się należy najszczerzy z pacierzy,
Co, umierając szeptał: „Warszawy nie damy“...
Grób na skwerze ulicznym, krzyż z okiennej ramy —
Taka mała mogiłka, a w niej wielkość leży.

Wiersz z Kraju

41. Bęben.

Na odwachu pod Bernardynami biją w wielki bęben. Biją obcy, nieznany Warszawie werbel. A przed odwachem chodzi dziwny żołnierz w białych kamaszach, w osobliwym kołpaku z wysoką kitką. Austriacki żołnierz.

No, tak. Nie ma jeszcze dziesięciu dni, jak się z nimi książę Józef pod Raszynem bił, a choć tego bił, to jednak przed poważającymi siłami ustąpić musiał i Warszawę oddał. Teraz za Wisłę się przeprawił i powiadają, że o odwecie zamyśla. Dałby Bóg, żeby prędzej tych kamaszników ze stolicy przepędził razem z ich bębniem przeklętym!

Chodzi biały żołnierz na warcie od jednego końca odwachu, gdzie mu drogę zagradza bariera, do drugiego końca, gdzie na koźle drewnianym bęben leży. I znów do bariery, i znów do bębna. Godzina wczesna. Niedziela. Mgła. Ulice warszawskie zupełnie puste. Miarowe kroki dudnią we mgle, w ciszy na wpół uśpionego miasta.

W pobliskiej kamienicy przycupnęło w sieni kilku chłopaków. Radzą nad czymś, miny szelmowskie, w oczach skrytatają. Rej wodzi Wicek, terminator szewski.

— Ba, skąd sznura wziąć?

— Weźmiemy ze strychu. Mało ich tam wisi?

— Będzie Michałowa wściekła. Spierze nas.

— Nie spierze. Powiesimy z powrotem. Ubędzie jej to?

— No, to jazda!

Zadudniało po schodach. Sobie tylko wiadomymi drogami dostali się na strych. Co tu sznurów! Bielizny na nich na szczęście nie ma. Tylko brać i wiązać. Wiązali, wiązali, wreszcie Wicek uznał, że wystarczy.

— A kto pójdzie zaczepić?

— Ja pójdę, moi drodzy, dajcie mnie — woła Janek, syn kościelnego.

— Nie drzyj się, jeszcze kto usłyszy.

— Ja pójdę — powtarza Janek swą prośbę błagalnym szeptem.

— Niech idzie — popiera prośbę Janka gruby, rudawy Jędrak. — Mały jest, a wartki, to się dobrze spisze.

— Dobrze, niech idzie — zawyrokował Wicek. — No, ruszaj! Sznur wypuścimy ci oknem. Na końcu masz drut, jak o bęben zaczepisz, to zakręć. A śmigaj potem zdrowo, żeby cię

nie przyłapali. Najlepiej na drugą stronę ulicy. Oni za bębniem, nie za tobą polecą.

Chodzi na odwachu biały żołnierz miarowym krokiem. Sennym wzrokiem rozgląda się wokoło. Mgła gęstnieje jakoś, chodzi, chodzi... Od bariery do bębna, od bębna do bariery... deszcz zaczyna siąpić. Doszedł do bariery, obrócił się i skamieniał. No, bo jakże! Dawno już Franc Winter był żołnierzem, dziesiątki razy był w wielkich opałach, wiele widział, ale tego, żeby bęben ożył, tego jeszcze nie widział. Oto bęben ni z tego ni z owego zaczyna podrygiwać na swoim koźle i dudnić głucho za każdym poruszeniem. Nic innego, tylko siła nieczysta!

Pot wystąpił na czoło Winterowi, oczy w słup, gęba szeroko rozdziawiona, chciałby krzyknąć, ale z wielkiego przestachu nie może.

Wtem bęben, podskoczywszy silnie, zachwiał się i spadł z koźla z wielkim łoskotem na ziemię.

Ze zdrętwiałego gardła dobył się Winterowi ochryply krzyk: Do broni!! Wypadli z odwachu na ten alarm żołnierze. Winter drze się wciąż jeszcze: do broni, do broni!! Ale z miejsca ruszyć się nie może. Bęben wielkimi krokami ucieka, grzmiąc jak z armaty przy każdym uderzeniu o bruk. Żołnierze puszczają się pędem w pogoń za zbiegiem. Bęben, o dziwo, daje susy coraz większe, coraz wyższe, wreszcie unosi się w powietrze, szybuje wysoko, wysoko, hen ku dachowi kamienicy. Coraz wyżej... Coraz wyżej... Gromadka żołnierzy śledzi go wzrokiem z zadartymi w górę nosami.

Kiedy w kwadrans później wszedł na strych oficer z kilkoma żołnierzami, nie zastali tam żywego ducha. Jenó kupa sznurów leżała w kącie z haczykiem, uplecionym z drutu, na końcu.

* * *

Parę tygodni jenó bawili Austriacy w Warszawie. Kiedy książę Józef ruszył na południe ku Lwowu i Krakowu, ogarnął ich strach. Zwiali.

A w jesieni po zwycięskiej wojnie wróciło do Warszawy wojsko polskie, witane szeroko otwartą bramą triumfalną i jeszcze szerzej gorącym sercem.

Wróciło bez wodza. Książę Józef wysłał na triumf armię, a sam czekał w Krakowie, aż przebrzmiały w stolicy wiwaty. W styczniu dopiero następnego, 1810 roku, zjechał do Warszawy.

— Wicek, wiesz? Książę Józef dziś przyjeżdża.

— Co ty mówisz? Kto ci powiedział?

— Wiem na pewno. Mówił mi stajenny z pałacu pod Bła-
chą, że konie poszły po niego do Grójca.

— Idziemy z bębem, he?

— Ma się wiedzieć i to już!

Zmówili się już byli dawno, że pójdą na powitanie ukocha-
nego wodza, jak będzie z wojny wracał. Wielkim zawodem było,
że go nie zobaczyli na czele wracających wojsk.

Wyszli. Jędrek, że to najmocniejszy, niósł na plecach ukryty
w worku bęben. Szli traktem krakowskim. Nie byli sami. Wieść
o przyjeździe księcia, choć trzymana w tajemnicy, rozeszła się
po mieście, i moc ludu ciągnęło traktem. Koło rogatki zatrzymał
chłopców zwarty tłum. Ktoś tam komenderował, torował drogę
środkiem, ustawiając zebranych w dwa szpalery, po obu stronach
traktu. Nasi przyjaciele szast prast, tędy owędy, wyświdrowali
się zaraz na sam front. Bęben przezornie siedział jeszcze w worku,
bali się bowiem chłopcy, aby im go nie odebrano.

Nie czekali długo, w oddali ukazał się korowód pojazdów.
Tłum zakołysał się.

— Jadą! Jadą!

— No, dalej Jędrek, wyciągaj bęben!

Ale worek był ciasny i nie chciał bębna puścić, zaczęło
się coś gdzieś i trzyma. Darmo Jędrek ciągnie z całej siły
w jedną stronę, Wicek w drugą. Szarpią, szamocą się. Ludzie
fukają na nich, ci nic nie słyszą. Janek, który miał bębnić, ile
że się na tym trochę rozumiał, był bliski płaczu. Powozy się
zbliżają. Jeszcze chwila, a będzie po wszystkim! Rozpacz!

Powozy stanęły. Do pierwszego z nich podeszła delegacja.
Jakiś starszy, siwy, pięknie ubrany pan skłonił się nisko, zdjął
czapkę futrzaną i rozłożywszy uroczystym ruchem ręce, jął prze-
mawiać:

— Dostojny pa...

A tu nagle tuż obok rozlega się głos:

— Walże, Janek, ile wlezie!

Ram-tara-ram, ram-tara-ram...

Gdyby ze styczniowego nieba grom uderzył w ten tłum, nie
wywołałby większego zamieszania. Byłoby się ono smutno skoń-
czyło dla naszych niefortunnych doboszów, gdyby nie książę.
Uspokoił on tumult, wziął chłopców w obronę przed tłumem,
a potem, wyrozumiawszy wszystko z zalęknionych ich odpowiedzi,

uściskał ich, ucałował i do własnego powozu zaprosił.

Z paradą jechał Janek na koźle księżęcego powozu z bębniem
na kolanach, a z dumą i miłością wielką w sercu.

Kazimierz Konarski

Odwach: miejsce, gdzie przebywa warta wojskowa; —
tumult: zamieszanie; — *niefortunny*: nieudany, nie-
szczęśliwy.

42. Modlitwa za zmarłych.

Wieczne odpoczywanie
Racz im dać Panie,
Na Powązkach, na placach, na skwerach,
Pod ruinami domów,
W zasypanych piwnicach,
Tam gdzie kto padł,
Gdzie umierał.

Ofiaruj spokój im zaświatowy
I na mogiły pośpiesz z pomocą,
Bo trzeba było z miejsca na miejsce
Spod trotuaru pod kamień grobowy,
Już uleżałe przenosić głowy
I sen ich naruszać nocą.

Wyróżnij nieznanym i bezimiennym
Światłem, które wieczyście połyska,
Bo cóż im z ludzkiej doczesnej pamięci,
Kiedy pod krzyżem i hełmem pośnięci
Nie mają nawet nazwiska.

Niech serce Twoje ich wynagrodzi
I od najbliższych odejść pomaga,
Bo matkom, co kładły im bandaż na skroni,
Szeptali wargą stygnącą w agonii.
Jak miłość i jak zaklęcie:
Mokotów, Praga
Okęcie.

Odbierz im rany, pozwól zapomnieć
O nocach w męce i dniach bez ratunku,

Bo gdy pod ścianą rozbitych szpitali
 Marli bez wody i opatrunku,
 Cisza z przedpoła zapadła złowroga,
 I nie koledzy ich salwą żegnali
 Lecz — werbel zwycięski wroga.

Spójrz, Sprawiedliwy, na dzieło bez miary,
 Bo z krwi i z mąk ich, nad miasto, nad gruzy,
 Nad niebotyczne, ogromne pożary
 Gorzkim rozwiane dymem,
 Los nasz się dźwigał wysoko i w burzy
 Stoi przed nami olbrzymem.

Spójrz, Sprawiedliwy, na dzieło bez miary,
 Na wolność, co rośnie z nich nieprzerwanie,
 Choć, gasła z każdym pospołu:
 Otwórz niebieską przed nimi bramę,
 Do wojujących zalicz kościołów,
 Zachowaj moc ich i oddaj im Panie,
 Ziemię Ojczystą na wieczne władanie
 Amen.

Kazimierz Wierzyński

V. ROK POLSKI.

43. Jesień.



K. SOPOCZKO 25

Słoneczko poblakło,
chłodny, późny wrzesień;
włóczy się po pustym polu
wyglodniała Jesień.

Stalowymi oczu
naokoło błyska:
nigdzie owsa ni jęczmienia,
tylko rżyska, rżyska.

Wszystko chciwe ręce
sprząły; w kopki, w kozły
ustawiły, wysuszyły
i do stodół zwiózły.

Zegnie się i szuka,
czy jeszcze pod miedzą
pęki świeżych, czarnych ożyn
nieruszone siedzą.

Gdzie tam! Świat nie głupi,
wie, gdzie skarb niepłony;
już je zjedli pastuszkowie,
rozdziobały wrony.

Nikt się nad biedotą
chyba nie rozczuli —
aż tu widzi jeszcze zagon
niewybranych gruli.

A przed nią naokół,
po polach i „grapach“
palą ognie pastuszkowie
z biczykami w łapach.

Raduje się strasznie
zglodniała starucha
i nabiera krągłych grulek
pełno do fartucha.

W lot do najbliższego
 niesie je ogniska
 i chłopiętom ucieszonym
 w żarny popiół ciska:

— Macie to dla siebie,
 juhasowie mili,
 ale niech się przy was także
 starucha posili.

Jan Kasprowić

*Grule: ziemniaki; — grapa: stromy grzbiet wzgórze;
 urwisko; — żarny: gorący; — juhas: pasterz w Tatrach.*

Na święty Wawrzyniec z orzechów wieniec.

44. Krakowskie wesele.

Aż luna biła od Marysi Skibianki, córki zamożnego bro-
 nowickiego gospodarza, gdy stanęła wśród druhen, już do ślubu
 ubrana. Miała na sobie spódniczkę kwaciastą, gorset, złotym
 szyciem i paciorkami wyszywany. Spod gorsetu tego wychodziły
 bufiaste rękawy i kreza bieluńskiej jak śnieg koszuli. Na szyi
 dziewczęcia czerwieniły się trzy sznury wielkich koralii.

— No, a teraz koronę jej nałóżcie! Jeno prosto, a mocno! —
 nakazywała Pakulina, która była starościna na weselu.

Po tę koronę jeździła Marysia z matką do Krakowa, do
 Sukiennic i najpiękniejszą wybrały. Świeciła się ona od koloro-
 rowych paciorków, jaskrawiła od kwiatów, sztucznie zrobionych.
 Pierwszą druha, Anka Piwarczykówna, wzięła ją ostrożnie do
 ręki, a Zośka Bujakówna wraz z Bašką Pakulanką poczęły upinać
 na głowie panny młodej wianuszek z gałązek bukszpanowych
 i z rozmarynu.

Druhny chórem śpiewały:

Lelija, lelija wysokiego ziela,
 nie będziesz widziała mojego wesela,
 bo moje wesele pod Krakowem będzie,
 na moim weselu siedmiu królów siedzie.
 Będą tam królowie, będą monarchowie,
 będą mi upinać wianeczek na głowie.
 A jak w tym wianeczku pośród nich usiądę,
 zadziwią się wszyscy, najpiękniejszą będę.

Upięły wreszcie wianek, nałożyły koronę, i panna młoda
 wyszła z komory do izby.

Porwał się Stacho na jej spotkanie. I on był odświętnie wystrojony. Granatową kierezję ozdabiał czerwony kołnierz, złocący się od naszywanych blaszek. Złocił się też gwoździkami nabijany, suty pas krakowski.

Skibina spojrzała przez łzy na jedynaczkę, ale że pora już była dość spóźniona, więc Skiba ją upominał żonę.

— Nie mitręż, matka! Na co te płacze? Nie pierwsza ty i nie ostatnia, co córkę za mąż wydajesz. Pamiętaj, że ksiądz kanonik nie powinien czekać ze ślubem.

Bo i jakże? Wozy już gotowe, druźbowie przy koniach, jeśli się zaś kobiety zaczną mazać, to wesele na- czas do kościoła nie dojedzie.

Więc Skibina zebrała się w sobie, ale teraz znowu Marysię rzewność chwyciła, gdyż drużki zawiodły piosenkę:

Wychodź, Marysiu, z izby,
nie rób matusi ciżby!
Dosyć-eś jej robiła,
kiedyś malušką była.

Para młodych podeszła do rodziców po błogosławieństwo. Potem Marysia żegnała kolejno śpiewaniem ściany i progi, stoły i ławy rodzicielskiego domu, wreszcie orszak weselny począł się sadowić na wozach. Drużki wzięły pannę młodą pomiędzy siebie, druźbowie, strojni w białe sukmany z czerwonymi wyłogami i kapelusze, na których powiewały wysokie kwaciaste kity, wskoczyli na konie. Zaturkotało, zahurkotało, i weselnicy pomknęli ku krakowskim rogatkom, śpiewając wesoło.

W szybkiej jeździe mieniły się barwiste gorsety dziewczyn, migotały pawie pióra i kwieciste kity przy czapkach i przy kapeluszach mężczyzn. I tak butnie i po gospodarsku wpadli do Krakowa. Wpadli na rynek i przed kościołem Mariackim stanęli. Kościół ten to parafialna świątynia wsi podkrakowskich. Oni tu gospodarzami byli, gospodarzami są i gospodarzami pozostaną.

Weselnicy zeszedli z wozów, kroczą do świątyni. Maryś popłakuje trochę, bo to tak wypada. Gdyby nie płakała, myśleliby ludzie, że jej źle było u rodziców. Przy tym łzy przynoszą szczęście.

Już po ślubie. Na rękach nowożeńców błyszczą złote obrączki. Wyszli z kościoła, druźbowie huknęli na wsiadany wesołą piosenkę:

Siędnijże na wóz,
jeno się nie dróż,
jam po ciebie przyjechał.

Czy nie masz woli,
czy cię głowa boli,
czy ci ojca, matki żal?

Dziewczęta zaś im odpowiedziały rzewniejszą nutą:

Nie żal mi ojca,
nie żal mi matki,
ani żal mi rodziny.

Jeno przepadły
moje młode latka,
o, mój Boże jedyny.

Potem ruszono żywo do Bronowic z powrotem.

Maria Dynowska

Gorset: ozdobny kaftan bez rękawów ; — *szych*: nici lub taśmy złote lub srebrne ; — *bufiasty*: szeroki i namarzczony (rękaw) ; — *kierzja*: okrycie zwierzchnie ludowe, noszone w okolicach Krakowa ; — *ciżba*: tłok, tłum.

45. Wieczornica.

Zmrok zimowy... Śnieg bogaty
wieś zasypał, drogi, chaty...
Świat tumani wichrów wrzawa,
hula, kłębi się kurniawa!
Ziemię ścisnął mróz złowieszczy,
że aż cała chata trzeszczy.

Gdy na dworze wszystko skrzepło,
w izbie miło, swojsko, ciepło.
Z czerwonego paleniska
płomień główni skrami pryska,
blaskiem złoci się świetlica...
Miła będzie wieczornica!

Dziewek rój kwitnący, świeży
zszedł się razem po wieczery
spędzić czas przy wspólnym dziele.
Poznosiły swe kądziele,
a staruchy w młódek grono
siadły... Kręć się, kręć wrzeczono!

Mknie wrzeczono, nic się zwija...
Czyja pierwsza gadka, czyja?
Nie da prosić się kumoszka.
Jedna troszka, druga troszka.
I tak, wyraz za wyrazem,
mówią teraz wszystkie razem.

Lecz się język stary nuży,
głowa spada, oko mruży.
Wtedy młodych głosów kolej...
Pięknych bajek słuchać wolej,
co się działy w dawnej dobie:
— Był raz sobie... Był raz sobie...

Leopold Staff

Świetlica: najpiękniejsza izba w chacie.

46. We wilię.

W chałupie Błażeja Szczypty panuje jakiś świąteczny nastrój. Wprawdzie nic się tu nie zmieniło od wczoraj: te same czarne, odymione ściany, te same sprzęty w izbie, nawet może więcej śmiecia leży na glinianej podłodze, ale widać z powszechnej „uwijacki“, z radosnego oczekiwania, malującego się na wynędzniałych twarzach dzieci, że ma nastąpić jakieś wielkie święto.

To dzień wili Bożego Narodzenia.

Wiedzą już o tym i dzieci, bo im wczoraj matka zapowiedziała:

— Pamiętajcież se dobrze, żeby mi jutro żadne na karę nie zasłużyło! Bo jak na wilię dostanie bicie, to was bez caluteńki rok to samo czeka!...

Tereska nie potrzebowała napomnienia. Miała już piętnaście lat i właśnie pomagała matusi w zarabianiu ciasta z jęczmiennej mąki. Ale średni Wojtuś, a zwłaszcza najmłodszy Józus, który w izbie robił hałas za dziesięciu, ci dwaj zbereźnicy, gdyby nie zapowiedź całorocznej kary, nie siedzieliby tak spokojnie w kącie...

Matka tymczasem wymiesiła do reszty ciasto, zarobiła drożdże i ustawiła niecki na piecu.

— W cieple może się prędzej ruszy — szepnęła do siebie i zabrała się do gniecenia bryndzy na szerokiej misce, lejąc mleko słodkie i bijąc pół kopy jaj.

Dwaj chłopcy przybliżyli się ku niej.

— Mamusiu, co to będzie? — zapytał nieśmiało młodszy.

— Kołacze będą.

— Dziś? — spytał starszy.

— Dziś post... nie wiesz o tym? Wilia...

— Dopiero wieczór wilia? — zapytał żałośnie młodszy.

— Cały dzień wilia, ale się dopiero na wieczór je.

— Na wieczór!... — szepnęli smutno obydwaj i spojrzeli ku garnkom, stojącym rzędem na nalepie.

Matka zapaliła w piecu i szła robota po robocie rażno, wartko.

Niebawem i Błażej wrócił z choinką. Zmarzł jak sęk, bił kierpcami o ziemię i pchał się ku piecowi.

— Mróz, jak sto diabł...

— Cit! — pogroziła mu żona — wilia dzień święty. Nie obrażaj Boga i ku piecowi się nie pchaj, boś nie piecuch! Jeszcze mi do ciasta naprószyś.

Błażej, zbity z tropu, łypnął oczami, jeszcze raz kierpcem jęknął o ziemię i pognął do stajni wrzucić wołom garść siana. O woły dbał, jak każdy chłop, który im ma co dawać.

Z garnków buchała para na izbę. Matka rozklaskiwała placki, kładła na nie bryndzę i sadzała do pieca, żegnając je krzyżem, by się lepiej darzyły. Kołacze rumieniły się w piecowym warze, rosły, a dzieci miały z tego okrutną uciechę.

* * *

Mroczyło się powoli. Nadchodził wiliorny wieczór.

Matka już powsadzała placki, zatkała piec i zajęła się przystrojeniem wieczerzy. Cztery duże miski stały na skrzyni. Rozmaite „warzywo“ z garnków wypełniło je po brzegi.

Podczas gdy się jedzenie chłodziło, zaścielono stół w izdebce drobnym sianem i przykryto lnianą paruchą. Wszyscy przeszli do izdebki i poklękali na ziemi.

— Pobłogosław, Panie, te dary! — mówił z przejęciem Błażej, a inni powtarzali za nim.

Tylko mały Józus nie uczuwał tego nastroju, pierwszy wygramolił się na ławę i wybrał swoją łyżkę, a w czasie modlitwy zjadł dwa opłatki, rozważnie pominawszy leżący przed sobą, bo wiedział, że ten mu i tak nie ucieknie.

Z przejęciem obsiedli stół, a gdy gospodyni pownosiła miski i zajęła swe miejsce, poczęli się łamać opłatkiem. Łamali się na przemian wszyscy po dwa, po trzy razy. Błażejowi ręka drżała, gdy podawał żonie opłatek.

— Niech Pan Bóg dobry pozwoli doczekać drugiej wili w szczęściu, zgodzie!

Wesołość powróciła, gdy matka podała pierwszą miskę. Rzucili się zgłodniałi i wyławiali okrągły groch w brunatnej wodzie. Potem szła kapusta z grochem i suszonymi grzybami, polewka śliwowa z ziemniakami, na ostatku karpiele ze słodkim mlekiem. Dwie miski wypróżnili z kretesem, na trzeciej zostało na dnie mało co, na ostatniej najwięcej. Najedli się do syta, jak w żadnym dniu całego roku — i to była ich wilia...

Matka pozlewała resztę jadła bydłu na polanie.

— Przecie i ono czuje, że dziś o północy zjawi się Zbawiciel świata — mówił Błażej. — Niech zje, niech i ono ma wilię jak się patrzy.

Po wieczerzy ojciec wniósł choinkę do izdebki, siadł przy stole i począł wycinać nożyczkami kółka z opłatków kolorowych. Dzieci przysunęły się ku niemu zapatrzone, szczęśliwe, jak nigdy...

Władysław Orkan

Bryndza: miękki serek owczy; — *nalepa*: przymurek przy piecu; — *parucha*: płachta; — *z kretesem*: zupełnie, całkowicie.

Na Boże Narodzenie weseli się każde stworzenie.

47. U Żłóbka.

Betlejem było nieznane, Betlejem było daleko,
 A Chrystus mały w stajence, co roku na nas czekał.
 Cekał, aż z Polski dalekiej pastuszkowie przybędą,
 By do snu Go ukołysać, rzewną, radosną kolędą.
 Przyszli z oddali, ze świata, śnieg otrząsnęli przed progiem,
 Weszli cichutko i kornie, kołem uklękli przed Bogiem.

„Przybieżeli do Betlejem pasterze,
 Grają skocznie Dzieciąteczku na lirze,
 Chwała na wysokościach, chwała na wysokościach,
 A pokój na ziemi“.

Odeszli już Trzej Królowie, już gwiazda przygasa w mroku,
 Czemu nie słyhać w dali, pastuszych, dziarskich kroków?
 Płacze Jezusek i małe z żłóbka wyciąga rączęta,
 Mamo! Czemu nie przyszły z Polski dzieci z kolędą?
 Martwi się święty Józef, na próg wychodzi stajenki,
 Lecz tylko wiatr z oddali, stłumione niesie dźwięki.

„Zrzedł pielgrzymów szum, sichł anielski chór,
 Tylko z Polski umęczonej, nikt nie śpieszy w Twoją stronę,
 Przez kordonów mur“.

Dziecino ucisz aniołów i w wiatru wsłuchaj się słowa
 Niech dziś przemówią do Ciebie ulice Warszawy i Lwowa.

O warszawski bruk, bije głuchy stuk,
 Dzwoni nam jak dzwon żałoby,
 To w Warszawie kopią groby, choć się rodzi Bóg.

Na wszystkich placach, gdzie dawniej kwitły choinki w święta,
 Wyrósł tysiącem grobów najboleśniejszy cmentarz.
 Wszystkie okna są ciemne, nie słyhać żadnej kolędy,
 O gdzie są bardziej tragiczne te najweselsze święta?

„Lulajże Jezuniu, lulaj maleńki,
 Nie przyjdzie dziś Polska do Twej stajenki“.

Bo w Polsce dziś dom każdy jest jak krwawiąca rana,
 W kajdanach Twojej dzieci, — jakże przed Tobą staną?

Nie płaczże Jezuniu, nie płacz daleko,
 Nie będzie kolędy, na próżno czekasz;
 Ta Polska skrwawiona, nędzna, tułacza,
 Nie płaczże Jezuniu, nie płacz z rozpaczny.

Znowu piasek w klepsydrze cały rok już przemierzył,
 Nie przyszli pastuszkowie, przyszli do szopki żołnierze.
 Stuknęli obcasami, w ciszy broń jakaś brzękła,
 Gwiazda schyliła się z nieba i aniołowie przykłękli.

„Przyszliśmy tu do stajenki, do Jezusa i Panienki,
 Przyszliśmy tu z dróg dalekich, gdzie się krwawe kłębią rzeki.
 Niesiemy Ci Jezu dary w drodze zebrane najwierniej,
 Garstkę ziemi z Warszawy, grudkę śniegu z Syberii,
 Ziemia jest dziwnie wilgotna, a śnieg ma barwę rudą,
 Od krwi tych, co zostali na bruku, pod zimną grudą.
 Przynoszę ci Jezu sukienkę, szmatkę niebieskiej barwy,
 To kolor fiordów dalekich, gdzieśmy się bili o Narvik.
 Żołnierski dar spod Tobruku, gdzieśmy o Polskę walczyli,
 Tu masz Dziecię skarb drogi, spowity w krepę czerni,
 To strzęp munduru lotnika, co zginął w szarży na Berlin.
 Przynoszę Ci Jezu ryngraf, co kształt podobny ma sercu,
 Wyrity gwoździem w kości przez więźnia w celi śmierci.
 Oto są nasze dary ubogie i tułaczę,
 Przecz tulisz je do siebie i rzewnie nad nimi płaczesz?
 Mała nas tutaj garstka, z błaganiem przed Tobą klęka,
 Nikt stamtąd tu nie przyjdzie, Polska umiera z męki!
 O Matko Królowo nasza, weź Dziecię na osiołka,
 I zawieź je do kołchozów, do wszystkich głodnych posiołków,
 Tam gdzie są dzieci-szkielety i ludzie bladzi jak cienie,
 Niech się i dla nich święci dziś Boże Narodzenie!
 Zawieź im słowa pociechy, zawieź im wielką wiarę,
 Że koniec będzie męce, że dosyć już ofiary,
 Że razem z gwiazdą Twoją złota płonie nadzieja,
 Że już nam wkrótce Wolność i Polska zajaśnieje!“

Jadwiga Czechowiczówna

48. Na Trzech Króli.

Od samego rana czuło się w powietrzu święto.

Przed wszystkim niepewna i trochę dżdżysta pogoda nabrała nagle w ciągu nocy niezwyklej urody. Po wschodzie słońca niebo było błękitne, jak oczy mamusi, a na szybach palmy i gwiazdy i dziwaczne kwiaty zupełnie, jak w pałacu królowej Śnieżki.

A w domu? W domu była jeszcze choinka, która cudownym sposobem nabrała nowego, czarującego wyglądu. Oberwane orzechy i pierniki czyjaś ręka zawiesiła na dawne miejsca.

Około dziesiątej rodzice Stefka i Marychny poszli z dziećmi do kościoła, gdzie zebrali się mieszkańcy miasteczka i wsi okolicznych.

W prezbiterium, umajony świeżymi gałązkami choiny, stał jeszcze żłobek, nad którym oprócz Najświętszej Panienki i świętego Józefa pochylali się Trzej Królowie: Kacper, Melchior i Baltazar. Jeden czarny w czerwono-białych szatach, drugi brązowy w złocistych, a trzeci biały.

Potem ksiądz święcił kredę i dary królewskie: mirrę, kadzidło i złoto, ludzie zaś cisnęli się po małe paczuski, kładąc na tacy ofiarę, co tam kto miał i mógł.

W domu znowu było cudownie. Przed wszystkim ojciec święconą kredą napisał na drzwiach początkowe litery imion królewskich: K. M. B. i połączył je krzyżykami. Była to dawna tradycja i miała chronić dom przed złym. Dziadus, który już był za stary, żeby chodzić do kościoła, wziął szczyptę kadzidła na blaszane pudełeczko, zapalił i okadził cały dom. Ten zwyczaj również sięgał dawnych czasów, a miał bronić przed nieszczęściem i chorobami.

Ciekawy Stefek zapytał dziadusia, skąd się bierze kadzidło.

— Mój drogi, w bogatych kościołach i klasztorach kadzidło sprowadzają ze wschodu, a robią je z żywicy wonnych krzewów i drzew arabskich. U nas zbiera się patyczki i igielki z mrowisk, które przy spalaniu dają również piękny zapach.

Po obiedzie przyszli krewni w odwiedziny. Dziadus się rozweselił i zaczął przypominać okolicznościowe przysłowia:

— Gdy Królowie w szopie, siedź w chałupie, chłopie... Na Trzech Króli noc się kuli...

— Oho! — zawołał wujaszek — to i ja potrafię: Gdy Trzy Króle pogodą obdarzą, nie zasypiaj ranków, gospodarzu; przyjdzie wiosna wnetki, pamiętaj na hetki.

A dziaduś na to basem:

— Królowie pod szope, dnia na kurzą stopę.

Aż się mamusia uradowała i dała dziadusiowi większą szklanke jabłeczniku. Dziaduś wypił, wąsy obtarł i mówi:

— Kiedy ty się, córeczko, zmienisz i przestaniesz mnie psuć?

A matka na to ze śmiechem:

— Na żydowskie Trzy Króle! To znaczy, nigdy.

Wszyscy zaczęli się śmiać i wieszować mamusi dowcipu. I tak zeszło do wieczora.



Wieczorem znów niespodzianka: starsi chłopcy z siódmej klasy urządzili szopkę i chodzili po domach. Był Herod, było trzech aniołów, była Baba Jaga, która się przyplątała do szopki ni w pięć, ni w dziewiętnaście, był diabeł i niedźwiedź. Ale przede wszystkim byli Trzej Królowie, w których od razu poznały dzieci Wacka, Karoła i Michała z siódmej, bo mieli głosy grube i wcale nie królewskie. A śmierć robił Walek, bo był chudy jak szczapa i głos miał piskliwy.

Marychna się rozdokazywała i koniecznie chciała ściągnąć z króla Heroda płaszcz z czerwonej kołdry. A Herod zaczął uciekać i płaszcz mu sam zleciał, i okazało się, że to Antek, kowalowy syn, który był największy w siódmej i miał najbardziej zachrypnięty głos.

I tak się skończyło to ostatnie święto podczas świąt Bożego Narodzenia, ten dzień wesoły, pełen niespodzianek, śmiechu i słońca. Zapadł wczesny zimowy wieczór, zapaliły się na niebie gwiazdy, a myśmy długo słyszeli naszych starszych kolegów, śpiewających po domach sąsiedzkich:

Przychodzimy z szopką, mili gospodarze,
dziesięciu parobków szopkę wam pokaże...

Juliusz Wirski

Hetka: lichej koń.

49. Na Gromniczną.

Najświętsza Matka, Opiekunka ludzi, dobytek ludzki ochrania od szkody. I nawet wilki z żarłoczną paszczką w zimowe noce od wiejskiej zagrody odgania sama opiekuńczą ręką.

* * *

Więc na Gromniczną, gdy się z kniei zwłóczą i jak rabusie po polach rozłażą, za łupem węszą, a złowrogo mruczą i między sobą na śniegu się swarzą i głodnym zębem kłapią i dokoła robią wyprawy na uśpione sioła, Panienska Święta staje im na drodze z gromnicą w ręku wśród tumanów śniegu i wilcze stado zatrzymuje w biegu.

I tak na straży cichej wioski stoi, więc napaść przed Nią cofa się i boi, i nie śmie naprzód iść, gdy światło zoczy...



Gdy wystraszone stado się rozkoczy, to w jaką stronę cofnie się wilczyisko, w tę już umykać musi przed gromnicą. Zielone ślepia wściekłością mu świecą, ale łeb zwiesza i wyciąga szyję, jak pies skulony chyłkiem w śniegu brodzi i w ciemne lasy spłoszony uchodzi.

* * *

Gdy w noc miesięczną wilki w polach wyją, ludzie się ze snu budzą z wielkim strachem, i słycać szepty pod słomianym dachem:

W swoją obronę weźmij nas, Maryjo!

I znów zasypia z tą ufnością wioska, że w śniegach nad nią czuwa Matka Boska.

Marian Gawalewicz

50. W Palmową niedzielę.

W wiejskim kościółku organ gra,
rozgłośnie dzwony biją...
Srebrzystych dymów lekkie mgły
w blaskach się słońca wiją.

A przed ołtarzem czy to las,
las świeży i zielony,
przyszedł i klęknął pośród nas
i schylił swe korony?

Nie! Nie zielony to jest las,
co swe gałązki ściele,
ale z palmami przyszedł lud
w kwietniową tę niedzielę.

I rzuca słońce złoty blask
na czarne drzewo krzyża,
a Chrystus z niego smętną twarz
ku ziemi słodko zniża.

I patrzy, patrzy na nas tak
żałośnie a łaskawie,
jak gdyby mówił: „Ludu mój,
ja ciebie błogosławię!“

I wyszedł naród w szumach palm,
poważny, a radosny,
i poniósł do swych niskich chat
tę błogą zieleń wiosny.

Maria Konopnicka

51. Uśmiech za oknem.

Jadwiżka Chybińska przyjechała z Warszawy do Wisły, niedomagala bowiem na płuca. Powiedział lekarz, że jeżeli chce wyzdrowieć, to rodzice muszą ją wysłać w lesiste góry. Ktoś im poradził Beskidy Śląskie. Są one bowiem tak piękne, ponieważ powstały z uśmiechu Boga, jak mówią Ślązacy. Bo oto, kiedy :

Pan Bóg stwarzał świat, uśmiechnął się w pewnej chwili, i już powstały Beskidy Śląskie.

Jadwiżka nie zastała jeszcze wiosny w górach. Gdzie indziej zakwitły już może śnieżyczki, może nawet i kluczyki, lecz tu wciąż jeszcze były śniegi.

Jadwiżce było trochę smutno, gdyż nie miała nikogo koło siebie. Tyle tylko, co ta mała Maryśka Pilchówna, która codziennie wczesnym rankiem przychodziła do pensjonatu z mlekiem.

Maryśka Pilchówna ogromnie polubiła Chybińską.

— Czemu, Jadwiżko, jesteś taka blada? — zapytała ją raz.

— Bo jestem trochę chora — odrzekła Jadwiżka.

— Ale chyba nie umrzesz? — zaniepokoiła się Maryśka.

— Nie... Tylko, że mi smutno, bo nie ma jeszcze wiosny ani słońca...

— A gdyby była już wiosna i słońce, to byś zaraz wyzdrowiała, prawda?

— Tak...

Jeszcze tego samego dnia powiedziała Maryśka Pilchówna swoim koleżankom w szkole, że w pensjonacie na Bukowej jest taka jasna dziewczynka z Warszawy, co nazywa się Jadwiżka. Że wiosny nie może się doczekać, i dlatego jest jej bardzo smutno.

Wszystkie koleżanki Maryśki zmartwiły się szczerze. Co by tu uczynić, żeby się nie smuciła?... Jej, co by też tu uczynić?

— Co się martwicie, dziewczyny? — zapytał najstarszy kolega, Paweł Wojnar, co już drugi rok siedział w czwartej klasie.

— Eh, co ty wiesz?... — ofuknęły go niechętnie dziewczyny. Uważały bowiem, że chłopcy nie są zdolni zrozumieć cudzego zmartwienia.

— Dyć powiedz!... — zachęcał ją Paweł. — Oto dam ci trochę tureckiego miodu!...

Maryśka Pilchówna złakomiła się na turecki miód. Powiedziała więc wszystko Pawłowi. A Paweł pomyślał i wrzasnął na całe gardło:

— Już mam!

— Co masz? — zdziwiły się dziewczyny.

— Oto jutro zaczną się ferie wielkanocne — zaczął tłumaczyć Paweł. — Potem będzie Wielki Piątek. Wtedy pobieram kamratów, uwijemy takiego chochoła ze słomy, co będzie przedstawiał zimę, i utopimy go w Wiśle. I już będzie po zimie.

Wszak potem już nadejdzie wiosna, i tamta twoja Jadwiżka z Warszawy wyzdrowieje.

Wszystkie dziewczyny przyklasnęły mądrym słowom Pawła. Potem zbiły się w gromadkę i również zaczęły radzić. Lecz co uradziły, zachowały w tajemnicy.

Nadeszły ferie wielkanocne. I zamiast spodziewanej wiosny nadleciał szpetny wicher z północy i zaczął miotać śniegiem. Chłopcy jednak wiedzieli, że to już ostatnie wysiłki zimy. W Wielki Piątek uwili ze słomy ogromnego chochoła, wsadzili go na tykę i z wielką wrzawą i z przeraźliwym klekotaniem jęli go obnosić po wsi. Potem wrzucili go do rzeki z okropnym wrzaskiem. Teraz już wszyscy byli przekonani, że zima popłynie Wisłą do morza, a od słowackiej strony nadejdzie wiosna, Jadwiżka zaś wyzdrowieje.

W Wielką Sobotę wciąż jeszcze dmuchał zimny wicher. W Wielkanoc wicher ustał i słońce pokazało się na chwilę spoza ciężkich chmurzysk. W Poniedziałek Wielkanocny zaś, kiedy Jadwiżka otworzyła oczy, krzyknęła uradowana. Słońce świeci!...

Zerwała się, by pobiec do okna. W tej samej jednak chwili posłyszała zbliżający się śpiew dziewczęcy. Idą jakieś dziewczyny po ścieżce, ukrytej w wądołcu, i śpiewają:

Z beskidzkiego lasu nasz gaiczek idzie,
dziwują się dzieci, dziwują się ludzie!...
Gaiczku zielony, pięknie przystrojony!...

Nasz gaiczek idzie po lipowym moście,
panowie się dziwią, dziwują i goście!...
Maiczku zielony, pięknie przystrojony!...

— Jej! — Zawołała uradowana Jadwiżka. Wszak oto pod jej okno idzie kilka dziewczyn w ślicznych strojach śląskich!... A na przedzie kroczy Maryśka Pilchówna z dużym gaikiem w dłoniach. Niesie go przed sobą, a gaik pstrzy się, obwieszony n prześlicznymi wstęgami i malowanymi jajkami. Z boku zwisają w dwie szerokie wstęgi wzorzyste, które trzymają za końce kole- p żanki Maryśki. Strasznie to śliczne!...

p A dziewczyny wciąż śpiewają:

Niechże wam tu będzie Jezus pochwalony, a
do tego domeczku tu przystępujemy!... u
Maiczku zielony, pięknie przystrojony!... o
1

Przystępujemy pod twoje okienko, i
żeby cię pozdrowić, z Warszawy Jagienko!... i
Gaiczku zielony, pięknie przystrojony!... e

Jadwiźce wydaje się, że to prawdziwa wiosna idzie pod jej
okno wraz ze złotym słońcem i z tamtym ustrojonym gaikiem
zielonym, że sama wiosna uśmiecha się do niej za oknem!... i
Klasnęła w dłonie i pobiegła jej naprzeciwko. i

Gustaw Morcinek e

Na świętego Macieja pierwsza wiosny nadzieja. i
it

Pensjonat: zakład, wynajmujący pokoje z całkowitym
utrzymaniem; — *kamrat*: kolega; — *chochoł*: wiązka słona
my, którą się obwijają rośliny na zimę, szczególnie róże. i

52. Legenda o promyku sobotnim.

Stary Maciek Grzęda opowiada: c

Jednego razu, a to było w sobotę, okrutne chmury na nie-
bo zaszyły, i całkiem słońca nie było widać. Aż ludzie z chałup
wychodzili, patrzali na niebo, a dziwowali się, co to będzie?
Burza nie burza, deszcz albo co? i.

Wyszła z izby i Matka Boska z Panem Jezusem na rękę
i także patrzy, co to będzie? Ni słońca, ni nieba, ni jakiego
promyczka, tylko chmury i chmury, a deszcz tylko co nie kapie.
Westchnęła kilka razy Matka Boska i mało nie płacze, taka
nieszczęśliwa. i

— O mój Jezusiczku — powiada — jakże mi tu Twoje
koszulki wieszając, kiedy zaraz będzie padało. Wyprałam, wypłu-
kałam, a tu nijak tera nie wyschną. u

— Nie kłopotaj się, Matko Boska — Pan Jezus powiada —
to ja się bez koszulki obejdę i w tej ostanę. j

— A jakże Ci w tej koszulce ostać — Matka Boska mówi —
kiedy jutro niedziela, a do kościoła trza iść! o
t.

Zamyślił się Pan Jezus i widzi, że Matka Boska prawdę mówi.

— A to idźcie i wieszajcie — powiada — kiedy tak potrzeba.

Poszła Matka Boska do izby po koszulki, a ciągle okrutnie niespokojna; Pan Jezus usiadł se na wiązce siana, pacierz po cichu mówi i czeka, co to będzie.

Wiesza Matka Boska jedną koszulkę na płocie i w niebo patrzy. A tu chmury jeszcze większe, i aż się czarno robi, a słońca jakby już całkiem nie było. Więc westchnęła ciężko i powiada do Pana Jezusa:

— Ze wszystkim — ci na nic moja robota, bo widzę, co one nie wyschną. I jakoże Ty, nieboże, tak bez koszulki ostaniesz?

A Pan Jezus nic nie mówi.

Wiesza Matka Boska i drugą koszulkę i patrzy, że stara i już bardzo maluśka. Zafrasowała się jeszcze więcej Matka Boska i powiada:

— Z czego to ja Tobie, mój Jezusieńku, nowe koszulki poszyję, kiedy te takie stare i ledwie wliżą na Ciebie? Ni to płótna w komorze, ni lnu na zagonie i pieniędzy nijakich nie ma. Oj, doloż ty moja, dolo!

A Pan Jezus na sianie se siedzi, rączkami się bawi i nic nie powiada.

Stanęła Matka Boska na progu i taka smutna, że aż głowę z żalości kiwa. Widzi, co zara będzie padało, i na nic koszulki zmokną, choćby i nie padało, to przez słońca nijakiej ciepłości nie ma, więc i tak nie wyschną.

Myśli Matka Boska i myśli, i widzi, że źle. Więc idzie do Pana Jezusa i powiada:

— A mógłbyś, mój Jezusiczku, Twego Boga Ojca poprosić, żeby nam choć krzynek słonka pokazał. Ni to dzień, ni to noc, tylko same ciemności i nijakiej ciepłości nie ma.

Zamyślił się Pan Jezus i widzi, że Matka Boska prawdę powiada. Uklęknął se więc na sianie, złożył ręce jakby do pacierza i mówi:

— Daj, Panie Boże Ojcze, co by choć promyczek słońca na ziemię upadł i moją Matkę Boską pocieszył, bo strasznie nie-
szczęśliwa. I co by moje koszulki zrobiły się duże i całkiem jakby
nowe, bo płótna w komorze ni ma i pieniędzy nijakich ni ma.

Ledwo co to Pan Jezus powiedział, aż tu chmury jakby kto

siekierą rozrąbał, i takie jasności się robią, jakby na samym słońcu. Aż się Matka Boska dziwuje, jak to się tak od razu wszystko zrobiło, i zara na koszulki patrzy, czy aby schną, jako że to głównie wedle tych koszulek szło. A z koszulek aż dym idzie, tak schną i takie duże się robią, że aż chyba za duże.

Ucieszyła się okrutnie Matka Boska i zara poszła koszulki z płota zdjąć, aby jeszcze przypadkiem nie zapadało, i mało nie płacze, taka szczęśliwa.

Widzi Pan Jezus, że taką uciechę Matce Boskiej sprawił, więc powiada:

— Co by biednym zawsze jakoweś pocieszenie było, daj, Panie Boże Ojcze, niech w każdą sobotę trochę słońca świeci i we wszelkich ciemnościach rozjaśnienia da!

I od tego czasu w każdziuteńką sobotę, żeby nie wiem jakie chmury były, musi choć jeden promyk słońca na ziemię upaść. A że go nie wszyscy widzą, to tylko dlatego, że jako to jest promień cudowny, więc tylko ludziom dobrym dano go oglądać. A kto zły i grzeszny, ten nic nie widzi, bo grzechy przy nim jako cień chodzą i wszystko zasłaniają.

Ignacy Dąbrowski

53. Kwiat paproci.

Jaśko Topór wybrał się na poszukiwanie kwiatu paproci.

Wiadomo wszystkim, że paproć zakwita raz do roku w noc świętojańską. Wiadomo też, że kto znajdzie ów kwiat paproci, znajdzie z nim wraz i skarby bezmierne, i szczęście, i życzeń swoich spełnienie.

Ale nie wiedział nikt, gdzie szukać tego cudownego kwiatu. Bo nie każda paproć przecież zakwita. Kwitnie tylko jeden krzak paproci w głębi najgęstszej, niedostępnej, tajemniczej puszczy, wśród bagien i mokradel, gdzie jeszcze nie dotarła ludzka stopa. Widywali go z daleka niektórzy śmiałkowie. Kwitł złotopurpurowym płomieniem wśród gęstwy puszczy. Żarzył się w ciemności nocy, jak wielka gwiazda. Powiadają, że kwiat ten wabi śmiałków w topiel.

Nikt z żywych nie widział takiego szczęśliwca, któremu udało się zerwać ów kwiat czarodziejski. Powiadano, że najwyżej raz na sto lat zjawia się zuch taki.

O tym wszystkim wiedział Jaśko Topór, ale cóż mogło go powstrzymać? Miał wiosen osiemnaście, był śmigły jak topola,

a mocny jak niedźwiedź. W chałupie było niebogato, a jemu śniły się rycerskie wyprawy dalekie.

Szedł dziś w puszcę za kwiatem paproci. Bo to i miecz kupi ogromny, i konia, i zbroję. I wszystkie życzenia mu się spełnią.

Brnął puszcą śmiało. Nie lękał się ni zwierza nijakiego, ni duchów leśnych. Ale droga nie była łatwa. Pnie starych, burzą zwalonych drzew zagradszały mu drogę. Powykręcane konary wyciągały się ku niemu niby łapy drapieżne. Coś szeleściło po krzakach, szumiało, to znów kwiliło jak dziecię. Gałęzie czeptały się jego rąk i włosów. Nad głową zaśmiał się raz i drugi puszczyk.

Górą płynął księżyc. Przesączał się niekiedy srebrnymi promieniami przez dach liści i gałęzi. A w dole snuły się po powietrzu, jak błędne ogniki, zielonozłote robaczki świętojańskie.

Raz i drugi zdawało się Jaškowi, że z mroku pni i krzaków zaświeciły ku niemu wilcze ślepie. Nie wstrzymało to jego kroków. Szedł przez gęstwę paproci, po ziemi wilgotnej, która zapadała się niekiedy pod stopą. Wytężał wzrok.

Ale nigdzie nie było widać złotopurpurowego płomienia kwiatu paproci. Dokoła stał czarny, nieprzebyty bór.

W pewnej chwili Jaško zapadł się po pas w grzęzawisko. Z trudem wydostał się z bagna, chwytając się po omacku gałęzi. Czuł już zmęczenie, bo błędził po puszczy przecie od kilku godzin. W którą stronę teraz mu iść? Przed nim rozwiera się topiel, bo gdzie stąpi, noga grzęźnie.

I nagle na wprost wśród bagien, ale daleko od niego, gdzieś zza pni, zamigotało światło. Jaškowi załomotało serce.

Cud nocy świętojańskiej: złoty kwiat paproci zjawił się jego oczom! Kwiat szczęścia, do którego udaje się dotrzeć jakimś śmiałkowi raz na lat sto!

Jaško rzucił się za kwiatem i zapadł w topiel po ramiona. Gdy z największym wysiłkiem wydostał się z bagniska, światło ukazało się bardziej na prawo. Widocznie wędrowało.

Jaško skradał się ku niemu brzegiem topieli i gdy zdawało mu się, że jest już blisko niego, światło gasło. Po chwili majaczyło gdzieś daleko, w całkiem innej stronie.

Jaško wędrował za nim to tu, to tam krokiem coraz cięższym, wolniejszym. Brnął przez grzęzawiska, przedzierał się przez ga-

szcze. Gałęzie i cierniste pręcie podrapały mu twarz i podarły okrycie. W oczach płonęła gorączka.

Noc poczęła szarzeć. I dopiero wtedy zobaczył zza drzew najwyraźniej migocący płomień. Ostatkiem sił dowlókł się ku niemu.

Płomień nie uciekał już tym razem i nie zagasał. Był to płomień ogniska, które rozpałała matka Jaškowa. Przez rozwarte drzwi jego chaty rodzinnej świecił wśród pni drzew w mroczną, tajemniczą puszcze.

Józef Aleksander Gałuszka

Na święty Antoni pierwsza jagódka się zapłoni.

54. Żniwa.

Wychodzim na kośbę wesołą gromadką,
chłopaki, dziewczęta jak róże.

O, chwałaż Ci, Boże, za nowe, za latko!

Hej, chłopcy, dziewczęta, a nuże!

Brzęk brzęku, brzęk brzęku, pośpiesznie a chyłkiem.

Śmiech słyhać: spłoszyli zająca.

I oto się bielą nad rannym posiłkiem
pod gruszą, co chroni od słońca.

A niebo tak równe, jakby je wygładził,

a słońce tak jasne, choć małe;

a w łąkach tak kwiecia, jak gdyby nasadził:

czerwone, niebieskie i białe.

Teofil Lenartowicz

Zagadka: *Który miesiąc ma piec, choć najmniej go potrzebuje?*

55. Odpust.

Odpust przypadał w czasie żniwa, i to w czasie robót najgwałtowniejszych, był tedy istnym dniem wypoczynku i wesela.

Od świtu tego dnia słyhać było we wszystkich wioskach, na wszystkich drogach, ścieżkach i miedzach głośnie bębnienie i śpiewy. Ciche zboża, nieme łąki i pastwiska roiły się od barwnych kompanij i rozbrzmiewały echemi litanij nabożnych.

Na głównym gościńcu wzbijała się kurzawa, a z niej wypływały co chwila jaskrawe barwy. Czerniły się w słońcu chusty

starych babek, jaśniały fartuchy dziewczek, pracowicie wyhaftowane, dalej widać było brązowe sukmaniska chłopów, a w górze połyskiwał i migał szkarłat rozpuszczonych chorągwi, obszytych złotymi taśmami i frędzlą.

Pośród tłumu, obleczonego odświętnie, z największym pośpiechem dreptał Abraham Machtynger, pchający przed sobą na ręcznym wózku o dwu kołach towar tj. beczkę z kiszonymi ogórkami i opatkę ułęgałek. Drewniane trepy jego kołatały na ścieżce, twardo udeptanej, powiewał kaftanik, na bokach rozpruty i nastrożony u dołu cycelesami, odslaniając bardzo starą i nieco brudną perkalową koszulę.

Za ostatniego ramienia góry widać już było kościół.

Jaskrawo czerwieniła się jego dachówka pośród wielkich drzew i przeglądały ściany białe. Dokoła muru, opasującego cmentarz, roił się, mienił kolorami i belkotał ogromny tłum ludzki. Nad nim kołysały się, przekreślały, opadały i wznosiły chorągwie, podobne do fruujących płomieni ognia. W powietrzu gęgało bicie w dzwony.

Właśnie rozpoczęła się procesja. W wąskim cmentarzyku, między opasującym go murem i ścianami kościoła posuwała się, zbita w masę ruchomą, gromada ludzi. Przed księdzem wzbijały się jasnymi kłębami pachnące dymy kadzidła. Tłum śpiewał jak jeden człowiek, z całego serca, z całej piersi, z całej gardzieli.

W głębi starej dzwonnicy stali parobcy w koszulach, spoceni, z czuprynami spadającymi na czoła i targali za liny z całej siły. Gdy postępujący za procesją okrążyli kościół i zwalili się przez wąskie drzwi do wnętrza, chłopcy puścili z rąk sznury i wycierając spocone szyje rękawami, ruszyli za innymi do zakrystii. Chudy kościelny snuł się teraz po stratowanej murawie, roznosząc krzesła dla księży spowiedników i ustawiając je w cieniu.

Serca dzwonów uderzały jeszcze, ale już z cicha, coraz rzadziej, coraz jękliwiej.

Stefan Żeromski

Kompania: uczestnicy wędrówki do cudownego miejsca; — *frędzla*: obszyte ze zwisających nici lub sznureczków; — *cyceles*: rodzaj żydowskiej kamizelki z frędzelkami.

VI. PIEŚŃ O ZIEMI NASZEJ.

56. Do brata i siostry w Kraju.

O bracie, o siostrze — we Lwowie,
W Warszawie, w Krakowie, w Poznaniu —
Słuchaj słowa po słowie,
Spamiętaj zdanie po zdaniu:

Niemiec kłamie. My nie kłamiemy.
Miej serce w piersi spokojne.
My już na pewno wiemy,
Że wygramy tę wojnę.

Wygramy to wiedz. I dlatego
Pilnuj swego męstwa.
Jeśli warto doczekać czego —
To dnia naszego zwycięstwa.



Wojsko polskie

Nie daj się w sercu zatrwożyć
 Kłamstwu bez granic i miary.
 Jeśli warto nam czego dożyć —
 To dnia odwetu i kary.

Niech się serce w tobie wysili —
 Czujesz? — za rękę cię trzymam —
 Wytrzymasz? Wiem, że w tej chwili
 Mówisz mi szeptem: Wytrzymam.

Marian Hemar

57. O flądrze bałtyckiej.

W naszym Bałtyku roi się od ryb wielorakich. Są tam przede wszystkim w wielkiej ilości śledzie oraz flądry, zwane przez ludność nadmorską storniami, jako że te ryby płasko, czyli „na stronie“ pływają; są zbliżone do nich turboty, zwane skarpkami; dorsze czyli pomuchle, a również węgorze, sandacze, szczupaki i okonie, poławiane w zatoce, a lubiące wodę słodką rzek, zarówno jak słoną mórz. A już najwięcej jest chyba w wiku i na pełnym morzu szprot. Gdy te jasne, żywe rybki wysypią rybacy na brzegu z sieci, wyglądają jak srebrne pieniążki. Nic w tym nie ma dziwnego, są one bowiem bogactwem naszego morza, poławia się je przez całą zimę i żywi się nimi ludność rybacka wtedy, gdy zbraknie chleba i ziemniaków, które tu się nazywają bulwami.

Dawnymi czasy, gdy ryby kłócić się zaczęły między sobą i wrywać sobie żer, a najczęściej większe pożerały słabsze, uradziły one między sobą, że trzeba im obrać króla, który by nad nimi panował, ustanawiał prawa, karał winnych i roztrząsał spory na dnie morza. Doszły do przekonania, że bez króla się nie obejdą i że trzeba obrać taką rybę, na którą zgodzono by się jednomyślnie.

Flądra, która była bardzo zarozumiała, myślała po cichu:

— Na pewno ja królową morza zostanę. Nie jest bowiem powiedziane, że królem ma być łosoś, szczupak lub węgorz. Może rzadzić także i kobieta, tak jak to się dzieje u ludzi.

Pełna najlepszych nadziei czekała bałtycka flądra, aż kojąca na i berło jej przypadną w udziale, i tak sobie od niechcenia rzuciła projekt:

— Po cóż się długo kłócić i naradzać? Ta ryba zostanie

królem, która pierwsza do przystani na Helu dopłynie w białym fartuchu!

— Dlaczego koniecznie w białym fartuchu? — zawołały chórem wszystkie ryby, nie domyślając się, że chytra flądra siebie ma na myśli.

— Ach, drogie siostrzyczki i braciszkanie, że też nie domyśliliście się od razu! Biały fartuch, toż to najpiękniejszy strój i najbardziej w nim do twarzy! Białe fartuchy noszą wszystkie skrzętne gosposie, a wszak miło nam będzie, gdy nasz król będzie w morzu dobrze gospodarować.

— Dobrze mówi flądra! Zgoda na biały fartuch! — odpowiedziały węgorze i łososie, które rej wodziły w zatoce.

I nuż się oglądać, skądby sobie takie fartuchy uszykować, czy z kawałków podartych żagli, czy ze skrzydełek białych mew? Popłynęły we wszystkie strony w poszukiwaniu tych fartuchów.

Tymczasem zbliżała się godzina, kiedy na cyplu helskiego półwyspu uszykować się miały ryby do wyścigu, decydującego o ich losach na morzu.

Na znak węgorza puściły się, co sił w pletwach, w drogę ku przystani. Cisnąc się, szturchając, napierając na siebie, dążyły do wytkniętego celu całą ławicą, tak iż morze w tym miejscu zrobiło się całkiem ciemne i wzburzone.

Jakież było zdumienie ryb, gdy tuż przed przystanią wyprzedził je zwyczajny śledź bałtycki, którego sama natura w biały fartuch ubrała; całe bowiem podbrzusze miał obleczone białą skórą. On to pierwszy dopłynął do celu.

— Niech żyje śledź! Niech nam króluje nasz poczciwy śledź bałtycki! — zawołały wszystkie naraz ryby, zapominając o swych ambicjach.

I od razu śledź królem został okrzyknięty.

Zaledwie ceremonia koronacji się skończyła, nadpłynęła z oddali mała flądra. Wcale jej nie było spiesзно, i z pospólstwem ryb łączyć się nie chciała, tak była pewna, że nikt prócz niej nie będzie miał na sobie białego fartucha, a więc wyścigu nie wygra.

— Za późno, fląderko, za późno! — wołały ryby, zobaczywszy ją z daleka. — Już mamy króla, i tyś winna także pokłon mu złożyć.

Flądra nie mogła ochłonąć ze zdumienia, machnęła pletwami co sił i przybliżyła się do śledzia, by się przekonać, że możliwe jest to, co mówią ryby.

— Co takiego? — Pospolity śledź, a nie ja, miałby królem zostać? — zawołała, krzywiąc pyszczek.

I oto została za swą pychę srodze ukarana, bo z krzywym pyszczkiem została już na zawsze.

Zuzanna Rabska

Wik: zatoka; — *rej wodzić*: być pierwszym; — *cypel*: ostry klin łądu, wchodzący w wodę; — *ambicja*: dążenie, pragnienie czegoś np. pierwszeństwa; — *ceremonia*: uroczystość.

58. Pod śniegu srebrnym puchem.

Pod śniegu srebrnym puchem
Tatr łańcuch teraz śpi,
słońce na srebrne śniegi
złociste rzuca skry.

Wicher po lodach gwizdże
w głuchy, ponury ton
i nad gór martwą pustką
grzmi jak pogrzebny dzwon.

Lecz zorze, z wiosną lśniące,
z zimowych zbudzą snów
gór ziemię; pełnym życiem
zakwitnie ona znów.

Kazimierz Tetmajer

59. Na nartach.

Ojciec i syn sunęli na nartach między kosodrzewiną. Dzień był pogodny, tylko na Granatach co chwila podnosiły się białe obłoczki i niebawem nikły.

Zjechali stromo do rzadkiego lasu i wielkim łukiem obeszlili go od strony gór, po czym łagodnie zaczęli się wznosić po stokach Żółtej Turni.

Pan Dobraniński, jadąc przodem, wybierał drogę najlepszą, bo nie wszędzie można było przejechać; tu strome skałki urywały się nagle, tam gęste krzewy kosodrzewiny zagradzały drogę, na inne stoki nie można było wstąpić, gdyż mogła być stamtąd ruszyć śnieżna lawina.

Przeleciał skądciś wietrzyk i wzbil tuman śniegu. Pan Dobraniecki obejrzał się i czas jakiś wpatrywał się w górę.

— Wiesz, Romku, musimy wracać, i to śpiesznie.

— Albo co? — zapytał Romek.

— Halny idzie, i śnieg zaczyna padać. Jazda!

Niebawem okoliczne góry skryły się za zasłoną padającego śniegu; widać było tylko bliżej leżące nierówności terenu, krzaki kosodrzewiny, gdzieniegdzie wystające ze śniegu skałki z ogromnymi białymi czapami na wierzchołkach. Pan Dobraniecki w wyborze drogi kierował się tylko ogólnym pochyleniem powierzchni. Śnieg sypał coraz gęstszy, krąg widzenia stawał się coraz mniejszy. W pewnej chwili pan Dobraniecki zatrzymał się nagle. Stał na krawędzi wysokiego progu skalnego.

— Cóż to jest? — mówił pan Dobraniecki do siebie. — Skąd tu próg?

Obeszli próg naokoło i zaczęli wznosić się na jakieś niewysokie wzgórze. Ale stanęli przed zaporą w postaci ciemnej linii gęstych kosówek. Poszli wzdłuż jej krawędzi i wkrótce znaleźli się na własnych śladach.

Tymczasem do szarzyzny zamieci zaczęła się przylączać pomroka zapadającego wieczoru. Jazda stawała się coraz trudniejsza. Romek kilka razy rozciągnął się jak długi, nawet pan Dobraniecki raz upadł.

— Tatusiu, czy daleko jeszcze? — żalił się Romek. — Ja już jestem zmęczony.

Pan Dobraniecki rozumiał, że stracił właściwy kierunek i sam nie wiedział, gdzie jest.

— Tatusiu — odezwał się znów Romek. — Tu jakaś dziura.

— Gdzie?

— Ot tu, tu!

Pan Dobraniecki wrócił do syna i zobaczył rzeczywiście w śniegu ciemną czeluść. Zdjął plecak, wy dostał z niego elektryczną latarkę i poświecił. Widać było otwór pod skałą, a dalej ciemność. Zdjął narty i zsunął się do otworu. Po chwili znikł w głębi.

— Romuś — dał się słyszeć jego głos. — Świetnie! Mamy domek! Zdejmuj narty, tu będziemy nocować.

Gdy Romek znalazł się we wnętrzu, zobaczył schylonego ojca, który z latarką oglądał szczegóły tej nory. Była to tak zwana w Tatrach koleba czyli grota, utworzona z wielkich głazów.

W tym czasie śnieg ją zasypał ze wszystkich stron tak, że była jak mały domek, zabezpieczający doskonale od wiatru.

— No, Romek, znoś rzeczy, a potem pójdziemy po gałązki kosodrzewiny i zrobimy sobie poślanie.

Romek ożywił się. Zaczęli się obaj krzątać i wkrótce siedzieli na pośłaniach z iglastych gałęzi kosodrzewiny i czekali, kiedy zacznie wrzeć woda na herbatę.

— Zrobimy sobie prawdziwy eskimoski domek. Zaczekaj.

Pan Dobraniecki wysunął się z koleby przez otwór. Przez chwilę słychać było chrupotanie po śniegu jego butów, i do wnętrza zaczął sytać śnieg dużymi bryłami. Pan Dobraniecki wrócił i zatkał śniegiem otwór zupełnie.

— A co? Prawda, teraz ciepło? A tam wichura, co się zowie. Dobrze, Romku, żeś znalazł tę kolebę. Bez niej, oj, źle byłoby z nami.

— To tatuś zbłądził?

— Teraz ci się przyznam, że tak. W tej zawiei nie już nie można było odróżnić.

Po gorącej kolacji Romkowi oczy zaczęły się kleić.

— Zdejm trzewiki, owiń sobie nogi papierem i do worka. Ja też to zrobię. Ciepło ci?

— Ciepło.

— No, to śpijże, i Bogu za ten nocleg dziękujmy.

W nocy zbudził ich huk, do grzmotu podobny.

— Co to jest? — zapytał przerażony Romek.

— To spadła lawina śnieżna, zapewne z Buczynowych Turni. Do nas nie dojdzie, jesteśmy daleko.

Nazajutrz rano z pewnym trudem wygrzebali się z koleby, bo śniegu przez noc nawiało sporo, i po śniadaniu ruszyli w drogę. Śnieg jeszcze padał, ale nie zasłaniał drogi.

Gdy minęli Dubrawiska, pod Małym Kościelcem dostrzegli trzy małe punkciki, posuwające się w ich stronę. Po pewnym czasie, gdy punkciki zbliżyły się, Romek zawołał:

— To wuj Henryk! Poznają go po brązowej wiatrówce.

— Ho-ho! Ho! — przyleciał głos od strony punkcików.

— Ho-ho! Ho! — odpowiedzieli obaj i sunęli po stoku Żółtej Turni weseli i zadowoleni, że spotykają bliskich.

— Ale żeście nam strachu napędzili! — odezwał się wuj Henryk, kiedy się zbliżyli na odległość głosu. — Matka całą noc nie spała, a myśmy we trzech o świcie wyszli na poszukiwania!

— A myśmy spali w kolebie, jak Eskimosi! Bardzo dobrze było! — krzyczał Romek.

Po powitaniach ruszyli razem do Zakopanego.

Mariusz Zaruski

*Kosodrzewina, kosówka: karłowate sosny górskie; —
lawina: wielkie masy śniegu, staczające się z gór; —
Eskimosi: lud mieszkający na dalekiej północy.*

Szarada: *Pierwsze: nuta. Drugie-trzecie: sznur.
Wszystko leży u podnóża gór.*

60. Groźny strumień.



Wiódł tak codziennie na sznurze jedyną żywicielkę rodziny, chudzinę, krowę siwulę. Rano o świcie prowadził ją przez potok na przeciwległe wzgórze, gdzie ją pasł uważnie na skrawkach trawnika, na miedzach między zagonami, czy u skraju lasu między mchem a koniczyną. Tyle tylko mieli pastwiska dla siwuli.

Tam na łące i w głębokiej kotlinie pasło się liczne stado

kowala, wśród którego chodził, jak kmieć nadęty, Franek Dzik, który zawsze się z Antką naśmiewał.

— Trzymaj siwulę za ogon, bo ci się wykopyrtnie! — krzyknął i dziś, siedząc nad potokiem, gdzie strugał wiklinowe pręty.

Antoś spojrział na chude boki krowy. Żeby się jednak nie dać temu sowizdrzałowi, odkrzyknął w parów:

— Franek, rozbił babie dzbanek!

Baba go goniła, kijem go wybiła!

Potem powiódł krowę trawiastą miedzą w górę.

Z poza szczytu pagórka wytaczały się czarne, grzbieciste chmury. Wiatr, który wyskoczył z tamtej strony góry, przetrzepał mu zimnem obszarpane porcięta.

— Na wielką burzę się zawlekło — rzekł Antoś do siwuli.

Zaraz za wiatrem przyszedł deszcz. Zrazu pacnął wielkimi kroplami po wystających żebrach krowy i w mig potem gęstniał i nabierał na sile.

— Skryję się do parowu — pomyślał Antoś.

A zaraz potem przyszło mu do głowy:

— Woda nam jeszcze siano porwie.

Antoś znał te ulewne deszcze w ich okolicy. Zaczynało się z nagłą. Niebo czyste, a za chwilę ciężkie chmurzyska. Deszcz, jak zaczął walić, to walił. Sznury wody łączyły niebo z ziemią, a naokoło z wszystkich gór zwały się w dół wartkie strugi.

Dziś ściemniło się jeszcze bardziej, niż zwykle. Lunęła ulewa.

Zanim głodną krowę dopędził z powrotem poniżej ziemniaczyska, zmoczyło go do nitki. Koło jakiegoś jałowca przytulił się do siwuli i stał tak chyba dobrą godzinę.

Strugi szły brzdami ziemniaczyska. W dalekiej głębi czarnego nieba zrodziły się groźne pomruki.

— Grzmi. Muszę uciekać jeszcze bliżej parowu.

Bał się, że zaczną bić pioruny, a wtedy z daleka trzeba się trzymać wszelkiej wyniosłości. Popędzał w dół siwulę.

Gdy zbliżyli się nad parów, opadł go nowy strach.

Całą kowalową łąką walił wzburzony, brudny potok. Strumyk, który w bród się zazwyczaj przechodziło, zamienił się w szumiącą rzekę. Skłębione wody przywalały wiklinę, niskim wierzbom pchały się pod same czuby. Jakieś gałęzie potrząskane miały się w wodnym wirze.

Naraz Antoś usłyszał krzyk w wichurze.

— Ludzie, ratunku! Ratunku!!

Opętana wichura głużyła ten nieludzki wrzask, że nie wiedziało się, skąd to biegnie.

Wtem gruchnął z nieba bliski, przeraźliwy piorun.

Krowa, strwożona ulewą, szumem i hukiem, nabrała skądś rozpaczliwej siły i zaczęła rwać wzdłuż parowu. Antoś ostatnim wysiłkiem trzymał sznur. Bał się, że mu spłoszone bydlę ucieknie, nogi w ślizgawicy połamie, w wartką powódź nieopatrznie wpadnie.

Wtedy posłyszał w pobliżu ten sam krzyk, ale już bliższy znacznie.

— Ludzie, ratujcie!

— Franuś Dzik! — myśl pełna grozy przebiegła Antkowi przez rozpaloną głowę.

Widział go kilkanaście metrów przed sobą. Franek dyndał nad najgłębszym nurtem wody, zawieszony resztką sił na odstrzykniętej gałęzi sosny, która huśtała się za powiewem wiatru.

Antoś zdrętwiał; jakiś głos w nim krzyknął: „Ratuj człowieka!“ Razem z tym przyszedł mu cały plan do głowy.

W mиг wyrwał z kieszeni czerwony cyganek, który mu matuś kupiła łońskiego roku na odpuście. W biegu odciął szybko sznur tuż przy rogach siwuli i biegł z nim ku wyniosłemu bukowi, który wyrastał ze stoku wzgórza niedaleko sosny.

Wylazł na pień najbliższego buka, z buka przelazł na konary rozłożystego dębu; walcząc z wiatrem i bijącymi go po głowie gałęzmi, krzyczał co chwile:

— Trzymaj się, Franuś!

Przelazł szybko z drzewa na drzewo, wisząc chwilami ponad czekającą w nurtach śmiercią. Wreszcie dotarł do najdłuższej gałęzi dębu, jak ręka olbrzyma wiszącego nad topielą. Przywiązał jeden koniec liny do konara, a drugi spuścił na wodę.

— Chwytaj powróż, Franuś!

Franek Dzik uczepił się liny. Teraz trzeba było mocować się z ciężarem i gałęzmi, ale Antoś podciągnął trochę linę, ugiął drugiej gałęzi i wreszcie wyciągnął Dzika na konar.

Przytulili się blisko siebie bez słowa, jak najlepsi przyjaciele. Antkowi Widelce, synowi najbiedniejszej we wsi wdowy, jakaś błoga cichość rozlała się po sercu, chociaż naokół grała jeszcze burza.

Franek odzyskał wreszcie mowę i chciał dziękować Widełce, ale Antoś właśnie w tej chwili przypomniał sobie o siwuli.

— Matko jedyna! Krowina mi przepadła! — pomyślał pełen strachu.

Pięli się już obaj z powrotem z dębiny na buczynę. Gdy już mieli zesunąć się z ostatniego pnia na ziemię, Antoś spojrział w dół, i radość beztroska wróciła mu na wychudłe policzki.

Pod bukiem stała spokojnie siwula.

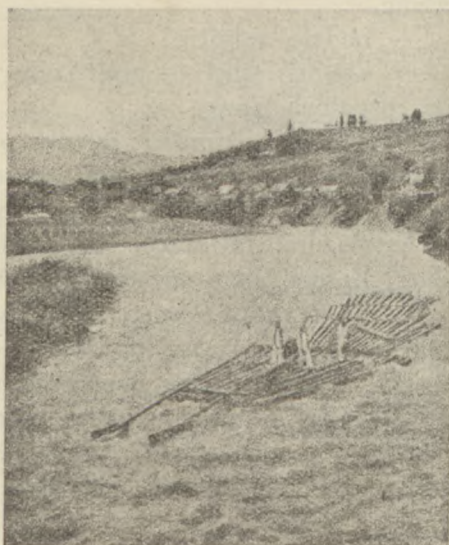
Michał Rusinek

Łońskiego roku: zeszłego roku.

61. Na spław.

Stukały siekiery, trzeszczały świdry, krzyżowały się w chłodnym, wiosennym powietrzu okrzyki górali.

Po obu brzegach Dżembroni zbijano tratwy na spław; tratwy z tegich jodłowych pni, których setki zalegały zrabany stok i dolinę. Górale wbijali w nie ostrza swoich capin i spychali je po zloczu jeden za drugim.



Jurko pracował z ojcem i stryjem w dole, przy tratwach.

Właśnie wywiercił świdrem dziurę w ostatnim pniu, więc rozprostował zmęczone plecy i przysiadł do ogniska, nad którym stryj kręcił z gałęzi „hużwę“ do wiązania tratw. W jego ciemnych, żyłastych rękach oporna gałąź skręcała się, trzeszcząc niby słomiane powrósło.

Jurko już próbował tej sztuki, ale przecież nie poradził.

— He... he... z tym poczekaj, synku, ze trzy lata, aż ci ręce skrzepną! — mruzczał stryj, śledząc z ukosa jego daremne wysiłki.

Tak wciąż mu wypominają jego szesnaście lat, a przecież ojciec bierze go ze sobą na spław.

Niecierpliwość wzbiera w piersiach chłopaka. Na spław...

Dziś koło południa!... Już dali znać z sąsiedniego sioła, że dziś otworzą klauzę. Jurko widział klauzę tam, wyżej w górach. Woda potoku, sztucznie zagrodzona, rozlewa się w jezioro i czeka. Dziś przepust otworzą. Pójdzie woda ogromna, gwałtowna i porwie ze sobą gotowe tratwy.

Przycicha stukot siekier... Czujne oczy śledzą teraz rzekę...

— Idzie woda?...

Jeszcze nie, ale pójdzie wnet...

Czekają...

— Hej!... he...ej! Woda idzie!

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego!

Sunie potężny wał wodny, kłębi się, huczy i szumi... Zalewa brzegi potoku, unosi tratwy...

Płyną!

Stryj trzyma ster na pierwszej tratwie. Jurko z ojcem, zbrojni w tęgie drągi, stoją po bokach czujni i baczni.

Na wartki nurt Czeremoszu wypada tratwa za tratwą.

Jedna, dwie, trzy... Jedna, dwie, trzy... Jedna, dwie, trzy...

Tratwy tańczą na wodzie, niby kawały lekkiej kory. Woda chlusta po nogach, pianą w oczy bryzga. To ci jazda!

Urwiste skały, zбочa zielone od borów jodłowych, wszystko to mija, ucieka w tył z zawrotną szybkością.

Nurt rzuca tratwy tuż pod skałę na lewym brzegu. Chłopak odpycha się drągiem, opiera się całym ciężarem ciała... Odepchnął. Za chwilę nurt zniesie ich w prawo.

— Trzymaj się! — krzyczy nagle stryj u steru.

Ojciec puszcza drąg. Wbijają siekierę w pień tratwy. Jurko go naśladuje.

— Trzymaaj się!

Jurko rozumie: wir albo wodospad... I trzyma się. Jego siekiera mocno wbita w pień. Ręce kurczowo zaciśnięte na toporzysku. Palcami nóg trzyma się tratwy.

Łoskot wód rośnie... Przechodzi w grzmot!

I wtem... tratwa przed nimi daje nura. Gdzieś w przepaść...

Jurko przywiera piersią i kolanami do toporzyska. Serce ustaje bić...

I już!... Lecą w dół, w jakiś kocioł białych pian.

Woda chlusta w twarz, zalewa, odrywa od tratwy... Na moment wynurzają się... Znów pod wodę!... Tratwa staje dęba... targa się... i nagle w brzygach i chlustach wyskakuje na grzbiet

fali. Już kręci się na wodzie, płąsa i mknie naprzód, a po obu stronach uciekają wstecz ściany gór.

— Eh, Jurko, przeskoczyły! — śmieje się ojciec.

Jurko ocieka wodą jak topielec, ale odkrzykuje rażno.

— Użyjesz jeszcze tego dobra nie raz, nie dwa, nim do Wyżnicy, do portu dopłyniemy! — krzyczy stryj od steru.

Jurko rozciera nabrzmiałe dłonie i ukazuje zęby w szerokim uśmiechu. Potem, rozkraczywszy się szeroko, podnosi swoje proste wiosło.

Jest mu dobrze. Radość rozpiera go, nie mieści się w młodej piersi.

Więc wdycha głęboki haust rzeźwego powietrza i wyrzuca przed siebie okrzyk:

— Hoj — hoój!...

Julia Duszyńska

Capina: drąg, zakończony ostrym hakiem; — *huźwa*: lina, skręcona z gałęzi; — *haust*: łyk.

62. Poleszuk.

Jak zawołasz: „Hop, hop!“ przed siebie,
wiatr po wodzie twój głos poniesie.
Dookoła woda i woda,
płaskie, mokre, błotne Polesie.

Jak zawołasz: „Hop, hop!“ przed siebie,
głos po wietrze szybko polecie,
do dalekich bagien za wodą,
aż do Piny, aż do Prypeci.

Kostuś mieszka w chacie nad wodą,
Kostuś nigdy pieszo nie chodzi
ledwo wyjdzie, już brzeg się kończy,
zaraz trzeba siadać do łodzi.

A łódź płynie pośród zarośli,
a łódź płynie długie godziny,
ptaki z krzykiem fruują wkoło,
i kołyszą się krzaki, trzciny.

Kostuś kręci fujarki z wierzby,
i jaj ptasich w zaroślach szuka,
i po wodzie pływa i brodzi,
jak przystało na poleszuka.

Hanna Morkowiczówna

63. U bobrów.

Krzyś i Jędrzek lubili z dziadem bobrować po puszczy. Czego on nie nauczył, czego nie pokazał wnukom! Głosy boru rozumiał jak nikt, a w tropach czytał jak w księdze.

Bywało, popatrzy na śnieg, utłoczony zajęczymi śladami, i z tych śladów całą historię wywiedzie: tu szarak stał słupka; tu się w śniegu wytarzał; tam chciał drogę do kotliny zmylić i kicał tędy i siędy w cztery strony świata.

Mawiał też dziad:

— Nie godzi się czynić krzywdy żadnemu zwierzęciu bez potrzeby ani żadnego mieć w pogardzie. Niejednej mądrości nauczył się człek od niemych stworzeń.

— O, i czegożby, dziadku, czegożby? — nudził zaraz Krzyś.

— A choćby od pająka prząść. Albo murować od jaskółek. Albo od bobra drzewo rąbać.

Uczepili się tego bobra, jak kleszcz sarniej skóry. Że to dziad tyle czasu o bobrach rozpowiada, a oni bobrów żywych ani ich żeremi jeszcze nie widzieli.

— Albo to was można brać w puszcę na noc? — bronił się dziad. — Boć w dzień bobry śpią.

Więc gorąco zapewniali obaj, że można, i póty nastawali, aż jednego popołudnia zabrał ich dziad łodzią na tę daleką wyprawę.

Słońce stało już nisko, kiedy, płynąc leśną strugą, ujrzeli pierwsze kopce bobrowej osady, uklecone przemyślnie z chrustu i gałązek. Sterczały z wody niby kopice siana.

Po obu brzegach strumienia pełno było powalonych przez bobry drzew.

— Patrzcie, chłopcy — wskazał dziad — jaki tu u dołu tej brzozy pierścień wygryziony! Jeszcze z godzinę bobry popracują i obalą drzewo. Takie to z nich drwale przemyślne.

— Hej, hej! — dziwili się chłopcy.

Dziad tymczasem wyszukał im dobre i wygodne schronisko

na starym dębie, więc rozsiedli się w jego konarach i w głębokim milczeniu czekali na bobry.

Niebawem plusnęła woda, i okrągła główka o zjeżonych wąsach wynurzyła się na środek strumienia.

— Bóbr... — spojrzeli po sobie bracia.

Zwierzę wygramoliło się na wierzch kopca i siadło słupka, rozglądając się bacznie.

Po chwili bóbr świsnął. Zabulgotała woda. Dziesiątki brunatnych łbów, dziesiątki wąsatych pyszczków wynurzyło się z głębiny. Za chwilę brzeg strumienia zaroił się od bobrów, rozległ się chrobot i trzask pożeranych łapczywie gałązek i liści.

Nowy ostry świst zgromadził wszystkie bobry naokoło przywódcy. Coś tam skrzeczały, coś między sobą radziły po swojemu, po czym chłopcy zobaczyli ze zdumieniem, jak jeden bóbr chwycił zębami kloc obalonej brzozy, towarzysze podparli z boków, i tak popychając i przytrzymując ostrymi zębami, ciągnęły brzozę utartą koleiną nad wodę.

Jędrak tylko łokciem trącił brata, a tamten rękę mu ścisnął, gdyż inaczej nie mogli wyrazić swego zdumienia i zachwytu. Dziad kazał być cicho, jako że bobry są bardzo czujne i płochliwe.

Powoli zmierzchało się, ale zaraz na niebo wytoczył się księżyc, i w jego blasku widać było jak na dłoni przeciwległy brzeg strumienia i pracujące tam bobry.

Właśnie zepchnęły jeden pień na sam brzeg. Już chwiał się jednym końcem w powietrzu, gotów ześliznąć się w wodę.

Stary, ciężki bóbr pobiegł po nim jak po kładce, kloc przechylił się gwałtownie, plusnął razem z bobrem w wodę i stanął prawie pionowo.

Gromadka zwierząt znikła w tym miejscu pod wodą. Co jakiś czas tylko wychylała się na powierzchnię brunatna głowa, i zaczerpnąwszy tchu, znikwała w głębi. Inne bobry ciągnęły drugi pal nad brzeg strumienia.

— Tamę budują — domyślił się Jędrak. Dziad przecież nieraz im opowiadał, jak bobry przegradzają strumień palami, między pale naznoszą kamieni, mułu, gałęzi i taką zbudują tamę, że woda w strudze podniesie się do potrzebnej wysokości.

Tymczasem drugi pal chlusnął w wodę i oparł się górnym końcem o pierwszy. Jakiś czas bobry zagrzebywały go widać w piasku i mule, bo wszystkie siedziały pod wodą. Wreszcie

wypłynął jakiś tęgi bóbr, wdrapał się na czubek pierwszego pala i zaczął powoli odpychać i prostować pal sąsiedni.

— Reta! — parsknął zduszonym śmiechem Krzyś, zapominając o wszystkim. I w tejże chwili przerażony zasłonił usta dłonią.

Ale już było za późno!

Przeraźliwy świst przeszył powietrze. Zakotłowała się woda pod naporem mnóstwa ciał, rzucających się w głębinę.

Po chwili ani na brzegu, ani na wodzie nie było bobrów. Strumień srebrzył się tylko w poświacie księżycowej cichy i milczący.

Julia Duszyńska

Tropy: ślady zwierząt ; — żeremie: miejsce zamieszkania bobrów.

64. Żubry w Białowieży.

Cienista i wonna, mroczna, okiem nieobjęta, szumi w cudny dzień lipcowy Puszcza Białowiecka. Tylko na drogach nielicznych, gęstwinę przecinających, tylko na duktach śródleśnych i na



polanach gra słońce. Zresztą jest to raczej kraina wiekuistego półmroku, w którym chowa się zwierz wszelaki, kryjąc się przed ludzkim okiem.

Chodzą więc po puszczy jelenie i łanie, śmigają bystre sarny, rudy lis się przemyka. Ryje w niej opryskliwy dzik, chodzi na rozbój szaropłowy wilk, i ryś się trafia niekiedy, największy z naszych kotów...

Pomniejszego zwierza nie zliczy. Jest go mnóstwo. A na konarach drzew, w dziuplach, trzcinach, trawach, wrzosowiskach, na wilgotnych łągach puszczańskich mieszka ptactwo rozmaite. Gdy perłowy świt obejmuje Puszcze, budzi się skrzydlata rzesza i oznajmia tysięcznymi głosy narodziny różowego dnia.

Największym i najwspanialszym ze zwierząt, zamieszkujących Białowieską Puszcze, był ogromny, brodaty żubr. Królewskiej postawy, budowy potężnej, przechadzał się po rezerwacie, stanowiącym jak gdyby osobne państwo w państwie.

Jak pamięcią sięgnąć, zawsze tu miał ostoję.

Ale po wojnie światowej, po Niemcach, którzy puszcze pustoszili, po kłusownikach, którzy w niej grasowali bezkarnie, zabrakło żubrów w puszczy.

Władek, syn leśniczego, który się w Białowieży urodził, znał je już tylko z opowiadań.

Któregoś dnia ojciec Władka wrócił z obchodu podniecony i uradowany.

— Mamy nowinę! — zawołał. — Wielką nowinę.

— Jaką, tato?

— Spotkałem się z panem nadleśniczym. Powiedział mi, że lada tydzień żubry do nas powrócą!

— Ojej, żywe?

— Żywe, synku, żywe!

— Skąd się wzięły?

— Udało się zebrać ostatnich niedobitków, porozsiewanych po różnych ogrodach zoologicznych Europy i w zwierzyńcu księcia Pszczyńskiego. Będziem je znowu hodowali.

— A dużo ich będzie, tatku?

— Tylko kilka sztuk. Ale Bóg da, rozmnożą się.

— I będzie ich tyle, co przed wojną?

— No, nie... Przed wojną bywało ich tu setkami... Nierychło do tego dojdziemy. Ale z tego się cieszymy, że w ogóle będą! Przecież Białowieża bez nich, to nie Białowieża!

Przybyły żubry i zamieszkały w rezerwacie. Uradowała się nimi Białowieża, i one pewnie uradowały się, wciągając w nozdrza zapach ukochanej Puszczy.

Wkrótce gruchnęła po Puszczy wesoła nowina:

— Przyszło na świat pierwsze żubrze cielątko!

— Przyrasta żubrza rodzina!

Najwięcej radował się Władek. Ilekroć go ojciec brał ze sobą do rezerwatu, ilekroć pozwalał z daleka patrzeć na żubry albo z bliska, przez szpary w ścianach szopy, podglądać ich spacerować, wracał do leśniczówki kontent, jakby najpiękniejszy prezent dostał. A tu raptem żubrzątko małe, pierwsze! A takie śliczne!

Zima była, puszysta, biała. Spadły ogromne śniegi. Puszcza i rezerwat żubrzy tonęły w śnieżnych pierzynach. W tych śnieżnych pierzynach, płacząc się pod nogami żubrzcycy-matki, brykało czarne cielątko.

Oj, tatku, czy ono nie zmarznie?

— W śniegu?! Ciepło mu jak w puchu!

Ale wydarzyła się rzecz okropna. Któregoś dnia, kiedy Władek był z ojcem w rezerwacie, brodaty byk, ni z tego, ni z owego, wziął żubrze cielątko na rogi i zaczął je jak zabawkę podrzucać do góry.

Alarm się podniósł, popłoch. Kto żył ze straży leśnej, biegł co tchu, żeby krzykiem, machaniem rękoma byka-żubra od tej niebezpiecznej zabawy odwieść...

— Rety! Już po żubrzątku!

Okazało się jednak, że to były tylko żubry, ojcowskie, karesy. Cielęciu nic się nie stało. Co wyleciało do góry, podrzucone potężnymi rogami papy-żubra, to pac! — mięciutko upadło w śnieg.

Potem z tego śmiechu było, śmiechu...

Zdzisław Kleszczyński

Dukt: droga leśna; — *rezerwat*: część lasu, pozostawiona w dzikim stanie; — *Puszczyna*: miejscowość na Śląsku; — *kares*: pieszczota.

65. Barć w lesie.

Chłopcy pobiegli w las, by szukać lisich jam zamieszkałych.

I tak myszkując, gapiąc się, zaglądnijac do gniazd, usłyszeli w powietrzu dziwny szum. Nad polaną nisko leciała szara kula.

— Rój, rój! — krzyknął Jasiek i pognał.

Skoczył i Coto, i rozpoczął się szalony pościg. Przez krze i zwały pędzili, ciskając na rój garście ziemi, liście, gałązki, krzycząc zdyszani, podrapani, a zajadli.

Aż wreszcie rój zmęczony opadł na krzew kaliny na spoczynek. Ciemne mrowie owadów uczyniło jakby szare grono i znie-ruchomiło.

— Wody, wody! Kropić, bo się za chwilę porwą! — komenderował Jasiak.

Coto przyniósł wody w kapeluszu, i prysnęli na rój.

— A teraz co? Co z nimi robić? — pytał zdyszany.

— Dawej koszulę, moja podarta! Zwiążuj kołnierz i rękawy wtką łożową mocno! Ot, tak! Prędszej, nim się opamiętają i zaczną ciąć! Podsuń koszulę pod gałąź! Trzymaj uważnie, żeby wszystkie zamknąć! O, już się burzą! Ani drgnij! Trzymaj, niech tną, my przecie leśni ludzie! Cierp, cierp, zaraz gałąź utnę.

Coto zaciął zęby, spełniał rozkazy. Otoczył go jakby szary obłok; poczuł na ciele piekący ból, brzęk gniewny, zapach kwaśny jadu, ale się zapamiętał w postanowieniu, ani pisnął, ani się opędał.

I oto trzymali, jako zdobycz, cudaczny worek z koszuli, w którym huczał rozpacznie uwięziony rój...

W osadzie zeszli się wszyscy na obiad, gdy wpadł Jasiak nagi po pas ze swą zdobyczą w garści i zdyszany wołał:

— Niosę zdobycz!

Umieszczono rój w cieniu, uwieszony u gałęzi, i wnet wszyscy ruszyli, by mieszkanie mu urządzić. W dziupli, na starej, samotnej sośnie wśród leśnej polany.

Jasiak, zawieszony u wylotu dziupli, dłutem i siekierą otwór czyścił.

Pantera wnet po sznurku z hakiem aż na górny konar się wydzwignął, konno na nim zasiadł, i jak dwa dzięcioły kuli.

Podawano im z dołu narzędzia, mech, glinę, wreszcie zatwór z deski i ćwieki. Po paru godzinach karkołomnej roboty zeszli na ziemię i pokładli się jak martwi ze zmęczenia, ale barć była gotowa.

Odrowąż spojrział na słońce.

— Biegaj, Jasiak, po rój, można osadzać.

Nadchodziła najcięższa próba bartniczego egzaminu: bez żadnej osłony twarzy i rąk, bez skropienia wodą, bez dymu musiał Jasiak przeprowadzić rozdrażnioną niewolą rój do nowej

osady. Gdy wstępował na drabinę, w zębach trzymając huczące pszczoły, Odrowąż komenderował:

— Żebyś się nie śpieszył, żebyś się nie oganiał, żebyś się na nie nawet w myśli nie rozgniewał! Po głosie słyhać, że matka jest, więc się nie zerwą. Za pazuchą łyżkę masz. Pomalutku czerpaj i do oka puszczaj! A uważaj na matkę, żebyś nie uraził.

— Pomogę mu! — rzekł Rosomak i wciągnął się po sznurze na górny konar.

We dwóch na górze było lżej. Rosomak związkę potrzywał. Jasiiek się wygodnie na „leziwie“ umieścił. Otworzono więzienie; szary obłok ich otoczył, ale już Jasiiek pierwszą garstkę do oczka przysunął i z cicha, radośnie szepnął:

— Idą!

Obadwa wlepili oczy w szarą, ruszającą się masę, i nagle Rosomak, przechylony zupełnie głową na dół, zanurzył rękę w mrowie i szepnął:

— Matka!

Pięść jego szara była jak kłębek. Przesunął ją do wrót barci, i obadwa zaśmiali się cicho, radośnie:

— Poszła — szepnęli.

— Niechże jej będzie szczęśliwie! — rzekł z dołu Odrowąż, kreśląc krzyż nad barcią.

Teraz mądra chmara rzuciła się do barci całą masą, jakby rzeką szarą, jakby armią karną. Szły, szły, jakąś piosenkę nucąc, poruszając skrzydły jak proporcami, obładowane miodem, kwietnym pyłkiem, błyszczące od blaszek wosku. Miały ze sobą wszystko, co potrzeba, by swe państwo założyć, pobudować, rozmnożyć się na miliony syte, karne i bezmiernie pracowite.

Teraz już tylko trzeba było czekać, by przeszły. Te, co zleciały, opadały i maszerowały niegniewne, te, co były obsiadły ludzi, szły po rękach, nie tnąc wcale.

Maria Rodziewiczówna

66. Dziecięca radość pól.

Dziecięca radość pól...

Skowronków rannym szczebiotem

rozbrzmiewa cały świat...

Młodą zielenią i złotem

mieni się morze zbóż...

A słońce promiennie świeci,

ciesząc serduszka ziół
szczęśliwych, jak małe dzieci...

Dziecięca radość pól...
Powiew wiatorku poranny
całuje każdy kwiat,
pieści wysmukłe dziewczyny,
obmywa buzie ziół
perłami iskrzącej rosy
i czesze polnych traw
zielone, pachnące włosy...

Julian Ejsmond

67. Święta rola.

Kiedy Marcin Młot stawiał swą chałupę na starym uroczysku, mówili do niego najstarsi ludzie we wsi:

— Nie igrajcie z ogniem, Marcinie! Tędy diabeł po nocach jeno chodzi. Tu się za dawnych czasów stary młynarz pijaczyna obwiesił, i co dnia hulają tutaj wiatry.

— Gdzie się będę włókł? — odpowiedział Marcin Młot. — Tu mam po ojcu ugór i ten kawał lasu.

Dom postawił.

Ale już w pierwszą noc, gdy się do chałupy z żoną sprowadził, burza rozpętała się nad doliną. Wiatr zaczął szarpać szyby i okiennice nowego domu, światła piorunów rozrywały czarną noc ponad lasem.

A w dalekich głębiach nocy, na uroczysku, na którym ongiś stała świątynia słowiańska boga ognia, zebrały się cztery najpotężniejsze siły świata: Powietrze, Woda, Ogień i Ziemia.

Pierwsze krzyknęło Powietrze, wiatrem miotając stare dęby:

— Nie ścierpię tego chłopca na łące, na której hulałem bez przeszkody tysiące lat!

Druga wzburzyła się Woda:

— Nie pozwolę, by brudne chusty prały się w świętym strumieniu, w którym pojono ongiś święte rumaki słowiańskiego boga!

Trzeci wystrzelił w postaci pioruna najpotężniejszy ze wszystkich Ogień:

— Dęby mi będzie wycinał, dęby królewskie, po których przybiegałem do ciebie, Ziemi!

Milczała tylko Ziemia, która nie boi się Wiatru, Wody i Ognia.

I kiedy Marcin Młot spał snem najtwardszym, uradziły żywoły we czworo: „Rzucimy na niego wszystkie plagi i wyrzucimy go stąd tak, że śladu nie zostanie z jego domostwa“.

Pierwsze zaczęło Powietrze. Tej nocy jeszcze rozszalało się nad kotliną i zważyło wszystką pszenicę, gradem wielkim jak pięść człowieka stłukło wszystko żyto.

Gdy Marcin Młot wyszedł na drugi dzień przed swoją chatę, nie było na jego roli żyta ani pszenicy. Była mierzwa słuźzonego zboża, białego w czarną ziemię.

Ale Marcin Młot nie był to człowiek słaby.

— Grad wielu ludziom niszczy plony, ale ludzie są silniejsi od gradu — rzekł.

Zorał ziemię i zasadził na niej buraki i karpiele, bo nic innego nie urosłoby już tego roku.

A kiedy wschodziły już karpiele, zebrały się na uroczysku cztery najpotężniejsze siły świata: Powietrze, Woda, Ogień i Ziemia, i uradziły znowu:

— Ten człowiek jest uparty. Niechaj go zmyje z powierzchni Woda.

I przyszła nocą na rolę Marcina Młota Woda. Wzburzonymi bałwanami przetoczyła się przez zagony nędzarza, zerwała do gołej ziemi łąkę, splukała całe pole buraczane, wyrwała z gleby zielone karpiele. Przyszła aż pod sam dom nieszczęśliwego człowieka, wdarła się do izby, struchlałą rodzinę wypędziła na dach domostwa. Uniosła wszelki dobytek, narzędzia i chudobę.

Gdy jęk całej rodziny roznosił się ponad topielą, rzekł Marcin Młot:

— Powódź żyje krócej niż człowiek. Za tydzień nie będzie tu wody, a my wrócimy do pracy. Każdy człowiek przechodzi próby, aż przyjdzie nań sprawiedliwość.

Gdy woda odeszła, Marcin Młot zaczął podorywać pod cziminę.

Więc zeszyły się po raz trzeci na uroczysko cztery najpotężniejsze siły świata: Powietrze, Woda, Ogień i Ziemia, i uradziły na złość niezłomnemu człowiekowi:

— Żadna go siła nie ruszy, chyba Ogień. Niechaj piorun spali mu domostwo!

I w drugą noc przyszedł nad nieszczęśliwy dom Marcina

Młota straszliwy piorun. Dwa razy strzelił w jabłoń i czereśnię, a za trzecim razem wskoczył w komin i zapalił izbę.

Ledwie z duszą uciekł Marcin Młot i cała jego rodzina. Wybiegli na dwór i odtąd nie wrócili do izby, bo nie było już izby, tylko zgliszcza, kupa gasnących ogarów.

Przyszła cała wieś do parowu, i radzili ludzie Młotowi:

— Rzućcie, Marcinie, to uroczysko i przenieście się do wsi. Tu diabeł od wieków rządzi.

A Marcin Młot zaczął grzebać w zgliszczach, aż wyszukał tam czarną siekierę, z której wypaliło się toporzysko.

Wbił ją z powrotem na nowe imadło z bukowego drzewa i od następnego dnia ciosał beły pod nowe domostwo.

A kiedy stanął na nowo dom, i wiecha z kwiatów kołysała się jeszcze nad krokwią, zeszy się po raz ostatni w czarnej nocy na pogańskim uroczysku cztery najpotężniejsze siły świata: Powietrze, Woda, Ogień i Ziemia.

Wtedy uradzili wszyscy:

— Ten człowiek bluźni nam. Nie możemy mu dać rady. Niechaj poruszy się teraz Ziemia, niech zadrży w posadach i pochłonie upartego człowieka razem z jego domem i rodziną.

I przyszła nocą pod dom Marcina Młota Ziemia. Stała za oknami chaty i zobaczyła Marcina Młota. Marcin Młot jedyny nie spał jeszcze. Właśnie klęczał przy barłogu i dziękował Bogu za nędzne życie i wszystkie doznane nieszczęścia.

Ziemia stała za oknem. Już miała podnieść rękę, rozkazać, by się zatrzęsły posady i rozstała góra, gdy nagle wstrzymała rękę.

Co się stało?

Oto Marcin Młot skończył modlitwę, rozłożył ręce w krzyż i pocałował w natchnieniu świętą ziemię. Pocałował ziemię, z której dziadowie jego zbierali chlebobajne zboże, a z której on zbierał co jesień i co zimę, co wiosnę i co lato, z roku na rok to samo: łzy i nędzę.

I wtedy odmienił się zamiar czekającej za oknem Ziemi.

— Skoro ten człowiek tak mnie kocha, nie mogę niszczyć jego domostwa.

Wtedy podniosła jeszcze wyżej rękę i błogosławiła nią ten dom i tę rolę, zagony i miedze, łąki i ugory.

A na drugi dzień wstało na jej rozkaz słońce i świeciło nad niwami, które odtąd najpiękniejszy plon przynosiły.

Michał Rusinek

Uroczyisko: miejsce, uważane za zakłete lub zaczarowane ; — *karpień*: roślina warzywna z jadalnym korzeniem, brukiew ; — *parów*: głęboka, wąska dolina.

Pieczone gołąbki nie lecą same do gąbki.

68. Wybuch w kopalni.

Górnicy zjechali rano do kopalni, jak zwykle. Rozeszli się do swych przodków, żegnając jeden drugiego uświęconym „Szczęść Boże“! i imali się pracy. Dźwięczały kilofy i łopaty, łomotały uderzenia młotów, turkotały wozy po wszystkich gankach, a windy zlatywały w podszybie, zabierały swój ładunek i leciały z pośpiechem na powierzchnię.

Janek stał za swoim haszplem. Rozdygotany i sapiący potwór kręcił się w swych łożyskach powoli, wlokąc na wyprężonych linach naładowane wózki.

Janek właśnie miał swe wozy w połowie pochylni, gdy nagle zerwał się okropny, przerażający huk!...

Rozdarte gwałtownie powietrze runęło ogromną ławą, zmiotło sobą światło, wywaliło z trzaskiem najbliższe drzwi, a Janek, jakby obuchem zdzielony, zwałił się na posadzkę...

Huk się powtórzył! Drugi!... Trzeci!... Przewala się grzmot po gankach, ryczy, przepada, zdycha...

I znów cisza...

Podniósł głowę. Spojrzał. Jezus, Maryjo!... Płomień!... Czarny, duszący, skłębiony dym!...

W pochylni dudnią przerażone kroki. Lecą w mroku światła. Coraz bliżej... coraz bliżej... już są przy nim.

— Żyjesz, Janek?!

Schylają się nad nim twarze. Krzystek podnosi mu głowę.

— Wstawaj, Janek!... Musimy uciekać... Eksplozja w dziewiętnastym pokładzie!...

Porwały go z ziemi ramiona, na nogi postawiły. Biegnie z drugimi wzdłuż wozów.

Dym coraz gęstszy... I naraz... Morze ognia przed nimi!

Ruchoma, żywa, ognista ściana!... Stańło im wszystko w poprzek drogi... nie puści!...

— Z powrotem! — woła Krzystek. Tam nie przejdziemy!...

Zawrócili. Biegną z powrotem. Biegną jednym gankiem, biegną drugim, trzecim, dziesiątym. Wciąż pod górę. Jak długo to jeszcze? Jak długo?

Tchu brakuje w piersiach. Serca walą młotem.

Dobiegli szybu! Stańli przerażeni.

Rozwarła się przed nimi czeluść, czarna, bezdena czeluść. Z bocznego otworu dym bije w górę, przetykany długimi, okrwawionymi językami ognia.

Odcięte wyjście!...

Krzystek oparł się o ścianę i patrzył w ziemię.

— Co robić? Co robić?... — szeptał.

Dostrzegł pęk rur, biegnących popod stropem. Wiedział, że dochodzą aż na powierzchnię. Ożywił się.

— Chłopi, cicho! — krzyknął do szlochających. — Wiedzicie te rury? Bydymy alarmować tamtych na wierchu... usłyszą i przyniosą poratowanie.

— Tak, alarmujemy!... Może nóm pomogą!...

Poleciały na świat Boży uderzenia, poleciały po rurze. Długie, gęste, rozpaczliwe uderzenia!... Potem cisza... I znów. Biję jeden, gdy się zmęczy, bije drugi i kilofem woła ratunku. Lecą dźwięki po rurze, wołają ratunku, zmiłowania ludzkiego. Długo, długo...

— Cicho!...

— Odpowiadają z wierchu!...

— Usłyszeli nas! Usłyszeli nas!...

— Boże przenaślódszy!...

Spływają z góry krótkie, nerwowe dźwięki. Spływają po rurze, niosąc z sobą nadzieję.

Odpowiadają znów z dołu.

— Słyszemy, słyszemy... Nie dejcie nas śmierci!...

Dymy rzednieją, nie takie już gęste. Swąd gryzie płuca. To nie!... Tamci o nas pamiętają, nie dadzą zginąć marnie!...

Nagle!...

— Jezusie przenaślódszy! Dzięki Ci, Jezusku najmilejszy!...

Przed niewierzącymi oczyma zsuwa się z góry, wyłania z dymów wielki kosz druciany, zawieszony na linie stalowej. W koszu dwóch górników w aparatach. Zawisł kosz nad czeluścią.

- Żyjecie, bracia? — leci do nich mocny głos.
 — Żyjemy... żyjemy!
 — Ilu was?
 — Dwanaście chłopów!...



— Pomóżcie wysiąść!... Tu są aparaty. Po dwóch wsiada do kosza. Aparaty nałożyć, bo w szybie zadusiłby dym...

Idzie dwóch pierwszych: Janek i młodszy Zorychta. Nałożyli na oczy okulary, nos ścisnęli sprężynką, przez piersi przewiesili ciężki worek, a w nim naczynia, co tlen wytwarzają. Do ust wsunęli rurkę gumową, sięgającą do worka. Stanęli w koszu. Przywiązano ich szerokim pasem do liny. Zadzwoniono trzy razy w rurę.

Kosz zadygotał i począł powoli unosić się w górę. Otoczyły go kłęby dymu.

Siedem razy kosz opadał w głębie, siedem razy wynurzał się na świat. Wydobyto wszystkich.

Gustaw Morcinek

Kilof: narzędzie do rozbijania twardej ziemi lub skały; — *haszpel*: haszpel, narzędzie do zwijania lin w kopalni; — *pochylnia*: chodnik w kopalni, idący pochyło; — *eksplozja*: wybuch; — *aparat*: (tu) maska przeciwgazowa w celu zabezpieczenia przed zatruciem.

69. Przysięga Kościuszki.

Nad obszarem rankiem szarym że nam wszystkie krzywdy nasze
wschodzi jasna zorza. odbije na wrogu.
Zorza wschodzi spoza świata, Przysięgli mu posłuszeństwo
Kościuszko zza morza. na tę Bożą Mękę,
Ptak szczebiota, zorza złota wszyscy zgodnie na starszeństwo
pobudziła ptaki, wyciągnęli rękę.
a Kościuszko budzi ludzi, Podpisali krakowiany,
krakowskie wieśniaki. radne pany stare;
 i chłopię się zapisali
 krzyżem na ofiarę.

I było tam ludu wiele
przed Panną Maryją.
Trąby grają, serca tają
straże w bębny biją,
a pośrodkiem z licem słodkim,
jak chłopiek pośledni,
Polak dzielny, Wódz naczelny,
za nim ludzie biedni.

I przystanął przed kościołem
i przysięgł się Bogu,

I zadzwonił na Wawelu
stary Zygmunt z wieży;
niewstrzymany, rozmachany
głos po kraju bieży.
Rosa rosi, wiatr roznosi
radość niepojętą.

Dzwon potężny, lud przysiężny,
w Polsce wielkie święto!

Teofil Lenartowicz

70. Król żołnierz w żołnierskim mieście.

Rojno było i gwaro we Lwowie latem 1675 roku. Sznury bryk ładownych ciągnęły ku miastu wszystkimi drogami, pełno ich też było w samym mieście. Ale rzecz dziwna, nikt tych bryk nie wyładowywał, towarów nie rozkładał, nie handlował. Bo też nie były to towary, jeno dobytek ludzki, zebrany w pośpiechu. Z miasta mało kto wyjeżdżał, a jeśli jechał, to na Warszawę lub Kraków, spozierając ze strachem poza siebie, ku wschodowi, skąd, jak chmura gradowa, nadciągała groźna turecka armia Ibrahima paszy i olbrzymie tatarskie zagony.

Większość jednak nie opuszczała miasta. Nie pierwszyna to była dla Lwowa oprzeć się najazdowi, przygotować na spotkanie gości muszkiety i działa, prochy i kule. Zwłaszcza ostatnie pokolenie przyjmowało tych uprzykrzonych gości często!

I teraz więc sypano i reparowano wały i mury, zapędzając do roboty całą przyjezdną czy przejezdną ludność. Cechy odby-

wały swe ćwiczenia wojskowe, a na ratuszu po całych dniach, a często i nocach radzili Panowie Rada.

Pewnego dnia trysnęła z tegoż ratusza radosna wieść.

— Król przyjeżdża. Sobieski! Do Lwowa przyjeżdża.

Lotem błyskawicy obiegła ta wieść miasto. Zabiły od niej żywiej serca, podniosły się głowy, zacisnęły się mocno pięści. Wszystko od razu łatwiejsze się wydaje, niż przedtem.

— Chwała Bogu! Chwała Bogu! Czy aby na pewno przyjeżdża?

— Na pewno. Od samego radnego Gąsiorkiewicza słyszałem. I wojsko z sobą prowadzi i działa.

— Co tam wojsko i działa! To i my mamy. Nie w tym sęk. To jest najważniejsze, że on sam do nas przyjeżdża. Widzieliście go kiedy, panie Dominiku?

— Nie, jakoś się nie zdarzyło widzieć.

— Nie do wiary, mówię wam, nie do wiary! Co to za człek, co za człek! Jemu się samemu wszystko w rękach pali, i kto się z nim bliżej zetknie, też się palić zaczyna. Jego imię samo za wojsko starczy.

* * *

Na spotkanie wyległo całe miasto. Straże jeno na wałach zostały, a ciężko chorzy po domach.

Witało go duchowieństwo, i panowie Rada, i załoga miejska. Dzwony biły, kapele grzmiały.

Król uprzejmie, ale krótko wszystkich pozdrowił, i nie na kwieciste powitalne oracje nie odpowiadając, między szeregi załogi konia swego skierował.

Żołnierzom pojaśniały twarze. Ot, król żołnierz do żołnierskiej ciągnie rodziny. Za takiego króla i wodza nie żał by swej żołnierskiej krwi utoczyć. Choćby i głowę położyć!

Król ogląda, znać, że rad, że rzetelną widzi robotę, że cechy dobrze wymustrowane, że pacholkiwie miejscy przedni tworzą oddział. Nie wystrojone to wojsko, oficerowie wstęg ni pióropuszków nie noszą, ale król dobrze wie, co warci.

No, czas jechać do miasta. Ruszyły przodem kapele, za nimi wojsko i miejskie i królewskie, potem dygnitarze, wreszcie król jegomość ze swoją świtą.

Myśleli ludzie, że król po podróży będzie chciał wypocząć i do swej kamienicy w rynku zajedzie. Gdzie tam! Miasto jął objeżdżać. Końca temu nie było, wszystko chciał zobaczyć: na-

sypy, mury, baszty, wszystko. Panowie Rada, którzy królowi towarzyszyli, zaczęli się już niecierpliwić i pasów dociągać, bo już pora obiadowa dawno minęła, i głód się dawał we znaki. Ledwie się król uprosić wreszcie dał na jakiś posiłek.

Potem zaraz na koń.

— Gdzie? Wytchnąć trzeba, Najjaśniejszy Panie.

— Jak Turków wyżeniem, to wytchniemy wszyscy. Trzeba mi jeszcze dziś miejsca pod obóz warowny poszukać.

Jakoż tegoż dnia jeszcze wytknął król obóz niedaleko miasta, pod Glinianami. A w trzy dni obóz był gotów. Król sam dniem, a często i nocą robót fortyfikacyjnych pilnował. W namiocie, jak prosty żołnierz, mieszkał, z kotła jadał.

Przekładano mu, że w mieście wygodniej i bezpieczniej.

— Niech Wasza Królewska Mość przenieść się raczy.

— Stracilibyście dla mnie szacunek, jakbym waszej rady posłuchał — odpowiedział król.

Rozniosła się ta królewska odpowiedź po Lwowie.

Rozradowało się żołnierskie serce Lwowa.

To się nazywa król! To rycerz! To wódz!

Kazimierz Konarski

Zagon tatarski: oddziały tatarskiego wojska; — *baszta*: wieża obronna; — *muszkiet*: dawny karabin; — *przedni*: doskonały.

71. Sen księcia Giedymina.

Olbrzymi tur uchodził w knieję. Ziemia dudniła pod ciężarem jego cielska, z trzaskiem łamały się pod nim gałęzie.

Uchodził w chłód, mrok i gąszcze nieprzebytej puszczy, chroniąc się przed strzałami człowieka.

Z łbem pochylonym, z pianą na pysku sadił na ośle przed siebie, błyskając krwawo ślepiami. A za nim w trop gnał tętent kopyt, zajadłe szczekanie psów, drapieżny krzyk człowieka...

Jeszcze raz świsnęła strzała... I jeszcze...

Tur upadł na przednie nogi, wspiął się i raptem runął na ziemię, jak podcięte drzewo.

Za chwilę z gąszczy wypadły zziązane psy. Obskoczyły zwierza i obsiadły go warczącą kupą. Za nimi wypadł jeździec, zbrojny w kuszę i oszczep. Osadził konia, zeskoczył na ziemię i z gotowym oszczepem w rękę zbliżył się do powalonego tura.

— Gotów — mruknął. Podniósł do ust róg myśliwski, zagrał raz, drugi i trzeci.

Echo tylko odpowiedziało mu z głębin boru.

— Znajdą mnie — mruknął znowu jeździec. Spędził psy z cielska, spętał konia, i uczuwszy w kościach wielkie zmęczenie, legł na wzgórzu pod cieniem odwiecznych dębów.

I tak usnął w nieprzebytej puszczy obok cielska pokonanego tura — pan tej ziemi, ksiązę Giedymin.

* * *

A śnił dziwnie.

Ujrzał oto przed sobą wilka. Wilka w żelaznej zbroi. Zwierz stał i gorejącymi ślepiami patrzył mu w oczy. A potem zawył. Zawył, jakby nie on jeden, ale stado wilcze wyło równocześnie. Lecz ksiązę nie czuł trwogi. Dzikie wycie napępniało jego serce dziwną, potężną radością.

* * *

Stary Kriwe-Kriwejte, najstarszy kapłan świętego Znicza, kiedy wysłuchał opowiadania o dziwnym śnie, zadumał się i tak do księcia przemówił:

— Wolą bogów jest, abyś na onym miejscu wybudował gród obronny. A gród ów będzie sławny i potężny i pójdzie o nim głos po świecie, jak ono wilcze wycie.

Ksiązę posłuchał.

W głębi puszczy, na Turzej górze zbudował gród i nazwał go Wilnem. Tam przeniósł swoją książęcą stolicę i święty ogień znicza. A obok grodu, na sąsiednich wzgórzach budowało się powoli miasto, coraz to piękniejsze i coraz bardziej sławne.

Julia Duszyńska

Znicz: Święty ogień u pogańskich Litwinów, który stale płonął.

VII KU WOLNOŚCI I POTĘDZE.

72. Do moich synów !

Synkowie moi, poszedłem w bój,
jako wasz dziadek, a ojciec mój,
jak ojca ojciec i ojca dziad,
co z legionami przemierzył świat,
szukając drogi przez krew i blizny
do naszej wolnej Ojczyzny!

Synkowie moi, daj nam to Bóg,
że spadną wreszcie kajdany z nóg,
i nim wy męskich dojdziecie sił,
jawą się stanie, co dziadek śnił:
szczęściem zakwitnie krwią wieków żyzny
łan naszej wolnej Ojczyzny!

Synkowie moi, lecz jeśli Pan
nie da zejść zorzy z krwi naszych ran,
to jeszcze w waszej piersi jest krew
na nowy świętej wolności siew:
i wy pójdziecie, pomni spuścizny,
na bój dla waszej Ojczyzny!

Jerzy Żuławski

73. Legiony na Podhalu.

Warunki wojny na Podhalu okazały się nadzwyczaj przyjemne. Mówię o stosunkach z ludnością. Nie trzeba było tu niczego szukać, bo wszystko, czego dusza żołnierza, walczącego dla szczęścia Ojczyzny, pragnie, było mu dane. Tu czułem się w Ojczyźnie, czułem się potrzebny dla niej, jako jej obrońca. Od góry do dołu — ksiądz, gazda góralski czy gaździna, mieszczanin czy robotnik, wszyscy szukali po prostu okazji, aby w czymkolwiek pomóc lub przynajmniej okazać swą sympatię dla nas.

Młodzi chłopcy chodzili na wywiady przed wojskiem. Robiono to za zgodą wsi, która wprost wyznaczała, kto ma iść. Więcej! By chłopak nie mógł skłamać, że był tam, gdzie go posłano,

musiał wrócić z pieczęcią gminną, wyciśniętą na portkach, jako namacalne świadectwo swej sprawności. W każdej chacie czy domu nie odczuło się, że jesteśmy ciężarem, pomimo że przecież wojsko nie należy do najprzyjemniejszych gości.

Żywo pamiętam jeden wypadek z zapadłej górskiej wsi, w której po jednej z nocnych wycieczek szukałem z wojskiem na pewien czas ukrycia. Stałem kwaterą w chacie góralskiej, która, jak zwykle, miała dwie izby. Jedną na zimę zamkniętą — czystą, drugą — codzienną, że tak powiem, gdzie obok ludzi przechowują się cielęta, kury, prosięta i temu podobne, pożyteczne, lecz brudne i cuchnące stworzenia. Pomimo zimna stanąłem w czystej połowie. Zastanowiła mnie gaździna, wysoka o kształtnych rysach i dziwnie melancholijnych, szarych oczach. Była po prostu niestrudzoną w okazywaniu swej gościnności. Sama przybiegała często, proponując to lub owo, potem przysyłała dzieci, które wpadały z ciekawymi buziami, by zapytać raz jeszcze, czy trzeba czego, lub by przynieść jeszcze więcej drewna do pieca. Byłem strasznie zmęczony po niespanej nocy, więc nużyła mnie nawet trochę ta nadzwyczajna gościnność.

Gdy dałem wkrótce rozkaz do wymarszu, gaździna płakała rzewnymi łzami, patrząc swymi melancholijnymi oczami na odchodzące wojsko. Przypuszczałem, że obawia się ona nadejścia Moskali po naszym wyjściu, i począłem ją uspokajać. Wtedy odpowiedziała mi.

— Biedne wy, wojoki polskie! Tego płacze!

Nie chciała wziąć ani grosza za gościnę, nawet gdym chciał to zrobić pod pozorem zostawienia pieniędzy na cukierki dla dzieci. Dotąd za te serdeczne łzy tej podhalanki czuję wdzięczność, a do całego Podhala ogromną sympatię za to odczucie Ojczyzny, które tam miałem.

Józef Piłsudski

74. Mały opiekun.

Gdy Janek się zbudził, był dzień.

Nad lasem wisało wesołe, zaróżowione jeszcze słońce, a po szerokim, błękitnym niebie wolno pęłzały nastroszone jak kłębki pierza obłoczki.

Janek usiadł i rozejrzał się. Teraz dopiero powoli, powoli zaczął układać w głowie skotłowane myśli.

Tak, przypomina sobie...

Po wieczery matka zmywała naczynia, Stasiak przebudził się i popłakiwał, Józka go kolebała. Smakowicie pachniał w całej izbie razowiec... Gdzieś tam za oknem, w głębiach czarnej nocy huczały armaty, ale że się do tego nawykło, to i nie bardzo się je słyszało.

Aż tu nagle, jak nie zakotłuje się we wsi! Po gościńcu pędzą konie: du — du — du! Ktoś krzyczy, żelaziwa brzęczą, psy wyją... Wpada do chałupy wujna, krzyczy:

— Uciekajta, bój straszny idzie!

Złapała matka pierzynę, zawinęła w nią Staśka, chwyciła za nogę prosiaka i wyskoczyła z chałupy. Józka z wrzaskiem za matką. Janek na plecy złapał płachtę z bochnem chleba i wpadł do sadu.

Gościńcem pędzili ludzie z dobytkiem, dudniły wozy, rycało zestrachane bydło.

Janek dopadł spętanego na pastwisku źrebca, ściągnął mu z pęcın postronek, skoczył mu na grzbiet i pognał przed siebie. Gdy się obejrzał, cała wieś stała w krwawym świetle pożaru.

Nie wiedział, jak długo tak pędził i w jakim kierunku. Wrzawa bitwy dochodziła go coraz słabiej. Nagle koń zarył się przednimi nogami. Janek machnął w powietrzu kozła i runął na ziemię. A potem już nie pamiętał nic.

Teraz oto zbudził się ze snu czy z omdlenia. Do był razowca i chciwie jadł, tępo patrząc przed siebie. Nie próbuje już przyzywać ani matki, ani Józki; czuje, że otacza go pustka, że żadne ludzkie ucho nie dosłyszyc jego wołania.

W dali, w bok od drogi czerniała duża kępa wysokich drzew i niższych zarośli. Janek postanowił tam zboczyć i poszukać wody.

Zszedł z gościńca na drózkę. Zza drzew coraz wyraźniej było widać chałupę, resztki chruścianego płotu i nawet dwa słoneczniki, patrzące na drogę pocziwymi, żółtymi gębami.

Janek wszedł do zagrody. Nigdzie ani żywego ducha. Drzwi do chałupy były otwarte: wewnątrz pustka, zniszczenie. Zajrzał za chatę. Stodółka, na oścież otwarta, była pusta, tylko w jednym jej rogu coś się bielilo. Zwykła, duża poduszka, przewiązana w połowie sznurem. Po poduszce gramolił się mały szczeniak, a w poduszce ciemniała maleńka, chuda twarzączka dziecka. Żółta suczka ze zjezoną sierścią wyskoczyła teraz z kąta i naciera ostro na Janka, broniąc dostępu do dziecka.

Janek stanął nieruchomo. Po chwili suczka uspokoiła się, obwęchała go i usiadła pomiędzy chłopcem a poduszką.

Maleństwo zaczęło kwilić. Janek dał suczce kawałek chleba, na który wygłodniałe stworzenie rzuciło się z dziką żarłocznością, a sam ukląkł na ziemi i rozwiązał sznur, ściskający poduszkę.

Co to? Do koszulki przypięta była kartka papieru, a na niej napisane dużymi literami:

Nie podolał nieść trojga. Kto znajdzie, niech
zaopiekuje się w imię Boże. Nazywa się Mar-
cinek...

Potem następowało jeszcze kilka wyrazów, zapewne oznaczały nazwisko i miejsce, skąd dziecko pochodziło, ale były już zupełnie zatarte.

Dziecko leżało w brudzie i zaniechaniu. Janek żywo zakrzętnął się. Nazgarniał na kupkę słomy i dziecko ostrożnie (jak to matka robiła ze Staśkiem) na nią przeniósł. Potem z poduszki ściągnął powłoczkę i razem z pieluszkami zaniósł do koryta. Wlał w koryto kilka wiader wody i brudną bieliznę, jak mógł najlepiej, wyprał. Dziecko też mokrą szmatką umył.

Bielizna na słońcu szybko wyschła. Janek maleństwo w czystą pościółkę zawinął, szczeniátko schował za pazuchę, w ramiona wziął poduszkę z dzieckiem i ruszył w drogę. Suczka, doskonale już w chłopcu odczuwając przyjaciela, podreptała za nim z zupełnym zaufaniem.

Po drodze tylko od czasu do czasu zabiegała drogę i wspinała mu się do rąk: niepokoila się o niemowlę i psiatko. Wówczas wystarczało, że Janek uchylał poduszki i pokazywał opiekunce śpiące dziecko, a zza pazuchy czarne futerko szczenięcia. Suczka dotykała nosem jednego i drugiego i znów, na jakiś czas uspokojona, biegła truchcikiem za nogą Janka.

Szli szukać ludzi.

Janina Porazińska

75. Łącznik.

Było to w czasie wielkiej światowej wojny. W zacisznym kącie Włocławka, za katedrą, w starej, walącej się ruderze mieszkała pani Zofia Majewska z wnuczką swoim, Kazikiem, sierotą. Pani Majewska miała lat z górą siedemdziesiąt, Kazik trzynastu dobiegał, ale mimo to rozumieli się doskonale, a kochali jeszcze lepiej. Że to się babka ruszać bardzo nie mogła,

znosił jej Kazik nie tylko i mleko ze sklepiku, ale i wszelkie nowiny ze świata, a wieczorem po skończeniu lekcyj czytywał jej głośno gazetę.

Przede wszystkim nowiny z frontu. Biją Niemców gdzie w świecie, czy nie biją? Bo też ciężko już było pod tą niemiecką okupacją. Głód, bieda. Niemcy wszystko rekwirowali i wywozili do siebie.

Aż pewnej jesieni...

— Babciu! Front niemiecki przerwany!!!

Nadzieja zakołatała w sercach.

W parę dni później poszedł Kazik do szkoły. Dzień był ciemnawy, mglisty; godziny wloką się ciężko, niemrawie.

Nagle krzyk. Gdzieś na ulicy biegnie ktoś i krzyczy. Słowa więzną we mgle, ale dźwięk ostry, a przecież dziwnie jakiś młody i radosny, przedziera się i przez tę mgłę, i przez szyby.

Poruszenie w klasie; nawet nauczyciel przerwał pytanie i nadśluchoje. Krzyk zbliża się ku nim wyraźnie, rośnie, potężnieje.

— Komendant w Warszawie!... Polska!...

Klasa zamarła na chwilę. Słysząc było serca trzepocące się, i te młode w ławkach, i to starsze tam, na katedrze. Nikt ciszy tej nie mąci, a choćby nawet chciał, nie może, bo ze zduszonego gardła głosu nikt dobyć nie zdoła.

Potem runęła klasa do okien.

A potem?

Potem oszalało wszystko, i klasa, i szkoła, i całe miasto.

Kazik jeden z pierwszych znalazł się na dworze. Zaraz kazano mu pędzić do gimnazjum i zameldować się tam komendantowi, jako łącznik.

Boże! Czy to ten sam Włocławek, który jeszcze przed dwiema godzinami oglądał, jako miasto, wyniszczone przez wojnę szare, zahukane przez przemoc niemiecką?

O dwadzieścia kroków przed Kazikiem idzie podoficer niemiecki. Nie widać twarzy, ale w ruchach podoficera znać zaniepokojenie. Stanął. A to co?

Spod ziemi wyrasta nagle gromadka chłopców. Pięciu — sześciu. Mało co starsi albo i nie starsi od Kazika. Przeważnie uczniowie. Komenderował tym wojskiem znajomy terminator: Józef Wójcik.

Niemiec pod ścianę. Chłopcy kupą na niego. Szwab sam nie

wie, czy się bronić, czy nie, ale to trwa sekundę. Już po chwili bagnet przechodzi do rąk jednego z uczniów, rewolwer ogląda sam wódz, a rozbrojony wróg czmycha popod ścianami domów.

— Chodź do nas, Kazik! — woła Józek.

Kazik miałby straszną ochotę. Cóż? Rozkaz.

— Łącznikiem jestem, nie mogę. Muszę iść do komendy.

Rozkaz.

Ha, rozkaz, to rozkaz. To się rozumie.

Rozeszli się. Nie uszedł jeszcze Kazik i stu kroków, gdy z zakrętu ulicy doszedł do niego miarowy chrzęst maszerującego oddziału. Zrobiło mu się nagle zimno.

— Niemcy! — pomyślał. — Jezus Maria! Będzie rzeź.

Ale coś go pchało ku temu zakrętowi, żeby prędzej zobaczyć.

Dopadł i nagle poczuł, że serce zaczyna mu się pchać pod gardło.

Oto środkiem ulicy wali wojsko. No, niby co? Może nie wojsko? Ósma pewno klasa. Może P. O. W.? Ze trzydziestu chłopca. Nawet i karabinów mają kilkanaście. Jak idą! Jak oni idą! Ziemia się trzęsie. Mocny Boże!

Pół dnia Kazik biegał z rozkazami i nawet brał mimochodem udział w rozbrojeniu grupy żołnierzy. Zdobył przy tym rewolwer. Tyle, że nienabity. Dopieroż to się babcia ucieszy!

Babcia? Prawda. Z gorzkim wyrzutem zdał sobie sprawę z tego, że w tym całym cudownym rozgardiaszu zapomniał zupełnie o babci.

Śmignął ku katedrze, stęskniony padł w szeroko rozstawione ramiona. Babka witała go tak, jakby wracał z tamtego świata.

— Babciu! Jakiż dziś cudny dzień! Zdobyłem rewolwer.

Niech babcia patrzy.

Ale rewolwer nie bardzo miał ochotę wyjść z kieszeni. Aż babcia, wystraszona tym szamotaniem się z bronią, krzyknęła:

— Nie wyciągaj! Widzę już. Matko Najświętsza! Jeszcze się postrzeli!

A potem namówił Kazik babcie, by się zdecydowała wyjść i zobaczyć, co się w mieście dzieje.

Miasto szalało. Tłumy, tłumy, tłumy. Przelewają się z ulicy w ulicę, przystają, znów płyną. Ludzie krzyczą, śmieją się, padają sobie w objęcia. Płaczą, a jasne, bo radosne łzy sypią się na uliczny bruk.

Kazimierz Konarski

Okupacja: obsadzenie kraju lub jego części przez obce wojsko; — *rekwirować*: zabierać dla potrzeb wojskowych produkty żywnościowe lub konie, bydło itd. za pokwitowaniem; — *rozgardiasz*: zamieszanie.

76. Mały kurier.

Wczesny zmierzch listopadowy. Lwów tonie w mgle i deszczu. Po pustej ulicy przemykają się gromadki chłopców, uzbrojonych w karabiny. Naokoło huczy głośnie strzelanina. Zabłąkane kule z chrzęstem uderzają o ściany. W szkole Konarskiego, w której mieści się Naczelna Komenda Polska, starszyna naradza się nad tym, w jaki sposób przesłać numer „Pobudki“, świeżo dziś wydany, na „tamtą“ stronę, to jest na stronę miasta zajęta przez Ukraińców. Od wczorajszego wieczora trwają krwawe walki. Ani myśz nie prześliznie się przez ziejące ogniem linie. A trzeba przecież dodać otuchy odciętej od świata ludności polskiej. Co robić?

Józko, pełniący obowiązki kuriera, wyszedł do sieni i zamysłony stanął w bramie.

Nagle huknęło w pobliżu. Posypały się cegły i kawałki tynku...

— Jezus! — krzyknął jakiś głos tuż obok.

Józko wyskoczył bez namysłu. Na chodniku, przytulona do muru, klęczała dziewczynka z twarzą białą jak kreda.

— Jaśka! — krzyknął Józiek, poznając sąsiadkę ze swego podwórka. — Ta co ty tu robisz? — złapał ją za rękę i wciągnął do sieni. — Trafilo cię, gadaj?

— Nie — szepnęła dziewczynka — tylko ja się tak nastraszyła...

Usta się jej trzęsły.

— Ta po co biegasz po mieście w taką strzelaninę? Albo to dla dziewczyn robota?

I Józik dumnie wydał wargi. Jego tatko zginął w Legionach, a on zaraz pierwszego dnia zgłosił się do Komendy. Nie wzięli go na front, bo ma dopiero dziesięć lat. Ale że sprytny, jak małego który chłopak w jego wieku, więc przyjęli go za kuriera. Co tam jemu strzelanina!

Jaśka już oprzytomniała. Oczy jej z szacunkiem prześliznęły się po żołnierskiej czapce z biało-czerwoną kokardą, po opasce na ramieniu Józka.

— Joj, Jóźku, ta ty wyglądasz, jak sam generał, w tej czapce!

Józik rozpromienił się. Zaraz też zaczął opowiadać Jaśce o swojej kurierskiej pracy i o kłopotach Komendy, jak przenieść „Pobudkę“ na tamtą stronę miasta.

Oczy dziewczynki błysnęły. Zaciągnęła chłopca w głąb sieni i coś długo szeptała z wielkim przejęciem. Potem Jóźko z błyszczącymi oczami wpadł do izby, gdzie obradowała starszyzna.

— Obywatelu Komendancie! — sprężył się na baczość. — Mam sposób przedostania się na tamtą stronę. Mogę wziąć z sobą duży ładunek Pobudki. Droga jest zupełnie bezpieczna. Nikt się nawet nie domyśli. Jutro w południe będę z powrotem. Proszę mi pozwolić, obywatelu Komendancie!



Starszyzna najpierw się oburzyła, potem słuchała z zacięciem. Wreszcie chłopak, obciążony sporą paczką gazet, z radością wypadł do sieni. Tam chwycił za rękę czekającą nań Jaśkę, i oboje razem, skuleni, zaczęli przemykać się pod ścianami wśród świszczących kul. Już ich nie ma, przepadli gdzieś w mrokach nieoświetlonego miasta.

W kilka godzin później na placu, opustoszałym po niedawnej utarczce, pojawiają się dwa drobne cienie. Kryjąc latarkę pod chustką, Jaśka otwiera żelazną kratę, zamykającą podziemny

kanal. Odnalazłszy drabinkę, zsuwa się w głąb czarnego otworu. Za nią niezgrabnie włazi Józek, cały spęczniały od Pobudki, którą obłożył się na wszystkie strony. Kłapa zapada się za nimi i na placyku znówu jest ciemno i pusto.

Tymczasem pod ziemią przemyka się dwoje dzieci. Ojciec Jaśki jest dozorcą lwowskich kanałów i nieraz zabierał z sobą córkę w podziemną wędrówkę. Albo to chłopczyśka na podwórku nie przezywają czasem Jaśki: „kanalarka“, kiedy jej chcą dokuczyć? Jaśka doskonale orientuje się w podziemnych korytarzach. Cicho tu i pusto. Światło latarki ślizga się po wilgotnych ścianach i odbija się w czarnej wodzie, leniwie płynącej w betonowym łożysku.

— Już nie daleko — mówi Jaśka. — Jeśli nie pilnują wyjścia, wygraliśmy.

Oboje wiedzą dobrze, co się stanie z nimi, jeśli zostaną schwytni z Pobudką. Wojna to straszna rzecz. A nad nimi huczy strzelanina!

Nie ma straży przy wyjściu! Dzieci ostrożnie wynurzają się z podziemia. Teraz muszą się ze sobą rozstać.

— Dziękuję ci, Jaśka — mówi Józek. — Jesteś zuch, chociaż dziewczyna. A kto cię jeszcze raz „kanalarką“ nazwie, będzie miał ze mną do czynienia!

— Leć prędko! — szepce Jaśka. — Leć, bo patrol idzie! I uważaj jutro!...

Dwa małe cienie rozbiegają się w dwie różne strony. Już znikły. Na plac wchodzi właśnie oddział ukraińskich żołnierzy.

Nazajutrz wpada do Komendy kurier z roześmianymi oczami.

— Obywatelu Komendancie, świetnie poszło! Proszę o nowy ładunek.

Helena Zakrzewska

77. Długie nogi.

Nikt chyba na świecie nie miał większego zmartwienia, jak Kukuczów Rudolf z Karwiny. Miał bowiem niezwykle długie nogi.

Wszystkie spodnie, które nosił po ojcu, prawie w oczach stawały się krótkie. Inni górnicy pokpiwali z niego. Dziewuchy, pracujące na szybie, przezywały go bocianem, któremu zaiste żaby w stawie łowić, nie na kopalni pracować.

A że coraz głośniej mówiono, że Austrię już diabli biorą, że w Cieszynie mamy już polskie wojsko, które niemieckie załogi przepędziło za dziesiątą górę, Rudek pojechał do Cieszyna.

Nazajutrz stał się żołnierzem w przepisowy sposób. Dano mu mundur, zapisano w jakiejś grubej książce, i po wszystkim.

Pułkownik jakoś go sobie upodobał i przeznaczył na gońca do swej kancelarii. Otrzymał starą tekę, i kazano mu biegać z nią przez cały dzień po mieście. To na dworzec, to na pocztę, to do Rady Narodowej na zamku.

Nadszedł dzień 22 stycznia. Dzień mroźny a słoneczny.

W dowództwie dywizyjnym w Cieszynie czyniono gorączkowe przygotowania. Rudek przez cały dzień biegał, a wieczorem, gdy już nóg nie czuł, zawołano go przed pułkownika.

— Słuchajcie, Kukucz — zaczął pułkownik — dziś w nocy pojedziecie do Bogumina. Otrzymacie z adiutantury list, bardzo ważny. Przyniesiecie poświadczenie. Ale pamiętajcie, bardzo ważny list!...

Po północy wręczył mu porucznik dużą, zapieczętowaną kopertę. Chłopak wsunął ją za pazuchę i poszedł na dworzec.

Nad ranem przyjechał do Bogumina, wyskoczył na peron i pobiegł do kancelarii

— Panie pułkowniku — zaczął meldować.

Lecz ten nie czekał, tylko rzucił niecierpliwie:

— Macie list z dowództwa? Dawać!...

Rudek sięgnął za pazuchę i podał. Pułkownik rozdarł kopertę, rozwinął, przeczytał, targnął siwe wąsy i zaklął.

— Most musi być bezzwłocznie wysadzony! Wybrać mi kogoś na ochotnika!... Kogoś z długimi nogami!... Niewiele mamy czasu, musimy ich uprzedzić!... Już!...

— Panie pułkowniku, melduję bardzo pięknie, że ja mam długie nogi. Podziwiają się...

— Potraficie biec szybko?

— Hale, panie pułkowniku, jak pierón...

— Dobrze. Tu macie ładunki wybuchowe. Biegnijcie co sił w kierunku Piotrowic... Wzdłuż toru... Natraficie na most. Nad Olzą. Założycie pod obydwie tory. Dobrze założycie, żeby most ruszyło... Ale piorunem! Szybko! Już biegnijcie!

— Rozkaz, panie pułkowniku! — wrzasnął Rudek, wsadził cztery ładunki za koszulę, poprawił czapkę na głowie i pognał we wskazanym kierunku.

Strzelanina wzmagała się i przybliżała. Gdy się na skrócie oglądnał, ujrzał nadjeżdżającą pancerkę niemiecką.

Gnał. Długie nogi śmigały, kieby wiatrakowe skrzydła. Wicher zerwał mu czapkę z głowy, z tyłu dopędzało go chrapliwe dyszenie lokomotywy. Nie oglądał się, tylko parł naprzód.

Z daleka zobaczył już czarne przęsła mostu. Coraz bliżej... Coraz bliżej... jeszcze kilka kroków... już..., Zadudniły deski na moście.

Wtem spoza węgła wychynał przyczajony żołnierz z nastawionym bagnetem na karabinie.

— Stój, pieronie! Kaj lecisz?... Stój, bo strzelę!...

Rudek podbił mu łokciem lufę i runął na niego. Żołnierz zwałił się jak długi, a Rudek wyrwał karabin i prasnął nim do krzaków.

— Nie widzisz, buło zatracona, że pancerka wali na nas? — krzyknął na niego i zjechał na łądzwiach po wysokim nasypie.

Skoczył pod most. Szybko wyjął ładunki. Wepchnął je w wąskie szpary między belkami. Zwisające sznury ujął w dłoń. Potarł zapalną... zgasła. Zapalił drugą, przytknął do lontów. Żółty płomyk zasyczał, dobiegł do dłoni... sparzyło go. Puścił lonty. Płomyk rozszerzył się na cztery mniejsze płomyczki. Każdy poleciał po swoim sznurze.

Rudek zatarł dłonie i wybiegł spod mostu.

— Uciekej, synku! — wrzasnął na żołnierza. — Uciekej, bo most pójdzie do powietrza!

Uciekali teraz obydwaj co sił. Byle jak najdalej od mostu!

Właśnie w tej chwili nadbiegła pancerka. Obejrzał się. Ujrzał zwałający się pociąg na podminowany most...

Nagle ogromny huk!... Krwawy jęzor ognia śmignął wysoko przed pociągiem, za nim strzelił w górę ciężki kłęb dymu, jedno przęsło mostu udźwignęło się ciężko i jakby załamane swym ciężarem, runęło do rzeki... W uszach zadzwoniło stu kośćcami. Rudek zachwiał się, rozczapierzył ramiona i osunął się na kolana.

* * *

Na trzeci dzień przymaszerował do Skoczowa, tam bowiem kazano mu szukać dowództwa dywizji.

Gdy stanął przed pułkownikiem, ten uśmiechnął się i powiedział:

— Już o wszystkim wiemy. Panie poruczniku — zwrócił się do adiutanta — ogłosić jutro w rozkazie, że szeregowca Ku-

kucza mianuję kapralem, i że został przedstawiony do odznaczenia. Możecie odejść.

— Rozkaz, panie pułkowniku! — wrzasnął uradowany chłopiec, wykręcił się na pięcie i pomaszzerował do drzwi.

— Poczekajcie jeszcze, Kukucz — zatrzymał go pułkownik — a kto wam pomógł most wysadzić?

— Moje długie nogi, melduję bardzo pięknie, panie pułkowniku.

— Jakto wasze długie nogi? — zdziwił się dowódca.

— Na, bo gdyby nie moje długie nogi, toby mnie te pieróny na pancerce były dognały, i byłaby bryja, pięknie proszę, panie pułkowniku.

— Aha, to dobrze — i roześmiał się. — Możecie odejść. Ale poczekajcie, oto macie na ząb — to mówiąc, sięgnął do pudełka na stole,abrał do garści cygar i podał mu.

— Ponbóczek zapłać, panie pułkowniku — zasalutował i już był przy drzwiach.

A jeżeli jeszcze teraz próbuje ktoś żartować z jego nóg, to wskazuje tylko palcem na błyszczący krzyż na piersiach i cedzi przez zęby:

— Widzisz, to za moje długie nogi... A ty co mosz?

Gustaw Morcinek

Kancelaria: biuro; — *adiutantura*: biuro adiutantów, oficerów przybocznych; — *pancerka*: opancerzony blachą pociąg; — *lont*: sznur, przyrządzony do podpalania min; — *Ponbóczek*: w gwarze górali śląskich: Pan Bóg.

78. Na Piastowym Śląsku.

Już nadszedł dzień, już błysnął dziw,
z dawna przepowiadany,
z letargu lud się przecknął żyw
i wstrząsnął grobu ściany.

I poczuł Ślązak w żyłach krew
i poczuł nowe siły,
i zmartwychwstania wznosząc śpiew,
podźwignął się z mogiły.

Śmiertelny znój to! Krwawy trud!
 Wysilek niesłychany!
 Po wiekach całych śląski lud
 niemieckie rwie kajdany!

W ojczyzny imię bierze chrzest,
 potężny chrzest dziejowy,
 i wie, że Polska — Matką jest,
 a on — że ród Piastowy.

Maria Konopnicka

Letarg: pozorna śmierć.

79. Zaślubiny z Bałtykiem.

Czy to lawina śnieżna z Karpat, nieczym niepowstrzymana doliną Wisły ku morzu się toczy? Nie: to wałem niezłomnym idą żołnierskie szeregi. Czy to stają orłów tatrzańskich nad nimi w lot się wzbija? — Nie: to furkocą proporce ułańskie. To rycerze zakłęci, w czas wielkiej wojny ze snu długiego wstali.

Kędy idziecie rycerze polscy? Ku morzu idziem, ku morzu!

Idziemy zatknąć biel i czerwień sztandaru na bursztynowym brzegu, którym Bóg północną rubież naszej ziemi opasał. Idziemy dać wolny oddech naszym rzekom, aby odzyskały ujście, jakie im się prawem przyrodzonym należy. Idziemy brać w posiadanie, imieniem Polski, Polski nieprzedawnionym prawem — Bałtyk i Pomorze!

Grzmią srebrne trąby konnych pułków. Warkotem triumfalnym biją werble piechoty. Toruń przed nami! Piętrzą się ku niebu wieżyce kościołów i forteczne mury. Ratusz misterną rzeźbą odcina się na tle kamieniczek miejskich. Jak echo naszych fanfar, oddzwania nam z podcieni ratuszowych mazurek Dąbrowskiego. Tłum radosny, falujący, wita nas gromem okrzyków, jak witała nas co wioska od granicy. Gdzieniedzie tylko palą się nienawistne oczy, oczy tych, co jutro odejdą, skąd przyszli — w głąb Niemiec.

Bydgoszcz, Chełmno i Grudziądz, Starogard i Pełplin otwierają nam szeroko, radośnie swe bramy. Wchodzimy w szeroko otwarte wrota katedry pełplińskiej. Chylą się przed ołtarzami nasze znaki, na dowód, że wojsko polskie po ojcach wzięło posłannictwo obrony wiary.

Szerokim okolem pójdziemy na północny zachód. Obejmiemy prasłowiańskie pomorskie siedliszczca, nad którymi przed laty tysiãcem król Chrobry panował. Na północ od noteckich łęgów pójdziemy w tucholskie bory, w kościerskie, kartuskie, wejherowskie ziemie. I dalej pociãgniemy — do Pucka, w rybackie, nadbrzeźne kraje, do Karwi, Rozewia, skąd, jak dziw przyrody, bodzie morze półwysep Hel. Będzie tam na prawo przy drodze nędzna wioseczka Gdynia. Któż by przeczuł i uwierzył, że za lat dziesięć stanie tu wielkie portowe miasto, chluba Polski, ozdoba Bałtyku?

Dnia dziesiątego lutego tysiãc dziewięćset dwudziestego roku doszło wojsko do Pucka, minãwszy gdańską zatokę, do szerokiego morza. Powiało na żołnierzy głębokie tchnienie wolnych fal. Okrzykiem powitali Bałtyk ojczysty, Bałtyk, którego lud mówi gwarã dawnych lat, przechowaną cudem, ni to przedwieczny kwiat w złotawej bryle bursztynu.

Wjeżdża przez lodowisko brzegowe w morze błękitny generał, Polski i jej Naczelnego Wodza przedstawiciel, Józef Haller. Za nim pieszo i konno wkraczą w morze rozliczne pułki. Chylą się ku falom sztandary i proporce, maczają w rozlewie wód, chrzest biorąc na ich wieczystą obronę. W ręku wodza błyska złoty pierścień. Swatami u boku stoją mu żołnierze Rokitny, Krechowiec, Rarańczy, Kaniowa, z francuskich krwawych pobojowisk i z wielkopolskiego powstania, a także — pierwsi polscy marynarze.

Nadszedł dzień zaślubin z Bałtykiem.

Lśni złoty pierścień ślubny w ręku wodza i dalekim łukiem w wody Bałtyku leci. A Bałtyk kryje go falą i unosi w tajemniczą głęb, ku wód swoim sercu — na wiary znak, na wieczne wieki.

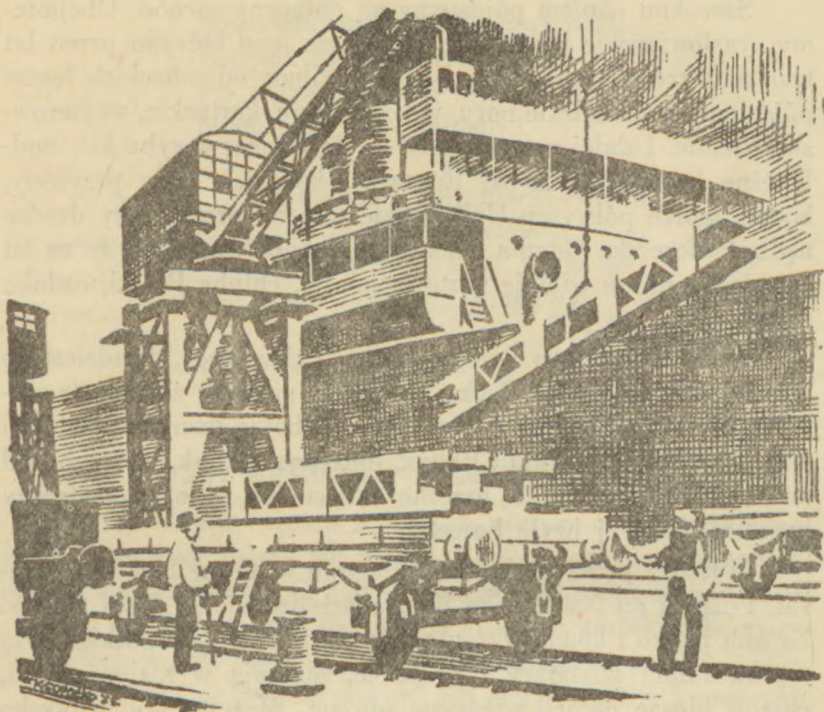
Antoni Bogustawski

Staja: niewielkie stado ptaków ; — rubież: granica ; — łęgi: łąki.

80. Gdynia.

Kędy w brzeg biją Bałtyku fale,
miasto się piętrzy — dumnie, wspaniale;
gwar z portu bije, jak war z naczynia...

Gdynia!



Falochronami bieg wód przecięty,
 składy i dźwigi, barki, okręty;
 na brzeg wędruje za skrzynią skrzynia...
 Gdynia!

Polskie to ręce i trud wytrwały
 w lat dziesięć port ten pobudowały.
 Zapał z wioszczki — miasto uczynia.
 Gdynia!

Gdynia — to skarb nasz, klejnot i chluba,
 od morza odejść — to nasza zguba.
 Niechaj potęgi Polsce przyczynia
 Gdynia!

Antoni Bogustawski

81. Pyzik.

Nazywał się Kocicki, ale mało kto w kompanii znał to jego nazwisko. Pyzik i tyle. Skąd ten Pyzik do niego przyrósł, Bóg raczy wiedzieć. Ze szkoły pono uciekł na front, z którejś tam szóstej czy siódmej klasy. Jak trafił do kompanii, tak od razu Pyzikiem został. Niewyrośnięte to było, chuderlawe, wątłe. Lubiała go zresztą wiara, bo wszystkich brał swoim humorem, życiem, śpiewaniem. Co się tam naśpiewał! Od rana do nocy gęba mu się nie zamykała. A umiał tych piosenek moc; co dzień wieczorem z worka wytrząsał.

A noce szły cudowne, majowe, pachnące wiosną, puszczą, młodością, zwycięstwem. Majowe noce 1920 roku.

Aż nagle grom z jasnego nieba! Front przerwany. A potem drugi jeszcze straszniejszy! Tracimy Mińsk. Zachwiał się front, jął kurczyć się i zwijać. Wezbrana bolszewicka fala zalewała go zewsząd, ponuro wlokły się szeregi, wyciągając z trudem nogi z litewskich piasków, z tych piasków, które tak niedawno zdobyli krwią własną, ozłocili zwycięstwem. Niedługo i tych piasków zabrakło. Już i Wilno stracone, i Grodno. Za każdą mijaną rzeką budziła się w nich iskierka nadziei, że może tu zatrzymają wroga. Gdzie tam! Znów odwrót dalej i dalej. Dwa miesiące bez chwili wytchnienia. Bili się jeszcze, ale już rozpacz chwytiała za serce, dławiała w gardle, odbierała resztę sił.

Była połowa sierpnia. Dzień był cichy, ciepły, ale pochmurny. Batalion człapał powoli ku jakimś zamglonym wioskom, mijając liczne pola, łąki, laski. Byli już na Podlasiu, w okolicach Lukowa. Zmordowany żołnierz zasypiał idąc i szedł jak lunatyk.

W pewnym momencie do komendanta batalionu podjechał ordynans pułkowy. Papiery jakieś przywiózł i ustnie coś do nich jeszcze dokładał. Padło przy tym wyraźne słowo: Warszawa. Usłyszały to pierwsze czwórki, ktoś coś powtórzył, ktoś coś przekreślił, i nagle gruchnęło po całym batalionie, że Warszawa wzięta.

— Jezu, Jezu! Warszawa wzięta! Słyszysz, Józek? Warszawa wzięta!

— Nie może być! Co ty mówisz? Skąd wiadomości?

— Przed chwilą ktoś z pułku z tą wiadomością przyjechał.

Ręce opadały. Zwątpienie dogryzało resztki nadziei, jeśli się tam gdzie komu jeszcze w sercu tłukła.

— No, bo cóż? Jak Warszawa wzięta, to i koniec. A jak

już ma być koniec, to niechże będzie prędzej, bo tego nikt już dłużej nie wytrzyma.

Aż straszno spojrzeć na wiarę, jak skapiiała. Jak dziady na odpust, tak idą. Niechby tak teraz atak! Rany Boskie! Jeden bolszewicki karabin maszynowy niech da ognia, a cały batalion rozprysnąłby się jak bańka mydlana. I to kto? Oni, batalion, który jeszcze nie dawno pod Sokółką, w grodzieńskim całą brygadę bolszewicką na karku trzymał!

Pac — pac. Pac — pac — pac... dudnią strzały bolszewickie, niczym młocka w stodole.

I nagle w tej okropnej ciszy trysnęła piosenka:

Wojenko! Wojenko! Cóżś ty za pani?...

Płynął świeży, młody głos, rozchodząc się, jak słoneczna, rozedrgana barwami tęcza, nad znękaną żołnierską czeredą.

A czereda osłupiała zrazu. Takie było przeciwieństwo między zgniłym trupim duchem, jaki panował przed chwilą, a tą złotą kaskadą życia, młodości i siły, jaka biła z każdego dźwięku piosenki, że zewsząd obracały się w kierunku śpiewającego zdumione twarze.

Komu u licha strzeliło do łba śpiewać? I to w takiej chwili!

Ale rychło zdumienie gasło, a na jego miejsce pojawiała się w zmęczonych oczach wdzięczność, radość, zachwyt... I w parę sekund później rwał już ze wszystkich piersi potężny grzmot pieśni:

Chłopcy malowani. Sami wybierani...

Wiara już była zapomniana, kiedy ostatni raz śpiewała. Stęskniły się żołnierzyki za śpiewaniem, toteż piosenkę tę śpiewały nie same tylko gardła i piersi, ale twarze i oczy błyszczące, serca i dusze żołnierskie. Z każdym nowym dźwiękiem płynęła w te dusze ożywcza struga siły, prostowały się ramiona, dźwigały się głowy, stąpały sprężystiej nogi.

Ocknął się batalion z letargu, skrzepił się w sobie, dociągnął pasa, nabrał powietrza w płuca, a rozmachu w mięśnie i gnaty.

Skończyła się piosenka. Zaczęli drugą, trzecią, czwartą...

Jak lekko się idzie! Skąd u licha te siły się wzięły?

Wieczorem natknęli się na jakieś wojsko. Co to, kto? Nasi.

— Wiesz, bracie, o Warszawie to bajka. Ofensywa ci nasza wali całym frontem. Wojska moc.

Aż dech zaparło w piersiach.

— To i nas pewno zawrócą?

— Pewno.

Zawrócili ich jeszcze tej samej nocy. Mijali znów te same pola, łąki, laski. Ta sama droga, ten sam piach przeklęty, a jakże zmieniło się wszystko! Teraz leciało przed nimi zwycięstwo, porywając wszystko za sobą. U ramion rosły skrzydła. Jak huragan szedł żołnierz polski naprzód, łamiąc wszelkie przeszkody.

A gdzieś za Siedlcami pod koniec krótkiego postoju przyszedł do nich ze swym sztabem generał. Ustawiono batalion w podkowę, potem komendanci kompanij z jakichś karteluszków wywoływali nazwiska.

Wywołali kilkunastu chłopca. Między innymi nasz Pyzik.

— Mnie? Za co? — zdziwił się bardzo.

— Za to, żeś, bracie, piosenką batalion na nogi postawił. Wychodź, do kroćset! Generał czeka.

Pyzik wyszedł. Stał w szeregu. Boże, jak on wyglądał! Z wielkich buciarów sterczały chude piszczele. Jedno kolano rumieniło się wstydliwie. Mundur wisiał, jak na wieszadle. Twarz wynędzniała, chuda, drobna.

Po chwili na szarym mundurze zakwitła biało-czerwona wstążeczka z krzyżem Walecznych.

Kazimierz Konarski

Lunatyk: człowiek, który pod wpływem księżycy chodzi we śnie; — *skapieć*: zmarnieć; — *brygada*: formacja wojskowa, składająca się z dwóch pułków piechoty, pułku kawalerii, baterii armat; — *czereda*: bezładna gromada; — *ofensywa*: atak wojska; — *piszczele*: kości nóg i ramion.

Nie porzucaj nadzieje, jakoćkolwiek się dzieje.

(Jan Kochanowski)

82. Historia o jednym chłopczyku i o jednym lotniku.

(w skrócie)

Był raz sobie jeden chłopczyk,
Grzeczny, cichy, niby trusia.
Mieszkał chłopczyk ten w Warszawie,
Miał Mamusię i Tatusia.

I zabawek miał on tyle,
Ile może przyjść do głowy:
Kolej, siatka na motyle,
Był tam także miś pluszowy.

Wszystko zawsze ma w porządku,
Nic nie niszczy, nic nie gubi,
A z zabawek tych najwięcej
Ołowiane wojsko lubi.

Tyle wojska nie ma żaden
Inny chłopczyk w kamienicy;



Kawaleria polska.

Są tam strzelcy, szwoleżerzy,
Marynarka i lotnicy.

Już od rana maszerują,
Bębny biją, trąbki grają,
A zaś armat, samolotów
Ile trzeba — wszystko mają.

Żadnym ludziom żadnej krzywdy
Nie chcą nigdy zrobić oni,
Lecz jak kogo kto napadnie,
To, to wojsko jego broni.

Wszyscy w wojsku byli dzielni
(Ile ich tam jest tysięcy),
Ale jeden mały lotnik
To już chyba był najwięcej.

Już od rana coś majstruje,
Coś naprawia, coś sposobi,
I nie trzeba nic mu mówić —
Bo sam zawsze wszystko zrobi.

Na noc zawsze do pudełek
Chłopczyk składał swych żołnierzy,
Bo wiadomo — dobre wojsko
Już o ósmej w łóżku leży.

Gdy zaś rano chłopczyk idzie
Na dzień dobry do Mamusi,
Czy generał czy też kapral —
Wszystko jedno; wstawać musi.

Aż tu kiedyś jedna, druga,
Potem trzecia noc upływa,
A ten chłopczyk nie przychodzi
Ani nawet się odzywa.

Wojsku nie dał do jedzenia,
Wszystko głodne i pośnięte:

Musztry żadnej być nie może,
Bo pudełka są zamknięte.

I dopiero kiedy wszyscy
Utracili już nadzieję,
A generał bał się, że mu
Całe wojsko zardzewieje —

Otworzyły się pokrywki,
Znowu słońce pięknie świeci
I to wojsko na wyrwyki
Na pozycje swoje leci.

Ci samolot naprawiają,
Ten przynosi znów kartacze,
A wtem widzą, że ten chłopczyk
Przy stoliku siadł i płacze.

Całe wojsko pomyślało,
Że to chyba nie należy,
Żeby taki chłopczyk płakał,
Który tyłu ma żołnierzy.

Ale widzą, że on w oczki
Włożył prawie piąstkę całą,
Więc prosili generała,
By go spytał, co się stało.

I dopiero tu się bardzo
Smutnych rzeczy dowiedzieli:
Że ci Niemcy nas napadli
I że Polskę nam zajeli.

Że ponieważ każdy chłopczyk
Za tę Polskę bić się gotów,
Więc do takich małych dzieci
Też strzelali z samolotów.

Opowiada o tym chłopczyk,
Jak to w naszej się stolicy
Bił nie tylko polski żołnierz,
Ale nawet ulicznicy.

I czy biedny, czy bogaty,
 Każdy walczył w naszym mieście,
 I że dzieci o tym w szkołach
 Będą uczyć za lat dwieście.

Że zburzyli Świętokrzyską
 I Wierzbową, Plac Krasieńskich,
 I że wielki jest bohater
 Taki jeden pan Starzyński.

Na to wojsko w jednej chwili
 Jak nie zacnie maszerować,
 Jak nie krzyknie cała wiara
 Ołowiana: „Wodzu! Prowadź!”

Jak nie pójdą do ataku,
 Jak nie ruszą wszyscy w pole!
 Nawet miejsca na to wszystko
 Nie starczyło już na stole.

Ale chłopczyk przestał płakać
 I powiada im: „Rodacy!”
 Zawszem wiedział żeście dzielni,
 Bo byliście zawsze tacy.

„Że za Polskę umrzeć chcecie,
 Ani trochę mnie nie dziwi,
 Ale bić się nie możecie,
 Bo jesteście nieprawdziwi.

„A prawdziwe polskie wojsko
 Już się robi za granicą,
 Samolotów mają pełno,
 Wszystkie nowe — aż się świecą.

„I podobno takie bomby
 Tym lotnikom polskim dali,
 Że jak jedną taką rzuci,
 Cały Berlin się zawali.

„Już do tego wojska poszły
Pokryjomu ludzi masy.
Nawet uciekł swojej mamie
Jeden chłopczyk z wstępnej klasy.

„Ja się mamy też pytałem,
Gdzie to wojsko się znajduje,
Ale kto ma sześć lat tylko,
To Generał nie przyjmuje.

„Więc dobranoc wam, żołnierze,
Już nie płaczmy, w górę głowa!
Dziś mi Tatuś opowiadał
Co to była Częstochowa.

„Jak się wszyscy umówili
I zaczęli Polski bronić,
To tak wrogów wypędzili,
Że ich nie mógł nikt dogonić!!!“.

Znowu wojsko jest w pudełkach
(Zawsze spi już o tej porze),
Ale dzisiaj — nie ma mowy:
Oczu zmrzyć nikt nie może.

Żadna szarża dziś nie chrapie,
Warta wzdycha ze swej budki,
A ten młody, dzielny lotnik
Chyłkiem wyszedł z swej przegródki.

Spod pokrywki się wysunął,
W hełm lotniczy swój ubrany,
I powiada sam do siebie:
„Cóż że jestem ołowiany?“

„Jak nie przyjmą, to nie przyjmą,
Na to nikt już nie poradzi,
Ale zrobię co należy,
A spróbować nie zawadzi“.



Król angielski Jerzy VI w towarzystwie Gen. Sikorskiego
salutuje polskie oddziały.

Idzie teraz dniem i nocą
Przez deszcz, burzę i zawieję,
Idzie sobie borem, lasem,
I wciąż śpiewa, wciąż się śmieje.

Czasem tylko jak zobaczy
Jakiś polski dom spalony,
To zaciska zaraz ręce
I odrazu jest czerwony.

Czego w drodze on nie widział,
Tego ja wam nie powtórzę,

Jakie polskie cudne wioski,
Jakie miasta, piękne. duże.

W każdym chciałoby się zostać,
Ludziom pomóc i pocieszyć,
Lecz ten lotnik szedł do wojska,
Więc się musiał bardzo spieszyć.

I nareszcie zawędrował,
Wygłodzony, ubłocony,
I zobaczył! Jezus, Maria!
Polskie wojsko z każdej strony.

Samolotów naszych tyle,
Że ja nie wiem czy kto zliczy,
I prawdziwy polski kapral
Na żołnierzy strasznie krzyczy.



Żołnierze polscy we Francji.

Zapisali go do wojska,
I odrazu do roboty!

Jak ten motor nie zawarczy,
Jak nie furknie, Boże złoty!

Jak nie wzleci ponad morzem!
(Motor warczy wciąż zawzięcie)
Lotnik patrzy na dół. Co to?
Polska flaga na okręcie!

Jeden okręt, drugi, trzeci —
Co za radość! Jeszcze chwila,
A tu nasza łódź podwodna
Naraz z morza się wychyla.

„Ach, wy Niemcy! — krzyknie lotnik —
Zapłacicie wy nam drogo!“
I powiedział jedno słowo,
Co go dzieci znać nie mogą.

Bił się lotnik nasz w Norwegii
(Choć mróz straszny, Niemców kropił),
Bił się w Libii, gdzie się mało
Od gorąca nie roztopił.

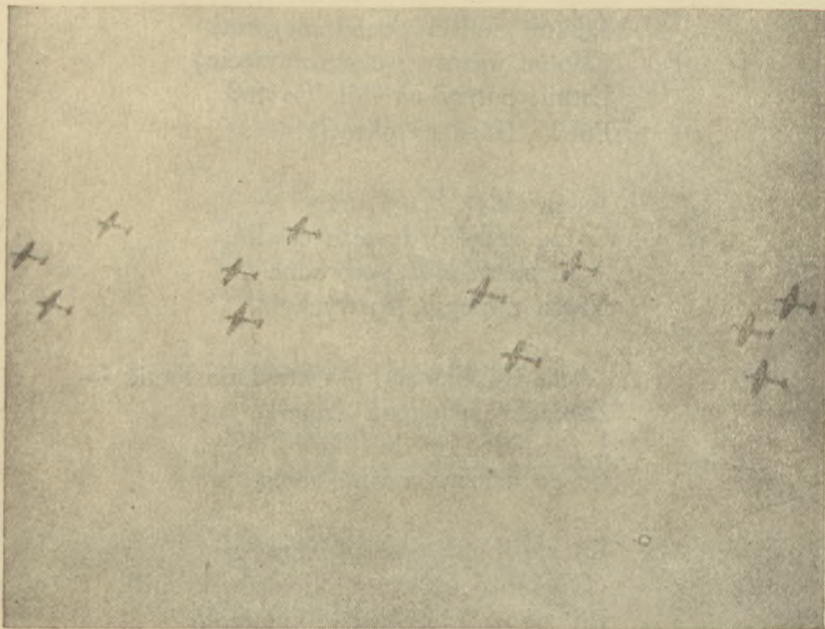
Bił we Francji i tam Niemcom
Sprawił istny koniec świata,
Teraz w Anglii szósty miesiąc
Nie ma nocy — że nie lata.

Ledwie trochę je i pije,
Chociaż może — nie śpi prawie,
Ciągłe głodzi swój samolot
I wciąż myśli o Warszawie.

A że prawda jak oliwa
Choć byś nie chciał to wypłynie,
O lotniku naszym wreszcie
Dowiedzieli się w Londynie.

Pan Prezydent sam mu przypiął
Piękny order narodowy,

Choć ten lotnik był tak mały
 Że mu sięgał do połowy.



Na Niemca.

Wódz Naczelny zaś zawołał:
 „Dawać mi tu tego smyka!“
 Machnął piórem i rozkazał
 Zrobić z niego porucznika.

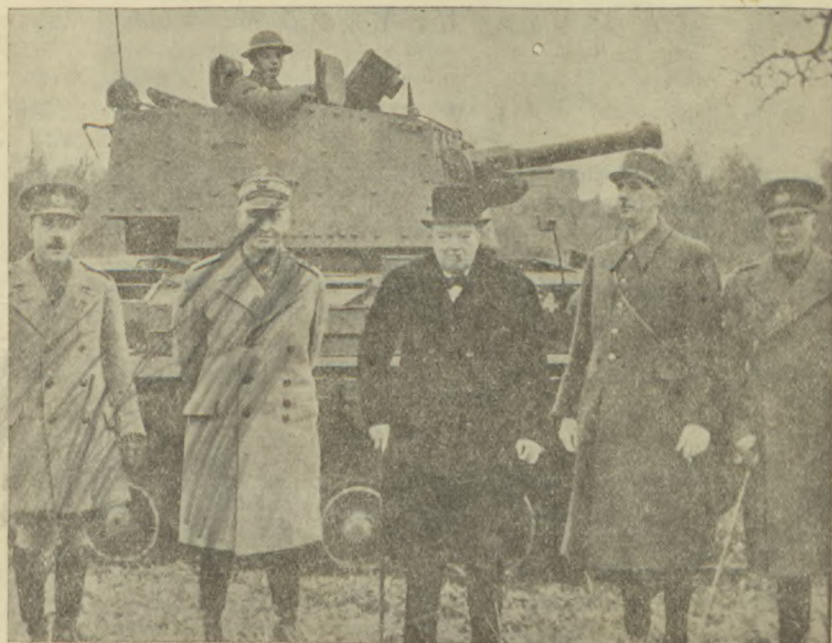
A pan Churchill, grubas, wyjął
 Jakieś pismo z swojej teczki
 I powiedział: „Goddam! Goddam“¹⁾
 I zapykał z swej fajeczki.

(W piśmie było powiedziane,
 Że angielski król jest pewny,
 Że ten lotnik kiedyś przyjdzie
 Na kakao do królowny).

Ale lotnik nasz tej nocy
 W górę wzbił się wyżej, dalej,

¹⁾ Wyraz oznaczający radość, zadowolenie.

Nad te domy gdzie szyb niema,
W których światło się nie pali.



Premier angielski Churchill z Gen. Sikorskim
u polskich wojsk pancernych.

Spojrzał z góry na Warszawę,
Jeden, drugi raz zawrócił
I nad jednym biednym domem
Taką krótką kartkę zrzucił:

„Mój chłopczyku! Powiedz wszystkim,
Żeby więcej nie płakali.
Przyjdzie wojsko, co wypędzi
Wszystkich Niemców i Moskali.

Więc patrz dobrze, czy nie płynie
Samolotów w górze mgiełka“ —
I podpisał:

„Józio Nowak,
który zginął ci z pudełka“.

JAN LECHOŃ.

S P I S U S T Ę P Ó W :

I. W SZKOLE.

	str.
1) Zofia Wojnarowska, Witaj Szkoło!	2
2) Julia Duszyńska, Dziwo	2
3) Julian Tuwin, Raz — dwa — trzy!	4
4) Maria Kowalska, Opiekunka	5
5) Janina Porazińska, Na wycieczce	6
6) Maria Czerkawska, Nasza gromada	9
7) Pola Gojawczyńska, Gazetka szkolna	9
8) Julia Duszyńska, 8 ?	12

II. NA WSI.

9) Janina Gillowa, Moja Chata	14
10) Julia Duszyńska, Ogródek Jagusi	14
11) Maria Konopnicka, Rankiem	17
12) Kazimierz Konarski, Orka	18
13) Wanda Miłaszewska, Franuś młynarczyk	21
14) Maria Konopnicka, Jak Półpanek chciał cały świat przekrzyczeć	23
15) Leopold Staff, Muzyka żab wieczornych	26
16) Julia Duszyńska, Na szczęście	26
17) Maria Rodziewiczówna, Przy sianie	29
18) Leopold Staff, Wierzba	31
19) Kazimierz Konarski, Wawrzon i Julka	31
20) Zygmunt Bohusz-Szyszko, Kobieta walczy	34
21) Kazimierz Laskowski, Wioska w zimie	37

III. W MIEŚCIE.

22) Kornel Makuszyński, Może mila, może sto	39
23) Lucyna Krzemieniecka, O dobrej zgodzie i złej nie- zgodzie	39
24) Pola Gojawczyńska, Jeden dzień Anielki	42
25) Lucyna Krzemieniecka, O kwaciarce Barbarze i o po- rach roku	44
26) Kornel Makuszyński, O tym, jak pan krawiec Ni- teczka królem został	45
27) Antoni Bogusławski, Zegar ratuszowy	47
28) Władysław Stanisław Reymont, Fabryka	48
29) Józef Aleksander Gałuszka, Wyciąg kajaków	50
30) Gustawa Jarecka, W szpitalu	51

IV. W STOLICY PAŃSTWA.

	str.
31) Zdzisław Kleszczyński, Tunel warszawski	54
32) Eugeniusz Roman, To już	55
33) Janina Porazińska, Przez ulicę	60
34) Maria Konopnicka, Warszawie	62
35) Julian Tuwim, Auto	63
36) Stefania Kosuthówna, W drukarni	64
37) Lućyna Krzemieniecka, Wiosna w parku	66
38) Jan Grabowski, Ogród zoologiczny	66
39) Julia Duszyńska, Do teatru	69
40) Wiersz z Kraju — Mogiłka na skwerze	71
41) Kazimierz Konarski, Bęben	72
42) Kazimierz Wierzyński, Modlitwa za zmarłych	75

V. ROK POLSKI.

43) Jan Kasprowicz, Jesień	77
44) Maria Dynowska, Krakowskie wesele	78
45) Leopold Staff, Wieczornica	80
46) Władysław Orkan, We wilię	81
47) Jadwiga Czechowiczówna, U Żłobka	84
48) Juliusz Wirski, Na trzech Króli	87
49) Marian Gawolewicz, Na Gromniczną	89
50) Maria Konopnicka, W Palmową niedzielę	90
51) Gustaw Morcinek, Uśmiech za oknem	90
52) Ignacy Dąbrowski, Leganda o promyku sobotnim ...	93
53) Józef Aleksander Gałuszka, Kwiat paproci	95
54) Teofil Lenartowicz, Żniwa	97
55) Stefan Żeromski, Odpust	97

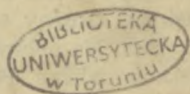
VI. PIEŚN O ZIEMI NASZEJ.

56) Marian Hemar, Do brata i siostry w Kraju	99
57) Zuzana Rabska, O flądrze bałtyckiej	100
58) Kazimierz Tetmajer, Pod śniegu srebrnym puchem	102
59) Marcin Zaruski, Na nartach	102
60) Michał Rusinek, Groźny strumień	105
61) Julia Duszyńska, Na spław	108
62) Hanna Mortkowiczówna, Poleszuk	110
63) Julia Duszyńska, U bobrów	111
64) Zdzisław Kleszczyński, Żubry w Białowieży	113
65) Maria Rodziewiczówna, Barć w lesie	115
66) Julian Ejsmond, Dziecię za radość pól	117
67) Michał Rusinek, Święta rola	118
68) Gustaw Morcinek, Wybuch w kopalni	121
69) Teofil Lenartowicz, Przysięga Kosciuszki	124

	str.
70) Kazimierz Konarski, Król żołnierz w żołnierskim mieście	124
71) Julia Duszyńska, Sen księcia Giedymina	126

VII. KU WOLNOŚCI I POTĘDZE.

72) Jerzy Żulawski, Do moich synów!	128
73) Józef Piłsudski, Legiony na Podhalu	128
74) Janina Porazińska, Mały opiekun	129
75) Kazimierz Konarski, Łącznik	131
76) Helena Zakrzewska, Mały kurier	134
77) Gustaw Moreinek, Długie nogi	136
78) Maria Konopnicka, Na Piastowym Śląsku	139
79) Antoni Bogusławski, Zaślubiny z Bałtykiem	140
80) Antoni Bogusławski, Gdynia	141
81) Kazimierz Konarski, Pyzik	143
82) Jan Lechoń, Historia o jednym chłopcyku i o jednym lotniku	146





7
76
77
78
79)
80)
81)
82)

ny

No
8

Arch. Emigracji
Biblioteka

Główna
UMK Toruń

1398384

Biblioteka Główna UMK



300021054005

1191/PP & TJ/G 4000 2 43

Archiwum Emigracji
Biblioteka

Główna
UMK Toruń

1398384



Biblioteka Główna UMK



300021054005

1181/PP & TJ/G 4000 2 43